

super
kryminat

ALIBI

PETER SHORDNEY



lesiojot

 superkryminat.pl

ALIBI

Peter Shordney

 superkryminal.pl

Rozdział I

1.

Firanka w weneckim oknie poruszyła się bezszelestnie.

Czyjś cień cicho wśliznął się do pogrążonego w półmroku gabinetu i zatrzymał za siedzącą w fotelu postacią.

Mężczyzna zdawał się drzemać w świetle dogasającego w kominku ognia. Wpatrzony w żar paleniska, tkwił pochylony w nieporuszonej zadumie, spoglądając niewidzącym wzrokiem w przestrzeń przed sobą.

Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Mimo to nie towarzyszyła jej cisza nocy. Od czasu do czasu z ogrodu dobiegały przytłumione odgłosy zabawy, przerywane raz po raz dźwiękami przypominającymi pyknięcie otwieranej butelki szampana lub przekłuwanego balonika. Wtórował im śmiech i wzajemne przekrzykiwanie.

Wszystkie dźwięki jakby zatrzymywały się na progu gabinetu, którego dywan dodatkowo jeszcze wyciszał stąpanie intruza.

Cień za plecami mężczyzny w fotelu poruszył się i jakby nasłuchując, zbliżył do oparcia. W bladej poświacie kominka zamigotał refleks oksydowanej lufy damskiego pistoletu.

Błysnął płomyk wystrzału.

Mężczyzna w fotelu pochylił się jeszcze bardziej, zapadając w najgłębszą z możliwych zadumę.

Firanka znowu poruszyła się na wietrze.

Kolejny balonik został przekłuty. Nikt jednak tym razem się nie śmiał. Zabawa nie miała prawa wstępu go gabinetu pana domu.

Wkrótce potem odkryto zwłoki.

Wielki Robert Plath, mój mąż, nie żył. Uszło z niego całe powietrze. Skurczył się za swoim biurkiem do rozmiarów

przeszłości, którą zamierzałam pochować wraz z nim.

Poczułam ulgę.

Teraz więc tylko tyle chcę wam powiedzieć, że gdy kobieta pragnie zabić swojego męża, nie musi tłumaczyć się z motywu. A ten jest oczywisty. Zawsze będzie to obrona własna; akt wyższej konieczności, desperacka próba zachowania godności w obliczu nieszczęśliwego życia, które powinno przynajmniej skończyć się szczęśliwą śmiercią. Podobnie zresztą bywa, gdy kobieta pragnie zabić nie swojego męża.

Nie pamiętam jednak, kiedy postanowiłam zabić Roberta. Tym bardziej nie pamiętam, kiedy postanowiłam to po raz pierwszy. Nawet nie wiem, kiedy tak naprawdę po raz ostatni.

Nazywał mnie Kopciuszkim. I to była prawda. Chociaż z pewnością nie cała, gdyż moje stopy miały prawidłowy rozmiar i nie stwarzały kłopotów z dobraniem do nich odpowiedniego obuwia.

Byłam zatem nie całym Kopciuszkim, ale fakt faktem, że wierzyłam w bajki. Znaczyło to mniej więcej tyle, że wierzyłam też w księcia z bajki, a ściślej mówiąc - uwierzyłam mu, gdy się już pojawił. Bajka nosiła tytuł Robert Plath.

Książę nie był ani specjalnie młody, ani przystojny, ani nawet bogaty. Był za to zdrowy i pochodził z miasta, a to dla wiejskiej dziewczyny zawsze się liczy i będzie liczyło, bo wiejska dziewczyna rzadko liczy na siebie. W dodatku książę był pełen kompleksów i osobiście nie wierzył w bajki.

Dlatego wszystko mu się pomyliło i przez dwadzieścia pięć lat musiałam oddzielać groch od maku zamiast żyć długo i szczęśliwie. Tymczasem książę mnożył majątek, czyli odreagowywał kompleksy i głupia, niewykształcona, ale podziwiająca go żona była mu tak samo niezbędna, jak inteligentne, wykształcone kochanki, o których podziw zabiegał.

Pamiętam naszą pierwszą rozmowę. Było to na castingu na statystkę do filmu.

Ktoś podszedł do mnie wtedy (to był właśnie on) i zapytał, co tu robię (głupie pytanie, dobrze wiedział, co tam robiłam). Odpowiedziałam (głupie pytanie, głupia odpowiedź), że biorę

udział w castingu.

Wtedy on zapytał: - W castingu na co?

- W castingu na statystkę do filmu - odparłam.

- Przecież już jesteś statystką - zauważył.

Nie zrozumiałam.

Dostrzegł to i wyjaśnił.

- Jeżeli jesteś anonimowym przechodniem z ulicy, to dlaczego pragniesz otrzymać rolę anonimowego przechodnia z ulicy? Przecież już i tak ją grasz...

To było dla mnie rzeczywiście coś nowego. Fakt, nie zostaje się gwiazdą ekranu grając na nim świeczkę.

Wiem, nie wypada źle mówić o zmarłych, ale przecież jeśli ktoś kogoś w końcu postanawia zabić, to nie dlatego, że dobrze o nim myślał.

Tego wieczoru jednak nie mogłam mieć pojęcia, że nie byłam w tym zamiarze osamotniona. Cóż zresztą miałam myśleć o Robercie, nie myśląc przy tym o Geraldine Osborn i Mary Bedford... (Widzisz Robercie, udało mi się stworzyć pytanie bez uciekania się do pytajnika, zatem mój styl się poprawia. Co prawda podparłam się wielokropkiem, ale zredukowanym do przepisowych trzech kropek, co samo w sobie też jest dowodem stylistycznej bezradności, ale któż dałby tobie radę!).

Najpierw bowiem pojawiła się Geraldine w charakterze sekretarki. Geraldine Osborn, długowłosa, tleniona blondynka średniego wzrostu, usiłująca pod każdym względem przypominać lilię wodną, co upodabniało ją do wodorostu, była głupsza ode mnie, ale za to młodsza, miała dłuższe nogi, dłuższe włosy, dłuższe rzęsy i dłuższe paznokcie, a także więcej czasu ode mnie dla Roberta Platha. Za to wzrok miała krótszy (w torebce nosiła wstydliwą tajemnicę – okulary).

Potem pojawiła się Mary. Mary Bedford mogłaby być z powodzeniem kopią Geraldine, tyle że przepuszczoną przez maszynkę do makaronu, następnie zaś niedokładnie wysuszoną w rzadkim słońcu Chelsea. Wyższa od Geraldine, z równie krzywymi jak zęby chudymi nogami o wystających kolanach, niechlujna i rozedrgana, prawdopodobnie idealnie nadawała się na idolkę pokolenia fast foodów, zapijanych coca-

colą na stojąco.

Robert powiedział mi, że musimy się zaopiekować Mary Bedford. To znaczy my oboje. Dlatego Mary Bedford zaczęła coraz częściej bywać w naszym domu w Regent's Park, aż zamieszkała w jednym z pokoi gościnnych. Najpierw więc oglądałam ją wieczorami w telewizji, a potem, nad ranem w naszym domu, kompletnie zalaną. Mary rzygała równie wylewnie, jak śpiewała, ale musiałam ją znosić (i to niemal dosłownie, gdy nie była w stanie zejść sama po schodach na dół na obiad), bo Mary „przynosiła nam dochód”.

Zapytałam Roberta, dlaczego nie wynajmie tej kurze znoszącej złote jajka mieszkania na mieście.

- Nie poradziłaby sobie sama - odparł. - Bóg jeden wie, co mogłoby strzelić jej do głowy. Tu jest bezpieczna.

Chciałam jeszcze zapytać - bezpieczna dla kogo? Dla nas, czy dla siebie? Ale dałam spokój. Mary była (wtedy) w gruncie rzeczy sympatycznym dzieckiem i nawet ją jakoś polubiłam. Może nieco przypominała mi mnie samą, z tą różnicą, że podobno umiała śpiewać. Nie wiem, czy Robert udzielał jej, tak jak mnie, takich samych rad na temat nienachalnego makijażu, ale nawet jeśli, najwyraźniej z nich nie korzystała. Ubierała się i zachowywała jak dziwka, lecz miałam pamiętać, że z tego, to znaczy z Mary Bedford, żyję.

Ciekawe dlaczego Henry Osmond, ten wspaniały muzyk, u nas nie zamieszkał? Przecież on też był dużym dzieckiem. Wysoki, wysportowany, przystojny, pełen zaskakującego poczucia humoru. Jego niefrasobliwe, łobuzerskie spojrzenie zawsze wprawiało mnie w dobry nastrój. Gwałtowny i jednocześnie nadspodziewanie delikatny pod powłoką nonszalanckich manier, Henry Osmond, mimo upływających lat, nadal pozostawał w głębi duszy dobrym chłopcem. Był już sławny, a właściwie przestawał być sławny, kiedy Robert kupił i jego do swojej stajni. Ale nadal sprzedawał się całkiem nieźle, występując w telewizyjnych quizach i w sezonie wakacyjnym na południu Anglii. Prawdziwy artysta. Długie, rozwichrzone włosy, podkute buty, rozchełstana koszula. I te szare oczy!

Oczywiście Henry bywał u nas często. Grał na gitarze, opo-

wiadał zabawne historie ze swojego życia i pomagał mi w kuchni. Ale Robert twierdził, że Henry Osmond ma własne życie, na które składają się trzy byłe żony i pięcioro aktualnych dzieci i że Henry Osmond nie wymaga naszej opieki. Wynikałoby z tego zatem pośrednio, że Mary Bedford nie miała własnego życia.

W większości więc wypadków życiem Henryego Osmon- da zajmował się osobiście Robert, wyjątkowo nie wyręczając się w tym nawet osobą Geraldine Osborn, do której obowiązków należało wyłącznie zajmowanie się życiem mojego męża.

Skromna, doskonale kompetentna i dyskretna Geraldine; w opinii Roberta, miała mnie zastąpić. Właśnie tak się wyraził.

- Już czas, żebyś odpoczęła. Geraldine przejmie twoje obowiązki. Zasłużyłaś sobie, Hellen.

Innymi słowy, zasłużyłam sobie na Geraldine!

I jak nie kochać takiego faceta?

A potem pojawił się dom w Kornwalii i moje zesłanie. To zamiast dzieci, których nie urodziłam Robertowi, bo najpierw było na nie za wcześnie, a potem już za późno.

W tym czasie Robert był od dawna szanowanym producentem telewizyjnym i teatralnym oraz prowadził własną agencję koncertową.

Wysoki, postawny, o wyważonych ruchach zaskakująco wypielęgnowanych dłoni i spokojnym, pewnym siebie, błękitnym spojrzeniu, aspirował do wyglądu typowego angielskiego dżentelmena równoważącego w sobie zamiłowanie do krykieta i po wieści wiktoriańskiej. Swoim oszczędnym - chciałoby się powiedzieć: wystudiowanym dyskretnym - a tak po prawdzie przezroczystym sposobem bycia, przywodził na myśl dużą, lśniącą w słońcu meduzę. Rozsiadał się swoim zwyczajem, z wdziękiem podstarzałego fauna, w fotelu (tym samym, w którym go w końcu zastrzelono), w gabinecie z widokiem na utrzymywany przeze mnie w nienagannym stanie ogród i gadał, aksamitnym, modulowanym głosem, na temat pożytków wynikających z właściwie stosowanej interpunkcji. Słuchałam jego wykładu, myśląc o przypalającym się obiedzie, by po pewnym czasie, uśpiona monotonią płynących cieniutką strużką słów, zagapić

na wałęsającego się przy bramie psa sąsiadów i zapomnieć całkowicie o obiedzie (prawdopodobnie zamiast tego zastanawiałabym się, czy nie kupić własnego psa lub naoliwić bramę). Od interpunkcji przeszedłby do błędów frazeologicznych i możliwe, że jeszcze zdążyłby przed obiadem napomknąć coś o niedocenianej kulturze Celtów, kończąc (czy on kiedykolwiek w ogóle potrafił skończyć?) na stwierdzeniu, że jeśli ktoś nie potrafi się nauczyć poprawnie własnego języka, to niewątpliwie musi być głupcem. Tu spojrzalby na mnie przeciągle, a ja, jak zwykle (znowu błąd! - tym razem stylistyczny; należy unikać zestawień głosek podobnie brzmiących, czy jakoś tam), a więc ja i tym razem nie miałabym odwagi wyłączyć mu podawanej zupy na tę jego wykształconą, szlachetną głowę - mimo iż zawsze miałam gdzieś unikanie dwa razy tego samego słowa w jednym akapicie, co dla Roberta stanowiło rażące pogwałcenie norm współżycia społecznego.

Tak zatem, zanim doszło do morderstwa, najpierw doszło do domu w Kornwalii.

Niczym niecelnie rzucony bumerang, wróciłam na wieś i nawet nie miał mnie kto złapać, toteż czułam się, jakbym upadła prosto na twarz przed Robertem Plathem, moim mężem, który postanowił nie opuszczać Londynu ze względu na ważne obowiązki służbowe.

Ale Robert nie żył właśnie od dziesięciu minut i teraz już, zdana wyłącznie na siebie, musiałam podnieść się sama.

2.

Jeszcze dziesięć minut wcześniej wszystko wyglądało inaczej.

Rozległy ogród, oczko wodne, równo przystrzyżony żywopłot i zielony jeż trawy; wszystko to wymagało pracy i było wizytówką pana domu. Kije golfowe w mrocznym holu oraz czerwony dywan na trzeszczących schodach do sypialni (producent schodów dawał gwarancję, że zaczną skrzypieć dostojną starością już po paru miesiącach i dotrzymał słowa). Do tego jeszcze rozciągający się z okien na górze widok na

pobliskie morze, i to po obu stronach domu. Zupełnie bym zapomniała - i całych sto dwadzieścia stóp własnej plaży! Rustykalna sielanka. Nic, tylko żyć, nie umierać.

No właśnie.

Wszystko to tonące w szarym, niemrawym kapuśniaczk. Jesienna wieś angielska; gumowy buty, watolina w kamizelkach, psy i dubeltówki. Codzienne zakupy w zaprzyjaźnionym sklepie, zdrowy zapach końskiego łajna, dobrej whisky i butwiejących glonów.

Miało być ciepło, bezszelestnie i wygodnie. Opadające w promieniach słońca złote liście, przytulny jazz, welur tapicerki i co najwyżej prochowce. Ale jesień rozczarowywała nas tego roku. Żadnych długich spacerów, żadnego wygrzewania się w słońcu pod kocem na leżaku przed domem. To, co się udało, to tylko whisky.

Lało jak jesienią w Szkocji, Atlantyk był lodowaty, wiał porywisty, zimny wiatr, chłód przenikał cały dom i, że się tak wyrażę, także moje serce.

Podczas budowy domu poznałam Gordona Browna, a potem żonę Gordona - Laurę.

Gordon, zażywny jegomość w naszym mniej więcej wieku, był przedsiębiorcą budowlanym. Laura natomiast, jak już powiedziałam, była jego żoną i polubiłyśmy się od pierwszego spotkania.

Okrągły, ruchliwy, sztucznie wylewny Gordon, w spoconym krawacie, z tonsurą rzadkich, rudawych włosów wokół lysiejącej czaszki; z piegowatymi dłońmi o żółtych od nikotyny palcach i w rozdeptanych butach, zasmucał mnie dodatkowo wymuszoną witalnością. Laura stanowiła jego przeciwieństwo. Chuda, wysoka, małomówna i chyba skromna. Dużo paliła i prawdopodobnie niewiele mniej piła. Mimo to zawsze odnosiłam wrażenie, że to ona w ich związku nosi spodnie, a w sukienkach jest tylko jej wygodniej.

Wylądowałam w Porthpean - zapadłej dziurze na południu Kornwalii, składającej się z trzech domów na krzyż, melancholijnych pól i kawałka plaży.

Żeby to jeszcze było odrobinę tylko większe Duporth albo

całkiem przyjemne Charlestown lub nieco bardziej oddalone Car-lyon Bay, że już nie wspomnę o St. Austell.

Doprawdy nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie Frederic i Ester Boltonowie, nasi sąsiedzi, oraz Patrick i Lotta Keatonowie, którzy mieszkali tuż obok Boltonów. Następnie poznałam Chrisa i Mo-irę Daltonów i zanim się zorientowałam, znałam już wszystkich w Porthpean. W każdym razie czułam się rażniej (znowu fatalna zbitka, której nie pochwaliliby Robert).

Znacznie starszy od swojej żony Frederic większość czasu spędzał w Plymouth, gdzie prowadził salon sprzedaży samochodów. Poważny i niedźwiedziowaty, wzbudzał całą swoją postawą zaufanie, jak każdy dobry sprzedawca aut. Miał mocny uścisk dłoni, szeroki uśmiech i młodą Ester. Filigranowa Ester, introwertyczna brunetka ostrzyżona na pazia, próbowała być malarką. W poplamionych farbami džinsach i w trampkach na bosych stopach, sprawiała wrażenie młodszej, niż była w rzeczywistości i bardziej pasowała do okolicy aniżeli do swojego męża.

Boltonowie, jak już wspomniałam, sąsiadowali z Keatonami. Komandor (w stanie spoczynku - lub raczej wypoczynku) Patrick Keaton wyglądał i zachowywał się dokładnie tak, jak powinien jego zdaniem zachowywać się komandor w stanie spoczynku Patrick Keaton. Możliwe, że inny komandor w stanie spoczynku wyglądałby inaczej i inaczej by się zachowywał, a więc nie nosiłby przystrzyżonych niczym szczotka ryżowa wąsów, a jego sposób mówienia nie przywodziłby na myśl komend wydawanych sternikowi w czasie zimowego sztormu na Morzu Barentsa, zaś jego chód byłby mniej energiczny i gesty równie mniej dramatyczne, ale taki komandor w stanie spoczynku nie przypominałby tak bardzo komandora w stanie spoczynku. Jeśli jednak Patrick Keaton rzeczywiście nim był, to jego żona, Lotta, musiała co najmniej być admirałem w stanie czynnym. Dystyngowana i postawna Lotta wydawała z siebie dla odmiany dźwięki kojarzące się z komendami dla sternika żeglującego we mgle. To ona wytyczała kurs na kompasie Patricka Keatona,

wyznaczając strony świata swoim posągowym biustem. Puszczający na polu kanonadę wiatrów komandor, zwijał się w domu w kłębek opuszczonych żagli, wychodząc co najwyżej do ogrodu, by wypuścić sobie cichego latawca.

Za to Chris i Moira Daltonowie, a ściślej biorąc Christopher Dalton i jego żona, lady Moira Hailsham-Dalton, wydali mi się całkiem sympatyczni. On był jeszcze całkiem młody i brał udział w amatorskich wyścigach samochodowych. Średniego wzrostu, może nieco nazbyt chłopięcy, jak na swoje jakieś trzydzieści pięć lat; wysportowana sylwetka, staromodna apaszka pod szyją, kolorowa koszula, jednym słowem playboy w starym, niemodnym i na dodatek przerysowanym stylu. W obecności Moiry nazywał mnie Piękną Heleną, co bardziej mi przeszkadzało niż jej. Nigdy nie odgadłam, czym się właściwie zajmuje, poza rozbijaniem kolejnych aut. Przypuszczalnie zajmował się Moirą, której najwidoczniej to odpowiadało. Atrakcyjna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia Moira nie miała kompleksów. Ruda, zgrabna, większość czasu spędzała na leżaku w ogrodzie, ze szklaneczką burbona i książką, o ile nie towarzyszył jej Chris, a Chris rzadko nie towarzyszył Moirze. Moira, jako jedyna, nigdy nie zadała mi żadnego z tych krępujących pytań dotyczących męża, dzieci i skąd się tu wzięłam, słusznie uznając, że prędzej czy później sama jej to powiem, a jeśli nawet i nie, to w końcu i tak domyśli się odpowiedzi.

Wkrótce udało nam się zdobyć nawet pewną popularność w St. Austell, która umożliwiła Robertowi założenie lokalnej gazety. „St. Austell Herald” zaczęła się ukazywać co tydzień, dokładnie od chwili zakończenia budowy przez Gordona Browna. Rok później Robert został wybrany do rady miasta St. Austell.

Odtąd coraz więcej czasu spędzałam w Porthpean, a coraz mniej w Londynie, gdzie z powodu mojej nieobecności Robert musiał sam opiekować się Mary Bedford.

Tymczasem „St. Austell Herald”, składająca się z jednego Grahama Newmana, jednocześnie naczelnego redaktora i nauczyciela wychowania fizycznego w szkole w St. Austell,

jednego komputera i jednego pokoiku od podwórza, wynajętego od Klary Heller w jej domu, urosła do rangi organu opiniotwórczego, czytanego z niemniejszym zainteresowaniem od całej prasy londyńskiej.

Nasza pozycja w socjecie St. Austell rosła. Na wyżyny wspomnianej już popularności wzniosł nas zaś charytatywny koncert z udziałem miejscowego chóru parafialnego i orkiestry dętej, zaszczycony udziałem zamiejscowych gwiazd - oczywiście Mary Bedford i Henry'ego Osmonda.

W ten sposób księżę Robert, inwestując w transport Mary i Henry'ego oraz w zakup baloników (nie zapłacił nawet pensa Mary i Henryemu) dochrapał się członkostwa w komisji planowania przestrzennego i inwestycji w St. Austell, której stanowisko przewodniczącego piastował od ostatnich wyborów Peter Donovan, prywatnie właściciel stadniny koni i klubu jeździeckiego w Duporth (Betty Donovan, jego żona, uczyła języka angielskiego w tej samej szkole w St. Austell, w której pracował Graham Newman).

Energiczny, przedsiębiorczy Peter Donovan był dla mnie zagadką. Reprezentował typ współczesnego dżentelmena, pochłoniętego misją odniesienia sukcesu. Średnio przystojny, średnio przejemny, średnio wykształcony i średnio zadowolony z siebie.

Trudno mu było coś zarzucić i jeszcze trudniej za coś pochwalić. Peter nie miał ani wad, ani też zalet. Tylko cechy, które w danych okolicznościach mogły różnie skutkować. I to było w nim właśnie niepokojące. Betty Donovan okazywała się taka sama. Jakoś nie mogłabym określić, czy była wysoka, czy niska, szczupła, czy zaokrąglona. Bywają tacy ludzie, na których możesz patrzeć godzinami i niczego o nich nie móc powiedzieć z całą pewnością. Donovanowie mieli dwoje dzieci, lubili psy i konie i nigdy nie pili za dużo. Peter angażował się w życie społeczne Duporth, gdzie wraz z Betty mieszkali i gdzie prowadził swój ośrodek, działał także, jak już wspomniałam, w St. Austell. Znajomość z Robertem musiała być dla niego cenna, odniosłam nawet wrażenie, że do pewnego stopnia mu nadskakiwał. Nie ulegało również wątpliwości, że z kolei Peter stanowi dla mojego męża, jak sam to kiedyś określił - ważne

ogniwo w łańcuchu pokarmowym St. Austell. Peter otwierał bowiem przed Robertem drzwi do miasteczka, oszczędzając mu tym samym konieczności ich wyłamywania.

W tej sytuacji nie mogłam się nie zgodzić i nie zostać najpierw członkinią kółka teatralnego w St. Austell, a niedługo potem jego przewodniczącą.

W ciągu pięciu sezonów udało mi się wystawić osiem premier, w tym po jednej Hamleta, Romea i Julii oraz Makbeta z niezapomnianą Klarą Heller w roli Lady Makbet i nieco od niej mniej sugestywnym, choć chłopięco odkrywczym sierżantem Tallowem z policji w St. Austell.

Z górą pięćdziesięcioletnia pani Heller nadała dramatowi zupełnie nowy kontekst, popychając do zbrodni o wiele młodszego od siebie Makbeta, wmawiając prowincjonalnemu policjantowi, że może zostać królem. Oklaskom nie było końca.

Laura Brown, żona naszego budowniczego, gratulowała mi nawet osobiście pomysłu.

Bo to był w samej rzeczy pomysł. Kto, jak kto, ale my, to znaczy ona i ja, to rozumiałyśmy.

Nawet wyrzeźbiona z dyni czaszka Yoricka w dłoni Hamleta nie była potem w stanie przyćmić tamtego sukcesu. Bo to Lady Makbet głosiła o swoim być albo nie być. Przemawiała ustami pani Heller, która mimo wieku mogła jeszcze się podobać, gdyby miała komu.

Premiery jednak odbywały się rzadko, ale w Porthpean bywałam jeszcze częściej niż dotąd i zatrzymywałam się na coraz dłużej.

Tak się bowiem składało, że zawsze było coś do zrobienia, jak to przy domu. Nie mogłam jednak wszystkiego robić sama. W końcu udało mi się zatrudnić na stałe miejscową złotą rączkę

- Bena Forestera, a do pomocy w kuchni i sprzątaniu Glorię (której nazwisko zawsze mi umykało).

Pomoc obojga była mi zresztą nieodzowna. Podczas gdy mój wielki mąż robił równie wielkie interesy w Londynie, ja biegalam po jego letniej rezydencji z wielkim śrubokrętem i jeszcze większym młotkiem w rękach, wdychając zapach farby i nawozu z otaczających dom pól (gdyby Robert przeczytał to

zdanie, zaraz wytknąłby mi łatwą symbolikę, wskazującą na gnój jako naturalne otoczenie jego szczytowego osiągnięcia życiowego oraz zapach farby, mający w zamierzeniu pokryć ów gnój warstwą malowanego blichtru). A skoro już o symbolice mowa; nasz zamek (my home is my castle), zaprojektowany w stylu myśliwsko-wiejskim, coś pomiędzy tym, co zwykle nazywać się court, a tym, czego nie zwykle się nazywać manor, został postawiony z czegoś w rodzaju odpadów stolarskich wymieszanych z klejem, pokrytych jedną dziesiątą cała świetności. Rzec by można, że świetność mojego męża, a co za tym idzie i moja, została zdziesiątkowana najnowszą technologią budowlaną zza Kanału, który tak przewrotnie rozciągał się za oknami naszej sypialni.

Czy w tak pomyślanej sypialni mogłam zasnąć spokojnie? Dwadzieścia pięć lat wyrzeczeń sprowadziło mnie z powrotem na wieś, skąd jedyną ucieczką był już tylko Atlantyk.

Nie, nie nadawałam się na Ofelię. Nie chciałam dać się utopić w morzu mojej krzywdy (Wybacz Robercie ten patos, ale starałam się go osłabić zrzecznością skojarzenia).

Odtąd zamiast iluminacji Londynu widywałam zmrok zapadający w ogrodzie, a potem, gdy rozpałałam kominiek w salonie, nieprzeniknioną czerń za oknami.

Przestrzeń za progiem, po otwarciu drzwi, pachniała chłodem i wilgocią. Poza nią nie było już nic, tylko cisza, podkreślona ujadaniem psa gdzieś w oddali. Światła w oknach rozjaśniały ogród na nie więcej niż kilkanaście stóp. Próbowалаm zorientować się w kierunkach. Gdzieś musiał przecież być Londyn... Czasem wydawało mi się, że słyszę odgłos morza. Ale równie dobrze mógłby to być szum wiatru w gałęziach drzew.

Zamykałam za sobą drzwi i machinalnie włączałam telewizor. Pewnego razu zobaczyłam Mary Bedford, zaraz po dzienniku. Wiedziałam już, że to dobry czas antenowy. Jak by to powiedział Robert? - to dzięki niej mogłam ją teraz podziwiać w telewizji? Tu, na tym pustkowiu.

- Porthpean to spokojna okolica - stwierdził kiedyś. - Ale na wszelki wypadek coś ci kupiłem.

Potem podał mi ładnie zapakowane pudełko, które po otwarciu ukazało pistolet.

- Wiem, że to bez sensu... ale jeśli masz poczuć się lepiej... - dodał.

Nie zapytałam go dlaczego niby to miałabym poczuć się lepiej z powodu pistoletu. Czy chodziło mu o to, że mogłam teraz kropnąć sobie w łeb? (Z jednej ze strzelb, które już mieliśmy, byłoby to o wiele trudniejsze).

Lecz to nie za przyczyną pistoletu poczułam się w końcu lepiej, ale z powodu doktora Timothyego Hestona, którego poznałam w St. Austell.

Właściwie to on mnie poznał, zanim się poznaliśmy.

- Czy pani Plath? - zaczął mnie niespodziewanie na ulicy w St. Austell.

Musiałam wyglądać na zaskoczoną, bo pospieszył z wyjaśnieniem.

- Nie wiem, czy zdaje pani sobie sprawę, że wszyscy już tu panią znają... Tylko nie ja... Ależ tak, proszę nie zaprzeczać - uprzedził mój protest - jest pani naszą nową mieszkanką, a wieści szybko się rozchodzą, zwłaszcza odkąd mamy „St. Austell Herald”. To doprawdy wspaniałe móc poznać kogoś z Londynu. Jestem doprawdy zaszczycony.

Przedstawił mi się, ujmując wylewnie moją dłoń i wręczając wizytówkę.

- Proszę nie poczytywać mi tego za grubiaństwo - dodał - ale tak rzadko mamy tu kontakt z wielkim światem, że najchętniej zagadałbym panią na śmierć. Mam nadzieję, że pozwoli pani się kiedyś zaprosić ponownie do St. Austell i poświęci odrobinę czasu na rozmowę z wiejskim lekarzem.

Czy mogłam się nie zgodzić?

Timothy Heston był mężczyzną w średnim wieku (może nieznacznie młodszym ode mnie). Jako lekarz prowadził własną niewielką praktykę w St. Austell, która obejmowała także Duporth, Charlestown, Carlyon Bay, a po pewnym czasie i mnie...

Spokojny, uroczo niezgrabny Timothy, z tą swoją nieodłączną fajką w zębach; lekko już łysiejący, mówiący powoli i cicho.

Myślałam, że takich wiejskich lekarzy spotyka się tylko w kryminałach Agathy Christie. Tymczasem proszę bardzo, oto stał przede mną właśnie ktoś taki; lekko przygarbiony, szczupły, w rogowych okularach (a jakże), głupio uśmiechnięty. Marynarka z zamszowymi łatami na łokciach i wypchane na kolanach sztruksowe spodnie... - lokalny spowiednik i mąż zaufania - niepoprawny safandula i nieoczekiwane bystry obserwator w jednym.

Zaopiekował się moim ciśnieniem oraz bezsennością.

Wiem, że brzmi to dwuznacznie, ale dobry lekarz leczy nie tylko ciało, lecz i duszę, przy okazji leczenia ciała.

No dobrze, wyjaśnię tę kwestię dokładniej.

Zapobiegliwy doktor Heston stał się bowiem mile widzianym gościem w naszym, moim i Roberta, cichym domu w Porthpean. Właściwie to był cichym gościem w naszym zapobiegliwym i mile widzianym domu w Porthpean, albo też mógł być zapobiegliwym gościem w naszym mile widzianym, cichym domu w Porthpean.

Żadna jednak z powyższych kombinacji nie oddawała całej prawdy.

Drogi doktor Heston; nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Co by to jednak nie było, nie byłoby tym, co chciałabym robić.

Trzeba było go widzieć, jak opowiada o grypie któregoś ze swoich pacjentów. Wprost zarażał zapalem niesienia ulgi. Naprawdę stanowił sympatyczną rozrywkę, zwłaszcza w monotonii jesiennych dymów snujących się ponad burymi polami.

Ciepła, choć szorstka skóra dzika przed kominkiem (prawdziwy tym razem marmur), wesoło igrający ogień, odgłos wiatru za bezpiecznymi szybami i doktor Heston w fotelu Roberta, nalewający whisky, która, jak już wspomniałam na wstępie, udawała się każdego roku, jak zawsze.

Gloria podaje kolację, gdy Timothy sumituje się (bez przekonania), że musi wracać do czekających pacjentów, a tymczasem salon roztacza cały swój urok domowego ogniska i whisky (która też na swój sposób buzuje).

Tak oto zaczynałam mieszkać w Porthpean.

Wszystko może jeszcze jakoś ułożyłoby się, niczym starzy małżonkowie w oddzielnych sypialniach, gdyby Robert pozwolił mi o sobie zapomnieć (Musisz przyznać, że ta konstrukcja całkiem mi się udała, nie wynika z niej jasno, czy miałabym zapomnieć o tobie, czy o sobie samej). Ale Robert, i to bez względu na okoliczności, mi na to nie pozwalał. Jego barbarzyńskie najazdy w otoczeniu londyńskiego dworu uzmysławiały mi tylko jeszcze dobitniej moje odosobnienie.

Musielibyście widzieć mojego męża, który nie znosił koni, jak dosiada o wiele większego od siebie ogiera (Sam rozsądz Robercie, czy ta gra słów ma sens). W idiotycznym toczku na głowie i bryczesach opinających krzywe łydki, paradował sztywno, jak astronauta przed wystrzeleniem go na orbitę własnych ambicji.

Towarzystwo zwykło budzić się dopiero około południa, gotowe wieść ziemiański, zdrowy tryb życia. Walilo ze strzelb do ptaków i kotów, rozbijało śrutem szyby w oranżerii i oddawało królestwo za konia. Po południu, Robert, już przebrany, zgadnijcie, tym razem za kogo, a zatem mój mąż, weekendowy włościanin, przebrany na przykład za niejakiego Roberta Platha z Londynu, przedsiębiorcę z branży show-biznesu, wybierał się do St. Austell udawać dobrego wujka, który rozda tamtejszym licealistkom, zrzeszonym w sekcji piłki ręcznej, piłki ręczne (po dwie na głowę, to znaczy po jednej na rękę - zboczeniec). Ponieważ jednak w weekend było to niemożliwe, gdyż piłkarki leczyły kaca po sobotniej dyskotecie w zupełnie cudzych rękach (St. Austell, za pośrednictwem TV satelitarnej i Internetu, starało się być na bieżąco z obyczajowością), mój mąż zrzucił z siebie przebranie dobrego wujka piłki ręcznej, czyli brata piłki nożnej i zamienił się w członka (nomen omen) rady St. Austell. To przebranie wymagało zaś od niego wizyty w kilku pubach. I wszystko to w czasie, gdy ja musiałam bawić Geraldine Osborn i Mary Bedford rozmową o urokach życia na

wsi!

Sportowy kabriolet Roberta, z niemieszczącą się w bagażniku perkusją... Piece Marshała w salonie i rockandrollowy łomot docierający z wiatrem aż do Duporth... Sztuczne ognie, prochy i jak zawsze, wszędzie rzygowiny. Zupełnie obcy ludzie gązcy się w moim łóżku, łajno naniesione z pola do kuchni (znowu ta symbolika, od której nie sposób uciec Robercie, mój mężu), łajno w salonie, łajno na schodach, wszędzie ślady krowich odchodów. Henry Osmond, rzucający przydługie dowcipy przez całą długość holu i kompletnie zalana Geraldine Osborn, usiłująca przekrzyknąć przy mikrofonie Mary Bedford. Dwie jasnowłose wyznawczynie najstarszego w świecie kultu, tłukące się po głowach mikrofonem, niczym jakimś współczesnym symbolem fallicznym jakichś tam Celtów, wrzeszczące do siebie w prastarym języku (gaelickim?), którego nie trzeba było wcale studiować, by zrozumieć o co chodzi. Pierwotne wycie na pierwotny temat. Ale, ale - czyż nie znajdowaliśmy się na wsi - miejscu orgiastycznego oczekiwania na zrównanie dnia z nocą, człowieka z naturą i kobiety z mężczyzną?

Najpóźniej o dziewiątej, w poniedziałek, wszyscy musieli już być w Londynie. To znaczy Robert musiał, a związku z tym (to znaczy z nim) musieli tam też się znaleźć Geraldine, Mary i Henry (o ile Henry akurat nas odwiedził). I kto miał ich tam zawieźć, jeśli skończyli pić przed świtem? No kto? To też zgadnijcie.

Trzeba było wstać naprawdę wcześniej. Potem jeszcze zrobić śniadanie dla wszystkich, bo Gloria za żadne skarby nie przyszła- by z Duporth przed świtem, natomiast jej nocleg u nas nie wchodził w rachubę.

- Ja też, proszę pani, mam swoje życie - powiedziała mi kiedyś, pociągając dumnie nosem, gdy nieśmiało próbowałam jej zaproponować zostanie na noc.

W międzyczasie, to znaczy mniej więcej w trakcie przygotowywania śniadania, należało także dobudzić Geraldine Osborn i Mary Bedford (jeśli ta ostatnia akurat nocowała u nas - bo Geraldine nocowała zawsze).

Właściwie najpierw cieszyła mnie ta okazja do odwiedzin

własnego domu w Londynie i możliwość ponownego zobaczenia Regents Park (nadal tam miałam sporo swoich rzeczy - głównie garderoby, ale również i wiele osobistych drobiazgów). Przynajmniej dopóki nie odkryłam w naszej sypialni olejnego aktu Mary Bedford, naturalnej wielkości, nad swoją połową łóżka (akt był, za przeproszeniem, jeszcze mokry).

Kto jeszcze więc pragnął wtedy zabić Roberta?
Teraz miałam się tego dowiedzieć.

Rozdział II

1.

- Zapowiadają przejaśnienia podczas weekendu - poinformował mnie Robert przez telefon, dzwoniąc pewnego dnia z Londynu.

- To znaczy, że przyjedziesz? Wolałam się upewnić, gdyż ładna pogoda mogła podsunąć mu zgoła inny pomysł.

- Myślę, że można by urządzić małe przyjęcie. Wiesz, nic zobowiązującego, tylko najbliżsi znajomi i paru sąsiadów z Porthpean.

Robert uwielbiał, jak już wiecie, rolę tweedowego gospodarza.

- Dobrze. Porozmawiam z nimi - odpowiedziałam.

Chyba wyczuł rezerwę w moim głosie, bo dodał: - Zobaczysz, będzie całkiem miło. Roger zapowiedział ognie sztuczne. Można by także zorganizować jakąś zabawę w ogrodzie; już dawno nie urządzaliśmy na przykład zawodów balonowych... Lubisz je, prawda?

Roger Cavendish był dyrektorem artystycznym i współwłaścicielem agencji reklamowej Graphicus w Londynie. Drugim współwłaścicielem była Brenda Blake, zwana przez Roberta Black Brandy. Niemniej to Robert wyłożył większość pieniędzy na stworzenie agencji i to on tak naprawdę czerpał z

niej największe korzyści.

Roger Cavendish byłby uderzająco pięknym mężczyzną, gdyby w takich kategoriach oceniano urodę mężczyzn. Jednak słowo piękny w jakiś szczególny sposób do niego pasowało. Może było coś miękkiego w tym okazałym, barczystym mężczyźnie o regularnych rysach twarzy i proporcjach greckiego posągu i to coś, przy bliższym poznaniu, rozczarowywało. Aksamitny Roger Cavendish, z wielkimi jak bochny chleba, a mimo to kształtnymi dłońmi, w żadnym razie nie nadawał się na boksera. Za bardzo dbał o siebie. Olśniewający bielą uśmiech, szpakowate, o doskonale dobranej długości, starannie przystrzyżone włosy i nienaganne marynarki, zawsze pasujące kolorem do szkarpetek, nie budziły, mówiąc wprost, zaufania do Rogera Cavendisha.

Za to Brendy Blake, szczerze rzekłszy, natura nie obdarowała zbyt hojnie. Niemniej Brenda była żywym dowodem na to, ile można dokonać umiejętnie tuszując niedoskonałości ciała. Lecz jej sukces nie na tym bynajmniej polegał. Ta niewysoka brunetka ze skłonnościami do tycia, o dość sympatycznej, choć w gruncie rzeczy pospolitej twarzy, miała bowiem coś, co zdecydowanie wyróżniało ją spośród innych. Charakter. I autentyczny... no cóż muszę to przyznać, wrodzony wdzięk. O tak, silna osobowość Brendy robiła wrażenie. Wykształcona, odcytana, pewna siebie do granic bezczelności i błyskotliwa Brenda Blake owijała sobie mężczyzn wokół palca z szybkością polującej na świnki pekari anakondy. Umiała wybrnąć z każdej sytuacji, pokrywając gafy celnym dowcipem i nic sobie nie robiła z porażek (których zresztą rzadko doświadczała).

-Wiem, że mam podły charakter, Hellen - powtarzała mi czasem. - Jestem egoistką, uwielbiam pieprzyć się z facetami i nie boję się Boga. Prawdę mówiąc, powinnaś pluć pod nogi takiej li- kwidatorce piekła jak ja... A jednak mój libertynizm cię pociąga, prawda? Próbujesz mnie nawet naśladować, czyż nie?

Niestety, rzeczywiście tak było. Brenda imponowała mi. Wszystkim. I nic nie mogłam na to poradzić. Miała swój styl, którego nawet nie potrafię opisać. W jej sposobie bycia było coś

lekkiego, eleganckiego, pełnego jakiegoś egzotycznego uroku, coś, czego nigdy nie nauczył mnie Robert.

Wyrafinowana, światowa i cyniczna Brenda oraz jej męski odpowiednik, Roger Cavendish (tak na sto procent nie dowierzałam jego męskości); nie lubiłam ich, choć nigdy nic złego mi nie uczynili. Wręcz przeciwnie, okazywali, by tak rzec, wiele kurtuazji. I za tę kurtuazję, podszytą aż nazbyt jawnie protekcyjnością, miałam prawo ich nie lubić.

Teraz mogłam się spodziewać obojga w Porthpean, bo nie-szczęścia zawsze chodzą parami.

- Czy Brenda też będzie? Chciałam mimo wszystko się upewnić.

Usłyszałam z drugiej strony słuchawki westchnienie Roberta.

- Wiem, że nie przepadasz za nią - powiedział - mimo że ona czuje do ciebie autentyczną sympatię. Jesteś uprzedzona. Masz kompleks Kopciuszka wobec Brendy. Zupełnie jednak niepotrzebnie. Brenda szanuje twoją odrębność, może nawet ci jej zazdrości.

Już przyzwyczaiłam się do psychoanalitycznych wywodów Roberta i nie robiły na mnie wrażenia. Pomyślałam tylko, że jeśli Brenda istotnie szanuje moją odrębność, to ten niezgrabny dureń tylko właśnie ją w tej chwili potwierdził, przyznając niechęć, że nie należę do świata Brendy. Nie chciałam, żeby ktokolwiek, jej i Rogera pokroju, darzył mnie „autentyczną” sympatią, jaką odczuwa się do małpek w zoo.

Zatem miałam przed sobą Brendę Blake i Rogera Cavendisha i, jakby ich było już nie dość, jeszcze te zawody balonowe!

Zabawa polegała na znajdowaniu rozwieszonych w ogrodzie baloników. Należało je odszukać już po zmierzchu, bez użycia światła. Każdy znaleziony balonik przekłuwało się. Zwycięzał oczywiście ten, kto przekłuł ich najwięcej.

Nie wiem, kto ją wymyślił. Ale ci intelektualiści za nią przepadali. Zwłaszcza Roger Cavendish, co Brenda traktowała z matczyną wyrozumiałością.

Prawdę rzekłszy, nigdy nie rozumiałam związku łączącego ją z Rogerem. Wydawali się, na pierwszy rzut oka, parą idealnie zgranych przyjaciół, lecz nic ponadto. Jednak musiała ich

łączyć jakaś ukryta zależność i wszystko wskazywało na to, że nie była to zależność wyłącznie finansowa. Brenda bałwochwalczo liczyła się z opinią Rogera i to, jak zauważyłam, nie tylko w kwestiach zawodowych (Brenda była z kolei dyrektorem handlowym agencji).

- Kogo jeszcze zaprosiłeś?

- Sarę Rawlins... - odparł, z niejakim, jak mi się wydawało, wahaniem. - Chyba jej nie znasz. Całkiem dobrze zapowiadająca się aktorka. Zobaczysz, spodoba ci się...

- Młoda?

- Owszem. Dość młoda. Ale jedynie młodzi bywają zdolni...

Na dźwięk tych słów ścisnęło mnie coś w dołku.

- To prawda - powiedziałam tylko. - Starzy bywają zdolni co najwyżej do wszystkiego.

Nie ulegało wątpliwości, że mój mąż znalazł sobie nową kochankę.

- Niepotrzebnie próbujesz być uszczypliwa - stwierdził nagle.

Więc jednak była jego kochanką.

- Życie w Londynie różni się od życia w Kornwalii - dodał po chwili. - Nigdy nie chciałaś tego zrozumieć.

- To może nie należało mnie zsyłać do Porthpean?

- W Londynie też tego nie rozumiałaś.

- Dlatego się mnie pozbyłeś?

- Nie wracajmy już do starych wątków - w jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Czy ja ci robię wymówki z powodu opiekuńczego doktora Hestona?

Roześmiałam się.

- To prawda, nie robisz. I to jest jeszcze bardziej upokarzające!

Westchnął.

- Gdyby było tak, jak myślisz, że jest, rozwiódłbym się z tobą

- jego głos w słuchawce był już spokojny. - Ożeniłbym się z Czarną Brandy albo z tą idiotką Geraldine, albo nawet z Rogerem.

Najwyraźniej próbował spacyfikować mnie jak zwykle żartem.

- No właśnie - podchwyciłam - ale tego nie zrobisz, bo Brenda

nie dałaby się nabierać na tę, jak sam przyznajesz, idiotkę Geraldine, ani na Mary Bedford. W dodatku Brenda przyprawiłaby ci rogi, zanim byś poczuł swędzenie na tym swoim pustym czerepie.

- Masz rację - przerwał mi. - Sama widzisz, że jesteś niezastąpiona.

Czasem zastanawiałam się, czy Brenda nie była także kochanką Roberta. Teraz dochodziła do tego jeszcze ta, jak jej tam było, Sara, Sara Rawlins.

Boże!

- Zaprosiłem jeszcze tego żeglarza, Dereka Warwicka. Zapewne słyszałaś o nim?

Rzeczywiście, czytałam coś na jego temat.

- To ten, który opłynął kulę ziemską w wannie?

- Nie. Facet wygrał regaty samotników dookoła świata. Świetny gość, przekonasz się. Będziemy robić o nim program dla BBC.

- Kto zajmie się przygotowaniem zawodów balonowych? Postanowiłam zmienić temat.

- Zawodów balonowych? - Robert wydawał się zaskoczony moim niespodziewanym poddaniem się. - Rozumiem. Roger już się sam ofiarował w tej sprawie - podjął skwapliwie. - Widocznie dmuchanie dobrze mu robi.

Policzyłam szybko; Ja i Robert to dwie osoby, na pewno jeszcze Geraldine Osborn i Mary Bedford (a jakże) oraz ta cała Sara Rawlins, Roger Cavendish i Brenda Blake, do tego także być może Henry Osmond i na dodatek Keatonowie, Boltonowie i Daltonowie (przecież mieli być też sąsiedzi z Porthpean), no i jeszcze, no niech będzie, doktor Heston; w sumie piętnaście osób. Piętnaście, plus mniej więcej po pięć baloników na każdego, to dawało co najmniej jakieś siedemdziesiąt pięć baloników.

- Roger będzie się czuł nieźle wydmuchany - zauważyłam.

- Wypadnie mu przygotować z osiemdziesiąt baloników.

- Nie lubię, kiedy ironizujesz na temat homoseksualizmu

- uniósł się Robert. - To trywialne. To mnie właśnie w tobie irytuje: brak tolerancji.

- Uważasz, że nie jestem tolerancyjna?!
 - Tylko nie zaczynaj, proszę, o Mary Bedford!
 - Nie? To znaczy, że na Sarze Rawling mam skończyć?
 - Nie Rawling, tylko Rawlins! Że też ty nigdy nie zmusisz się do zapamiętywania nazwisk w ich poprawnym brzmieniu.
 - Chyba to lepiej dla ciebie, że ich nie pamiętam?
- Robert jednak trzymał się twardo.
- Nie zapomnij zaprosić Donovanow - powiedział.
- Może ta Sara Rawlins jednak nie była jego kochanką?
- Donovanow? Oni też mają być? Przecież mówiłeś, żeby zaprosić sąsiadów. Donovanowie mieszkają w Duporth...
 - To nic. Donovanow również zaprosz. Peter jest przewodniczącym komisji planowania w radzie St. Austell. Aha, i jeszcze tego, jak mu tam, no wiesz, tego dziennikarza z „St. Austell Herald”, Grahama Newmana.
 - Nie wiem, czy to dobry pomysł, Robercie...
 - Dlaczego?
 - Bo ten Newman pracuje w szkole z żoną Petera Donovanana, Betty.
 - I co z tego? Betty jest żoną Petera, właściciela połowy terenów wokół Duporth. Gdyby nie ja, ten cały Newman mógłby jej czyścić buty z końskiego łajna.
 - No właśnie... Ale teraz Graham Newman trzęsie drugą połową terenów, nie tylko wokół Duporth... W swoim ostatnim artykule nieźle nawet przytarł rogów Peterowi Donovanowi, wspominając coś o przetargu na ziemię w okolicy St. Austell.
 - Żartujesz? Rogów, powiadasz? Więc Peter ma rogi?
 - Nie żartuję.
 - Będę musiał pogadać z tym, jak mu tam?
 - Grahamem Newmanem.
 - Z tym Newmanem. Za dużo sobie pozwala.
 - Uważaj, to teraz figura.
 - Wymówię lokal u tej Heller, skasuję komputer, zakręcę kurek w drukarni i z figury zrobi się figurka, pionek, bo już nawet nie goniec.
 - Newman może wynająć własny lokal i kupić własny komputer...

- Ale tytuł jest zarejestrowany na mnie!
- A jeśli otworzy konkurencyjny tytuł?
- To się wtedy dowie, że podobnie jak ja będzie musiał dopłacać do interesu paręset funtów miesięcznie, tyle że w jego wypadku z nauczycielskiej pensji. Żegnaj wtedy piękna Betty Donovan!

Ale, zupełnie bym zapomniał, zaprosiłem też Brownów. Cieszysz się? Zdaje się, że ty i Laura lubicie się?

- Świetnie. W takim razie zaprosiłeś dwadzieścia osób - odzyskałam wreszcie głos. - Innymi słowy, sto baloników.

- Brawo! - ucieszył się szczerze. - Pięknie to ujęłaś. Masz rację; sto baloników! Panie się ucieszą...

Dwadzieścia osób w domu w Porthpean...

W gruncie rzeczy całkiem kameralne spotkanie. Nie zapytałam, czy Henry Osmond także się pojawi, ale tego nie mógł wiedzieć nawet mój mąż. Henry rzeczywiście pojawiał się kiedy chciał, a już na pewno chciał, by takie właśnie stwarzać wrażenie.

O co mu jednak chodziło w stwierdzeniu, że panie się ucieszą? Może należało o to zapytać.

Chociaż to nie byłby najlepszy pomysł. Mogłabym usłyszeć na przykład, że: - Widzisz? Już one to rozumieją. Wszystkie kobiety mnie doceniają.

Wtedy byłabym zmuszona odrzec: - Nie wszystkie Robercie. Nie wszystkie...

- A która nie?

- Ja. Ja cię nie doceniam.

Wyszłoby to jednak głupio, bo już w samym stwierdzeniu „nie doceniać” zawarty jest niejako kontekst krzywdy, którą to ja tym razem wyrządzałabym Robertowi.

Jak widzicie, wbrew temu, co o mnie sądził, dwadzieścia pięć lat, i to z hakiem, zadawania się z nim, niejednego mnie nauczyło.

Nie o tym jednak chciałam mówić.

Dwadzieścia osób, z którymi należało coś zrobić.

Postanowiłam wybrać się najpierw z osobistym zaproszeniem do Daltonów.

2.

Dom Daltonów położony był na uboczu, w całkowitym niemal odosobnieniu, z dala od nielicznych w Porthpean sąsiadów. Daltonowie mieszkali w nowoczesnym bungalowu, położonym o przeszło milę od nas (doszłam do wniosku, że spacer dobrze mi zrobi). Był to jasny, przestronny dom, o dużych, niczym niezakłóconych taflach okien, okolony starymi lipami i ogrodem, pełnym teraz złotych liści, od dawna już niegrabionych. Za domem znajdował się niewielki basen (wypełniony jeszcze wodą), również pełen liści i przybudówka, utrzymana w tym samym, co dom stylu prostych i oszczędnych linii, w której Chris Dalton zamykał swoje samochody. Całości dopełniał wysypany żwirem podjazd, ostrzegający domowników chrzęstem o zbliżających się intruzach.

Także salon tego domu poddawał się rygorom surowej geometrii, tworząc rozległą przestrzeń, połączoną z holem i błyszczącą chromami kuchnią. Zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz siedziby Chrisa i Moiry Daltonów, dominowała biel, złamana szarością cieni o różnym nasyceniu. Światło, padające przez okna wychodzące w trzech kierunkach, rozrzedzone koronami drzew, musiało o różnych porach dnia, wraz z wędrówką słońca, zmieniać owo nasycenie cieni, sprawiając, że wnętrze zmieniało co jakiś czas nastrój. Projektantowi udało się stworzyć tu klimat przywodzący na myśl fotografie z Gretą Garbo, poddane filtrującemu działaniu parawanów z woalu.

Również meble, których ilość domownicy ograniczyli do niezbędnego minimum, mieściły się w tym założeniu. Ich proste formy nie narzucały swej obecności, a dynamizowały chłodną przestrzeń, przydając jej podobnego napięcia, jakie wnoszą do wnętrza galerii rzeźby. Taką samą, przemyślaną rolę spełniał kominek, sześcienna, gładka kostka z delikatnym antycznym fryzem (prawdopodobnie sprowadzonym nielegalnie z Grecji), podkreślającym jeszcze bardziej brak jakichkolwiek ornamentów czy typowych dla kominków ozdób.

Ascetyczny wystrój, wzbogacony o kilka dużych, modernistycznych obrazów, musiał kosztować fortunę, zwłaszcza jeśli obrazy były oryginałami.

Ten pastelowy, wyciszony świat, którego smak dodatkowo podkreślał widok na złoty o tej porze ogród i widniejące w oddali pola, musiał niewątpliwie przynależeć do koneserów życia, których gusty nie ulegały modom.

- Jeśli twój mąż zamierza dokończyć zniszczenia żywopłotu Boltonów, to chętnie sam mu w tym dopomogę! Nigdy nie zapomnę, co zrobił ostatnio jego koń - wołał właśnie na wieść o przyjęciu Chris, nalewając mi szklaneczkę burbona (zdaje się, że był to ulubiony napój w domu Daltonów).

- No cóż... Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Jesteś niewychowany Christopherze. Sprawileś, że Hellen poczuła się skrepowana - upomniała go Moira.

Powiedziała to łagodnym głosem, w którym pobrzmiwała nuta ukrytego rozbawienia.

- Wiesz dobrze, że zawsze mówię to, co myślę - bronił się.

- Prawie zawsze, Christopherze... o ile już myślisz.

- Dlaczego miałbym ukrywać, że stary Frederic jest równie starym oszustem, jak i naciągaczem?

Zdawało mi się, że Chris bardziej wypowiadał te słowa do mnie niż do swojej żony.

- Po pierwsze dlatego, że dałeś mu się naciągnąć - odparła spokojnie i wydobyła z paczki papierosa. - Po drugie natomiast z tego powodu, że stało się to nie po raz pierwszy.

- No właśnie.

Chris nie wydawał się w najmniejszym stopniu speszony jej enuncjacją.

Patrzyłam na nich i nagle zrozumiałam, że tylko przekomarzają się wzajemnie, znalazłszy we mnie publiczność. Moja wizyta najwidoczniej stanowiła urozmaicenie w ich ogrodowym życiu (rozmawialiśmy akurat w salonie, bo na zewnątrz było zbyt chłodno).

Widocznie Moira nie chciała mimo wszystko rozwijać dalej wątku Frederika Boltona, bo zmieniła temat.

- Czy znowu przyjdzie ten gitarzysta? - zastanowiła się,

próbując najwyraźniej przypomnieć sobie nazwisko. - Henry... Osmond? - popatrzyła niepewnie na męża.

Ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się Chris.

- Musisz wiedzieć, Hellen, że Moira pozostaje pod urokiem kunsztu tego pasterza owiec z Szedandów.

Nie wiedziałam, że Henry pochodził z Szetlandów,

- Nie słuchaj go, Hellen. Chris się, jak zwykle, wygłupia

- machnęła pogardliwie ręką Moira (był to niewątpliwie gest władczyni odprawiającej natrętnego sługę).

- No pewnie, że się tylko wygłupiam - ciągnął niezrażony Chris. - Henry Osmond też się wygłupia, przebierając się za kowboja, a ponieważ jest Anglikiem, może jedynie w naszym kraju wypasać owce. To zajęcie przechodzi tradycyjnie z ojca na syna, tak więc, jeśli Henry Osmond nie pochodzi z Szetlandów, to znaczy, że pochodzi znikąd. A już najbardziej w tym wszystkim wygłupia się Moira udając, że podoba jej się ten cały Osmond...

Moira nieoczekiwanie roześmiała się, krótkim, gardłowym śmiechem.

- Najbardziej to ja się wygłupiam udając, że interesujesz mnie ty, kochanie.

- Sama widzisz, Hellen. Moira przyznała mi rację. Tak naprawdę interesuje ją ten projektant, Roger Cavendish. I to jest dopiero wygłup, bo gość jest ciotowaty, ale ona uwielbia słabych facetów, takich jak ja...

Chris, mówiąc to, podał żonie popielniczkę.

Szybko dopiłam swojego drinka i pożegnawszy się, wyszłam oszołomiona na dwór.

*

Dom Keatonów nie przypominał w niczym tego należącego do Chrisa i Moiry Daltonów. Był to typowy, skromny, jedno-piętrowy wiejski domek z małym ogródkiem i niskim parterem o małych okienkach, których parapety sięgały do pasa. Wybudowany prawdopodobnie jeszcze przed wojną lub tuż po niej, nie zdradzał pretensji do niczego, czym nie był. Pomalowana na zielono furtka pozostawała półgościennie

pólotwarta, informując natychmiast o nadejściu kogoś skrzypieniem nienaoliwionych zawiasów.

Starannie utrzymane rabatki przed frontem, obecnie pozbawione koloru i smutne oraz stara szopa na tyłach, pozwalały domyślać się dalszego, niepozornego ciągu.

Wąski, pachnący terpentyną, ciemny korytarz, za nim salon wyklejony tapetą w kwiatki, a w nim serwantka, kredens z kryształowymi kieliszkami w środku, obite satyną w niegdyś srebrne prążki fotele i taka sama wysiedziana kanapa z mnóstwem poduszek - wszystko to stwarzało obraz ciepły, bo pozbawiony świeżego powietrza. Serwetki robione na drutach, kilka fotografii w starych ramkach i dwa oleodruki nad poczerniałym od dymu kominkiem, przedstawiające bitwę pod Trafalgarem oraz (a jakże) żaglowiec w butelce - tak prezentowała się arkadia Patricka i Lotty Keatonów; codzienność trzeszczących podłóg i woni naftaliny, tykająca miarowo wraz z wahadłem spóźniającego się zegara.

Komandor Keaton powitał mnie wyprężony w progu, z wyrazem twarzy, który z jednej strony zdradzał nieme pytanie, po co tu przyszedłam, z drugiej zaś coś na kształt podniecenia wizytą.

Wyjaśniłam pokojowy cel mojego najścia i zostałam zaproszona do salonu („Siadaj Hellen. Zaraz zrobię nam coś do picia”).

Po dłuższej chwili, gdy temat pogody wydawał się już wyczerpany do ostatniej kropli (zarówno deszczu, jak i whisky w szklance gospodarza), po schodach spłynęła dostojnie Lotta Keaton.

- Przyjście?! Och to wspaniale! - od razu rozpoczęła od całej naprzód, wciągając powietrze w biust, niczym wiatr w żagle.

- Uwielbiam wasze przyjęcia! Robert jest takim uroczym gospodarzem... Szturchnęła mnie łokciem i zmrużyła porozumiewawczo oko.

- Będą ognie sztuczne i zabawa w szukanie balonów – poinformowałam.

- Ależ to cudownie! - zachłysnęła się Lotta. - Słyszysz Patricu? Musimy koniecznie wygrać! Koniecznie!

Mówiąc to podniosła się z sapnięciem z fotela i podążyła ni-

czym lodolamacz w stronę butelki whisky.

- A jak się też miewa Robert? - zawołała tubalnym głosem, nalewając sobie całkiem sporą porcję z odrobiną lodu.

- Dziękuję. Ma dużo pracy - odparłam.

- Ach, ten Robert - cmoknęła, pociągając ogromny łyk. - Pamiętam, jak stratował żywopłot Boltonów! To było naprawdę coś! Prawdziwy mężczyzna z niego, mówię ci Hellen, prawdziwy mężczyzna! Powinnaś być z niego dumna!

- Obawiam się, że Frederic Bolton nie potwierdziłby tego zdania - zauważyłam speszona.

Lotta Keaton roześmiała się.

- Bolton to stary palant! Jego żona, Ester, bądź tego pewna, moja droga, potwierdziłaby to zdanie...

Nie bardzo wiedziałam, czy Lotcie chodziło o potwierdzenie zdania o moim mężu jako o prawdziwym mężczyźnie, czy o zdanie jej samej o Frederiku Boltonie jako palancie.

- No nie wiem... - zawahałam się.

- Ale ja wiem! Każdy sprzedawca samochodów to palant. Cud, że nie smaruje sobie włosów brylantyną. Zapamiętaj to sobie, drogie dziecko, wszyscy ci akwizytorzy, czyli jak to się teraz nazywa, przedstawiciele handlowi, czy za przeproszeniem doradcy - a więc wszyscy oni to dupki żółędne! Kiedyś nazywało się ich domokrażcami, bo krążyli po domach próbując uczciwym ludziom wcisnąć te swoje ubezpieczenia, nieruchomości, patelnie i co tam jeszcze.

Lotta dopiła swoją szklanekę jednym zdecydowanym haustem.

- Przyлизane włoski, sygnet na palcu i dziura w skarpetce!

- dokończyła.

Zauważyłam, że komandor Keaton zaczął wiercić się niespokojnie.

- A tak, moja droga! Już ja ich znam! Zaproponuje ci taki kredyt w banku, a potem będzie przychodził po twoją kanapę!

Komandor Keaton chrząknął ostrzegawczo.

- A ty co się dławisz? - dopiero teraz zwróciła na niego uwagę. Opadła na fotel i ni stąd ni zowąd wyraźnie zrefowała żagle.

- No cóż... Każdy ma prawo żyć, jak chce. Nie gniewaj się

Hellen... To ta dzika okolica... Pochodzę z Walii.

Nieoczekiwanie znowu roześmiała się.

- Walia... - westchnęła z wyraźnym rozmarzeniem. - Tam dopiero było dziko...

Komandor Keaton, przypominający w tej chwili milczący portowy holownik pilotowy, odprowadził mnie do drzwi.

Byłam coraz bardziej oszołomiona. To pewnie alkohol tak na mnie podziałał.

*

Boltonowie zajmowali dom najbliższej nas. Duża, powojenna willa z zaniedbanym ogrodem nie mogła się zdecydować czym chce być i komu służyć. Dwa gipsowe lwy, strzegące bramy do podjazdu, z pewnością nigdy nie miały pazurów. Także reszta klóciła się ze sobą wzajemnie, szukając sensu pomiędzy wiktoriańska kołatką, drzwiami z okresu Tudorów i bawarskim gazonem (pustym, jeśli nie liczyć zielonej deszczówki na dnie).

Przestronny hol wypełniały płaszcze, parasole i gumowe buty oraz rower Ester Bolton.

Za to urządzenie salonu musiało Frederika Boltona sporo kosztować. Intarsjowane meble na wysoki połysk, nawiązujące stylistyką do biedermeieru, i takie same w jadalni, połączonej z salonem rozłożystymi, przeszklonymi drzwiami - zdradzały zakup bezduszny, choć nie nieprzemyślany.

Pośród nich trudno bowiem byłoby dostrzec chociaż ślad obecności właścicieli.

Całości dopełniało kilka obrazów (z pewnością nie autorstwa pani domu), nabytych zapewne podczas wycieczki na West End, dawno temu, kiedy właściciele tego domu odbywali jeszcze wspólne wycieczki.

Salon dzięki temu bardziej przypominał drogi apartament hotelowy w Plymouth niż miejsce do życia.

Także elżbietański kominek ze sztucznego kamienia pachniał nowością.

Drzwi otworzyła mi Ester. Lecz już po chwili za jej plecami ukazał się Frederic.

Wyjawiłam cel wizyty.

- Napijesz się drinka? - zaproponował Frederic tonem, którym, jak mi się wydawało, proponował mi napicie się własnej krwi.

- Dziękuję, nie - odmówiłam.

Już miałam powiedzieć, że wypiłam dwa drinki, ale szybko zreflektowałam się, że po pierwsze wyjdę na pijaczkę, jeśli nie przyznam się jednocześnie u kogo wypiłam, a po drugie, że jeżeli już to zrobię, obrażę Boltonów faktem, że zachowałam ich na koniec.

- Nie czuję się najlepiej - dodałam usprawiedliwiająco.

Frederic nalał więc tylko sobie i Ester (zauważyłam, że jej szklankę napełnił w drugiej kolejności).

- Robert planuje przyjęcie? - powtórzył, chociaż treść mojego wyjaśnienia bynajmniej nie tak brzmiała. Mówiłam w liczbie mnogiej, że to my planujemy przyjęcie.

- To miłe. Widać interesy idą mu dobrze.

Chrząknął.

- Oczywiście przyjdziemy.

- Zawsze przecież wam pomagaliśmy. Czyż nie? - dodał zupełnie nieoczekiwanie.

Odruchowo spojrzałam na Ester, siedzącą milcząco na fotelu w kącie salonu.

Odwzajemniła mi spojrzenie, nie zabierając jednak głosu.

- Ech, Londyn... - Frederic Bolton gotów był podtrzymać własny monolog. - Najlepsze interesy, wbrew pozorom, robi się tu, na prowincji. Twój mąż, Hellen, to zrozumiał. Całkiem niezłe lody kręcą, zdaje się, z Donovanem... Ale mnie działalność społeczna nie pociąga...

Sięgnął po papierosy.

- Bo widzisz... jest zasada: karta-stół.

Zaciągnął się dymem.

- Lubię jasne sytuacje.

Wtedy nagle przerwała mu Ester.

- Frederic jest na to za uczciwy - odezwała się nieoczekiwanie ze swojego kąta. - Dlatego przegrał z wyborach...

Widziałam, jak po jej słowach twarz Frederika Boltona poczerwieniała zniemacka, a potem zbladła.

Zapadła cisza.

- Fakt - przerwał ją po dłuższej chwili - dlatego, jak już stwierdziłem, działalność społeczna mnie nie pociąga.

Powiedział to sztucznie opanowanym głosem i rzucił mi szybkie spojrzenie.

- No dobrze, pewnie i tak kiedyś się dowiesz... Przegrałem z Donovanem, ale grałem uczciwie. W każdym razie nie zapraszałem ludzi na konie... Nie fundowałem im darmowych popijaw po jazdach i pokoi gościnnych.

- Pożyczałeś tylko samochody na jazdy próbne, ale nikt tego nie docenił... - ponownie zabrała głos Ester.

Po tych słowach jakby grom z jasnego nieba trafił we Frederika.

Jego twarz znowu naląła się krwią, by po chwili ponownie zblednąć.

- A tak! Właśnie, że tak! - niemal krzyknął. - Miałem im jeszcze te samochody może darować?! A kto płacił za benzynę? Za mycie? Za naprawy? I wszystkie te przebite opony? Nie mogłem potem tapicerki doprać! A najlepszy z nich wszystkich był ten cały Dalton, bożyszczko wszystkich smarkul w St. Austell! Ścigant z bożej łaski... Rozwalił mi nowiutkiego mercedesa SLK i nawet nie powiedział, żebym go pocałował w nos. Wóz nie był ubezpieczony, bo w końcu po co, skoro facet podobno umie jeździć, ale skąd, no skąd mogłem wiedzieć, że zabierze go na te swoje wyścigi?! Co więc miałem zrobić? Potrąciłem mu na poczet naprawy zadatek za jego porsche, które miałem sprowadzić dla niego ze Szkocji, a i tak musiałem do tego dopłacić. Moira powiedziała, że nic jej nie obchodzą jego i moje interesy i cofnęła swój aport w postaci posesji, na której miałem, zgodnie z umową, otworzyć nowy salon w Plymouth.

Frederic Bolton uspokoił się niespodziewanie, wylawszy z siebie morze swojej krzywdy.

- Widzisz, Hellen, to jest właśnie tak, gdy robi się interesy z gówniarzami - powiedział, zbliżając szklanekę do ust.

- Ale twój Robert to zupełnie inny kaliber - dodał. - Pięknie zaczął... „St. Austell Herald”, to był strzał w dziesiątkę. Że też

sam na to nie wpadłem... Ten Newman rośnie w oczach, czyż nie?

Nagle zreflektował się.

- Odwiedzimy was z przyjemnością, prawda Ester?

Popatrzył na żonę.

I nie czekając na odpowiedź, dodał: - Nic się nie stanie, gdy Robert sparzy się na Donovanie. Będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

*

Pozostała mi jeszcze tylko rozmowa z Donovanami, którą postanowiłam odbyć przez telefon.

Po powrocie do domu wykręciłam ich numer.

- Halo? - usłyszałam po chwili w słuchawce głos Petera Donovanana.

- Witaj Peter! To ja, Hellen Plath.

- O! Jak się masz Hellen!

- Chciałam zaprosić ciebie z Betty i rzecz jasna dziećmi, na przyjęcie, które organizujemy z Robertem w najbliższy piątek.

- Znakomicie! Dziękujemy!

- Czy możemy liczyć na wasze przyjście?

- Ależ naturalnie. Przyjdziemy!

No i dobrze.

*

Zadzwoiłam też do doktora Hestona.

- Witaj Timothy, to ja, Hellen Plath...

- Miło cię słyszeć, Hellen! Czy mogę cię czymś poczęstować?

- Poczęstować? Przez telefon? - obawiałam się, że źle go zrozumiałam.

- A dlaczego nie? Mogę cię poczęstować na przykład dobrym słowem albo równie dobrą wiadomością.

- Co to znaczy dobrym słowem?

- Dobrym, czyli na przykład smacznym, słodkim i tak dalej - wyjaśnił prędko.

- Chętnie bym się napiła odrobinę czegoś...

- Whisky?

- Bez lodu.
- Dlaczego?
- Już miałam dzisiaj dość lodu.
- Rozumiem. Co cię sprowadza, Hellen?
- Chciałam cię zaprosić na przyjęcie. W piątek Robert i ja będziemy puszcząć sztuczne ognie i robić ludzi w balona.
- W balona? To jakiś żart?
- To taka gra terenowa. Trzeba po ciemku przekłuwać balony.
- Rozumiem.
- A zatem mogę na ciebie liczyć?
- No pewnie! Ale do ilu?
- Co do ilu?
- Do ilu razy możesz na mnie liczyć.
- Aha...
- Zamilkłam.
- Więc?
- Nie wiem, co odpowiedzieć. Jestem trochę zmęczona.
- Powiedz, że do trzech razy sztuka... A potem... potem, no cóż, potem to już nie sztuka.
- Wybacz, jak już mówiłam, jestem nieco skołowana.
- To ty wybacz, Hellen. Żarty mnie się trzymają. Z tym liczeniem, to najlepiej położyć się do łóżka i policzyć barany.
- Tak? A do ilu? - próbowałam błysnąć zapamiętaną frazą
- Aż do snu...
- To twoja rada?
- To moja recepta.
- Na sen?
- Na spokojny sen.
- Miałam już dzisiaj dość baranów...
- Cóż, przykro mi.
- Dobranoc Timothy...
- Przecież jest dopiero popołudnie!
- Ale przepisałeś mi sen, a człowiek zasypia zazwyczaj wieczorem.
- Rzeczywiście. Masz rację. Wobec tego dobranoc, Hellen.

3.

Obudził mnie dopiero dźwięk telefonu.

Dzwonił Robert.

- Czy tego pismaka też zaprosiłaś? - zaczął, jak zwykle bez zbędnych wstępów.

- Chodzi ci o Grahama Newmana? - zapytałam, przyznając, raczej mało przytomnie.

- A o kogo innego, do diabła, mogłoby mi chodzić?!

- Nie zaprosiłam go...

- To dobrze. Mądra dziewczynka - pochwalił mnie. - To bardzo dobrze.

- Po prostu nie zdążyłam. Żadna moja zasługa. Prosiłeś jednak, żeby go zaprosić. Nawet, o ile pamiętam, wywiązała się rozmowa na jego temat.

- No właśnie, wywiązała się rozmowa i w związku z nią przeczytałem w Internecie ten jego artykuł. Teraz zmieniłem zdanie. Facet jest kompletnie do niczego. Przywalił Donovanowi i nie pomyślał, idiota, że tym samym dowalał mnie, a więc w rezultacie także sobie. Gość nie ma za grosz refleksu. Ale to by się nawet potwierdzało; na zaproszenie na przyjęcie też nie zdążył się załapać.

Wydawało mi się, że usłyszałam śmiech w słuchawce.

- Czy mam zaprosić panią Heller? - nagle sobie o niej przypomniałam.

- A kto to jest ta Heller?

- Wynajmujesz u niej lokal na redakcję gazety.

- Aha, już sobie przypominam. Lady Makbet, prawda?

- Owszem.

- Skoro płacę jej za lokal, to dlaczego miałyby jeszcze wypijać moją whisky?

- Naszą whisky, Robercie...

- Przepraszam. No jasne, że naszą.

- A może ja chcę, żeby piła moją whisky? - postanowiłam nie ustępować.

Przez chwilę w słuchawce zaległa cisza.

- W porządku. Nie kłómy się. Jeśli chcesz, żeby piła twoją

whisky, nie ma sprawy - usłyszałam ponownie jego głos w słuchawce. - Ale ja nie chcę, żeby piła moją whisky. Dlatego powiedziałem od razu, że skoro płacę jej za lokal, to dlaczego miałyby jeszcze wypijać moją whisky (Robert miał „fotograficzną” pamięć do słów). Wtedy ty zaczęłaś mówić o naszej whisky, a potem sama rozlałaś butelkę na twoją szklanekę i moją.

Jak zwykle przegrałam.

- Co właściwie masz przeciwko pani Heller? - próbowałam mimo to się dowiedzieć.

- Nic. Kompletnie nic. Chrzanię tylko taką zramolałą Lady Makbet, która podpuszcza męża przedszkolaka do zamachu stanu.

- Młoda Lady Makbet mogłaby podpuszczać męża rówieśnika?

- Jasne! Babka byłaby ambitna, pragnęłaby awansować.

- Stara już nie może awansować?

- Może. Ale po jakiego diabła? Jeśli do tej pory nie awansowała, niech lepiej zajmie się czymś innym. Nie ma, rozumiesz, w niej materiału na władczynię.

- Cóż ty możesz wiedzieć o, jak to sam określiłeś, zramolałych babach? Przecież interesują cię tylko młode.

- Chwileczkę! - dotąd jego w miarę spokojny ton podniósł się.

- Nie użyłem wcale słowa baby. To po pierwsze. Po drugie zaś interesują mnie młode dlatego, że wystarczy mi, iż wiem wystarczająco dużo na twój temat.

Wyczuł, że chcę mu przerwać.

- Nie przerywaj mi! To w ogóle nie jest kwestia wieku u kobiety. Przynajmniej nie powinna być. Sam jestem starym ramolem. Ale tak się składa, że z wiekiem zachodzą w was zmiany, które nawet świętego doprowadziłyby na skraj rozpacz.

- Lady Moira Hailsham-Dalton utrzymuje co najmniej o piętnaście lat młodszego od siebie męża - wypaliłam, trochę bez związku.

- Wiem o tym. I co z tego?

- Jak to, co z tego? Jeszcze się pytasz?

- Widocznie obojgu jest z tym dobrze. On musi być w niej autentycznie zakochany, bo inaczej znalazłby sobie inną, żeby go utrzymywała.

Fakt, zupełnie o tym nie pomyślałam.

- Ona też zapewne go kocha, bo gdyby go nie kochała, to również znalazłaby sobie innego utrzymanka. Związek Moiry z Chrisem wcale nie jest dowodem na szaleństwo kobiet w zaawansowanym wieku.

- Dobrze, wobec tego nie zaproszę pani Heller - chciałam już mieć tę rozmowę za sobą.

- Doskonale! I to wiesz jeszcze, że podstarzała Lady Makbet niczym w gruncie rzeczy nie różniłaby się od młodej Lady Makbet. Obie miałyby ten sam motyw, z tą tylko różnicą, że stara byłaby bardziej zdesperowana.

- Właśnie o to zdeterminowanie mi chodziło! - prawie wykrzyknęłam zadowolona, że wreszcie pojął moją intencję.

- Wiem. Przecież wiem. Ale tak czy owak, to żalosne.

- Dlaczego?

- Już mówiłem; stara miała dość czasu, by coś ze sobą zrobić, gdy była jeszcze młoda.

- Może nie miała okazji?

- No dobrze. Nie miała okazji, powiadasz? Cóż, może i coś w tym jest. W końcu to okazja czyni złodzieja. Jest motyw, ale nie ma okazji. To brzmi nawet przekonywająco. Ale niech pani Heller, mimo wszystko, szuka sobie okazji gdzie indziej.

Mimowolnie wzdrygnęłam się, słysząc jego ostatnie słowa (Boże! - ostatnie słowa, jak to teraz zabrzmiało). Motyw i okazja - całkiem jak w powieści kryminalnej, pomyślałam.

Rozdział III

1.

Zapowiadał się chyba pierwszy pogodny weekend tej jesieni. Ziemia w ogrodzie była wprawdzie nadal mokra i początkowo

chciałam odwołać zawody balonowe, ale Roger się uparł, że skoro już kupił te balony i zdobył specjalną pompkę do ich napełniania, nie zamierza rezygnować z widoku zabłoconej podłogi w naszym domu. Przywiózł też ze sobą race i od razu zabrał się do przygotowywania pokazu.

Brenda przyjechała wraz z nim jako pasażer i właśnie kłócili się o to, kto ma zawiązywać baloniki. Zaproponowałam, że dziewczęta z firmy cateringowej, które były już na miejscu i rozstawiły stoły w holu, mogą to zrobić, lecz Brenda i Roger w tej akurat kwestii byli zgodni; pomoc dziewczyn odebrałyby im przyjemność kłótni.

- Mogłabyś wykazać nieco instynktu społecznego i pomóc mi - słyszałam w kuchni dobiegający z ogrodu głos Rogera i po chwili odpowiedź Brendy, stojącej przy otwartych drzwiach wiodących z salonu na zewnątrz. - Bądź pewny, że najlepiej pomogę ci nie wiążąc tych baloników.

- Ty musisz chyba jednak bardzo nie chcieć mi pomóc, jeśli przyznajesz, że masz dwie lewe ręce.

- Ależ kochanie! Ja chcę ci pomóc, tylko nie znam się na pracach ogrodowych. Nigdy nie byłam kosiarką do trawy i nie chciałabym cię zrobić w balona. Poza tym jedna tylko lewa ręka zupełnie mi wystarczy, żeby zepsuć efekt twojego dmuchania...

Nie pamiętam, czy Roger odpowiedział jej, bo klakson z podjazdu oznajmił przybycie nowych gości.

- Witaj, Hellen! - krzyknął od progu Henry Osmond. - Miałem nadzieję, że przynajmniej tutaj zaznam odrobinę słońca.

Wszedł do kuchni i pocałował mnie w policzek.

- Dzień dobry Glorio - uściśnął rękę pomagającej mi Glorii, całą w mące i proszku do pieczenia.

- Jaki zapach! Oto prawdziwa woń wsi angielskiej!

Potem przywitał się z Brendą.

- Gdzie Roger? - zapytał.

- W ogrodzie... O ile nie odleciał jednym ze swoich balonów

- poinformowała go Brenda.

Była dopiero czwarta po południu i zachmurzone jeszcze rano niebo przetańczyło się, ukazując blade słońce.

- Cześć Roger! - usłyszałam po chwili z głębi ogrodu. - Widzę,

że Brenda nie lubi latać?

Potem głos Rogera.

- I tak patrzy na wszystkich z góry. Witaj Henry. Mam nadzieję, że chociaż ty nie masz lęku wysokości?

- Rozumiem, że mam wiązać balony?

- Rzeczywiście, to co powiedziałem wiąże się z poruszoną przez ciebie kwestią.

Brenda weszła do kuchni ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

- Właśnie Roger poleciał na Henryego - oznajmiła. - Teraz się już na pewno zwiążą...

Westchnęłam.

- Jak myślisz, Henry zwiąże Rogera, czy odwrotnie? - zapytała.

- Ależ Brendo! - zachnęłam się.

Ale Brenda tylko wzruszyła ramionami i obróciła się na pięcie, najwyraźniej zadowolona z siebie. Wyszła szybko z powrotem do salonu, podśpiewując coś pod nosem.

Niecałą godzinę później, gdy przyjechał Robert - Brenda, Roger i Henry bawili się już świetnie po wypiciu pierwszych drinków. Henry wygrzebał skądś płytę Glena Millera i Brenda zaprosiła Rogera, by zatańczył z nią w ogrodzie.

Zauważyłam, że Robert wypakowuje ze swojego samochodu Geraldine Osborn, potem Mary Bedford i na końcu jakąś nieznaną mi dziewczynę, którą zapewne musiała być tą aktorką, o której wspominał już wcześniej, Sarą Rawlins.

- Hellen, poznaj Sarę, mówiłem ci już o niej! - krzyknął na powitanie, podtrzymując dziewczynę, by się nie przewróciła.

Sara Rawlins, szczupła blondynka o twarzy dziecka, chwiała się na nogach, najwyraźniej pijana.

Dostrzegłam, że także Geraldine i Mary były już nieco wstawione. Mary zataczała się, dźwigając podróżną torbę, a Geraldine próbowała jej pomóc, przydeptując wiszący do ziemi długi szalik.

- Witaj Saro. Miło cię poznać - przywitałam Sarę, która wyciągnęła do mnie bezwładną rękę, mamrocząc pod nosem coś, co miało brzmieć jak powitanie.

- Tylko nie uduś się jak Isadora Duncan - usłyszałam za sobą głos Brendy, skierowany do Geraldine. - Ona była wielką tancerką, więc udusiła się własnym jedwabnym szalem wciągniętym w szprychy bugatti swego kochanka, a ty jesteś wielką sekretarką, więc możesz się udusić nadeptując na własny wełniany szalik...

Zapowiadało się doprawdy urocze przyjęcie.

- Co ona pieprzy? ^ odpowiedziała Geraldine, spoglądając na Roberta.

- Isadora Duncan była żoną króla Duncana, tego, którego załatwił Makbet na prośbę Lady Makbet - Roger pośpieszył z pomocą Brendzie.

Brenda wybuchła śmiechem.

- Zapewne czytałaś o tym? - ciągnął Roger. - Kiedy to było? Pisała o tym prasa teatralna. Jakies mniej więcej pięćset lat temu.

Geraldine usiłowała podnieść szalik.

- Robercie! - wrzasnęła. - Czy ten pedał może się wreszcie zamknąć?!

- Chodź Geraldine - Mary Bedford szarpnęła ją za rękę. - Nie rób cyrków.

Tymczasem pociągnięta raptownie Geraldine przewróciła się na podjazd.

Brenda ponownie roześmiała się.

- Mówiłam? A nie mówiłam? - zawołała, krztusząc się ze śmiechu. - Oto jak wygląda upadła kobieta!

Geraldine pozbierała się jednak szybko.

- Odwal się lesbo... - syknęła i odtrącając pomocną dłoń Mary podążyła przed siebie chwiejnym krokiem do holu.

Brenda i Roger rzucili sobie porozumiewawcze spojrzenia (tak to się chyba nazywa, ciekawiło mnie tylko, w jakiej sprawie się porozumiewali).

Chciałam już coś powiedzieć, ale właśnie nadjechali Brownowie i tuż za nimi, czerwonym porsche, Chris i Moira Daltonowie.

Zabawa zaczynała się rozkręcać.

Moira rozmawiała z Henrym, Gordon Brown tłumaczył coś Geraldine („osobiście nie mam nic przeciwko lesbijkom”), a Chris usiłował tańczyć z Mary. Sara Rawlins dochodziła do siebie pod opieką Rogera.

Potem nadeszli Boltonowie wraz z Keatonami i tuż za nimi doktor Timothy Heston.

Byliśmy więc niemal w komplecie. Brakowało jedynie Dereka Warwicka, tego żeglarza, którego zaprosił Robert, i Donovanow.

Laura Brown towarzyszyła mi w kuchni.

Siedziała przy stole i milcząc popijała swego drinka (za takie rzeczy właśnie ją lubiłam).

Byłam ciekawa, co robi mój mąż.

Wysłałam, by go poszukać.

Zastałam Roberta w gabinecie, nad jakimiś papierami.

- Wszystko w porządku? - chciałam się upewnić.

Podniósł na mnie oczy i odłożył trzymaną w rękach kartkę.

- Tak, kochanie. Oczywiście - westchnął.

- Przynieść ci drinka? - zaofiarowałam się.

- Nie. Dziękuję. Wiesz przecież, że zawsze dolewam sobie kawy - odwrócił wzrok i zabębnił palcami po blacie biurka.

- W takim razie nie będę ci przeszkadzać. - chciałam się wycofać.

- Zostań Hellen. Nie przeszkadzasz mi - nieoczekiwanie się ożywił. - Nie, ty mi nie przeszkadzasz - dodał.

- Jak chcesz... - mówiąc to, usiadłam naprzeciwko niego w fotelu.

- Widzisz, Hellen, podjąłem pewną decyzję i chciałbym ją dzisiaj ogłosić.

Miał zmęczoną twarz. Mówił cicho, wpatrując się w rozłożone przed sobą dokumenty.

- Nie wszystkie interesy idą tak dobrze, jak mogłoby ci się wydawać tu, w Porthpean. I coś będę musiał z tym zrobić. Chciałbym, żebyś po kolacji podała kawę i dała mi trochę czasu. Potem urządzimy sobie zawody balonowe i Roger puści sztuczne ognie. Moją kawę każ podać do gabinetu.

- Jak sobie życzysz - powiedziałam i wstałam, by pójść do go-

ści.

Spojrzałam na zegarek, rzeczywiście była już pora, żeby podawać kolację.

- Kochani - powiedziałam wchodząc do salonu - za chwilę będzie kolacja, bo pewnie nic od rana nie jedliście, przynajmniej ci z was, którzy przyjechali z Londynu. Potem proponuję abyśmy się napili kawy, gdyż Robert ma jeszcze coś do zakomunikowania, a potem już punkt kulminacyjny programu, czyli zawody balonowe, a zaraz po nich wielki finał w postaci sztucznych ogni, które przygotował dla nas Roger.

-I wtedy dopiero zacznie się prawdziwa zabawa - zauważył głośno na sam, odwracając się do mnie przez ramię, gdyż rozmawiał właśnie z Ester Bolton. - Chodź Brenda, raz przynajmniej nie oponuj, pomożesz mi z dynamitem, na materiałach wybuchowych znasz się lepiej ode mnie - dodał, zwracając się do swojej współpracownicy.

- Jestem taka podekscytowana! - usłyszałam tubalny głos Lot- ty Keaton.

Brenda przeprosiła doktora Hestona, który właśnie żywo gestykulując o czymś jej opowiadał i bez słowa protestu wyszła z Rogerem do ogrodu.

Wtedy nadjechał Derek Warwick.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - zwrócił się do wszystkich po wejściu do salonu. - Nazywam się Derek Warwick i zostałem zaproszony przez pana Roberta Platha.

Boże! Cóż to był za mężczyzna! Młody bóg o ogorzałej twarzy, rozświetlonej jasnymi, błękitnymi oczami! Blond czupryna spływała mu na ramiona kręconymi lokami i jakby tego było mało, jeszcze ten dwudniowy, niemal granatowy zarost na policzkach. Całości dopełniały poprzecierane, sprane dżinsy do białych tenisówek i śnieżnobiała, rozpięta pod szyją koszula. Wszystko to razem stwarzało obraz najprawdziwszego pod słońcem wilka i to niekoniecznie morskiego.

Machinalnie pomyślałam o komandorze Keatonie.

- Witamy panie Warwick! - odezwała się Moira Dalton. - Zapraszamy.

- Czy to pan jest tym samotnym żeglarzem, który wygrał

transatlantyckie regaty dookoła świata? - zawtórował jej czujny Chris.

Derek Warwick uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi.

Jakby to określił Robert? - gdyby widziała go Brenda, pewnie piszczałaby lechtaczką.

Henry Osmond znowu puścił Glena Millera.

*

Zabawa rozkręciła się na dobre.

- A twój mąż, jak zwykle, unika towarzystwa - mówiła do mnie Ester Bolton. - Nic, tylko te interesy? Zawsze taki sam!

- Ludzie chcą rozmawiać ze mną wyłącznie o swoich chorobach! - przerwał jej Timothy Heston, z do połowy opróżnioną szklanką swojego drinka. - Dlaczego nikt nie chce rozmawiać ze mną o czymś innym...

- A ze mną - wtrącił się Henry - rozmawiają wyłącznie o muzyce! Wszędzie tylko ta muzyka!

- No właśnie... - podchwycił Chris Dalton. - O czym możesz rozmawiać z Henrym, Moiro, jeśli nie o muzyce?

- Ależ kochanie! Zawsze mogę jeszcze rozmawiać o Dereku War wieku...

- Z Henrym? - to była Brenda, która już najwyraźniej przestała pomagać Rogerowi.

- Wolałabyś, żebym porozmawiała o Dereku z tobą, Brendo?

- Moira była najwidoczniej jeszcze w dobrej formie.

- Chciałabym już przekłuć jakiś balon! - głos Lotty Keaton zdominował wszystkie pozostałe.

- To przekłuj swojego komandora... - usłyszałam za sobą szept Chrisa Daltona.

Już miałam poprosić wszystkich do jadalni, gdy pojawili się wreszcie Peter i Betty Donovanowie.

- Witaj Hellen...

- A gdzie dzieci?

- Dzieci zostały z babcią.

- Zaraz naleję wam drinka. Co tak późno?

- Mieliliśmy problem z jedną z klaczy. Poród przed terminem. Wybacz.

- Lepiej za wcześniej niż wcale - usłyszałam głos komandora Keatona. - Cudowne przyjęcie, czyż nie?

- Czasem lepiej wcale niż za późno, komandorze Keaton, nieprawdaż? - Peter Donovan popatrzył na Patricka Keatona przeciągle i komandor zamilkł.

- Rozmawiałem z tym Warwickiem na temat łodzi - nagle pojawił się przy mnie Frederic Bolton. - Od pewnego czasu nosimy się z Ester z pomysłem zakupu własnego jachtu... Rozumiesz Hellen, kiedyś udało mi się wykupić miejsce na przystani w Duporth... Bo wiesz, mieszkanie nad morzem zobowiązuje. No i ten Warwick powiedział, że najlepsza łódź, to cudza łódź! Tak powiedział. Niegłupi facet... Całkiem niegłupi...

Musiałam trochę odpocząć.

Wysłałam do holu i zobaczyłam Dereka Warwicka dyskutującego przy stole z kanapkami z komandorem Keatonem.

- Postanowiłaś odpocząć? - dobiegł mnie zza pleców głos Laury Brown.

Ucieszyłam się na jej widok.

- Właśnie. A ty? Jak się bawisz? - zapytałam.

- Świetnie. Jak przez całe życie z Gordonem...

Zaproponowałam jej, żeby poszła ze mną.

- I po co nam te schody? - stwierdziła na półpiętrze Laura.

- Gdy będziemy miały po osiemdziesiąt lat, będą stanowiły dla nas wyzwanie jak Mount Everest.

- Nie dożyjemy osiemdziesiątki, bądź spokojna - odparłam, gdy już opadłyśmy na łóżko w mojej sypialni.

- O tak... Z Gordonem na pewno nie dożyję... - westchnęła.

- Właściwie, to życie nie jest wcale takie złe - zauważyłam.

- W każdym razie byłoby, gdyby nie Robert...

- Nie przesadzaj. Robert przynajmniej nie jest małym tłuszczochem podobnym do księżycy w pełni.

- No właśnie... Nie jest. I dlatego lecą na niego te wszystkie Sary Rawlins, Mary Osborn i tak dalej.

- No to się rozwiedź. Kto ci broni?

Roześmiałam się, słysząc jej słowa.

- Skoro już o broni mowa - powiedziałam podnosząc się z łóżka - to proszę bardzo, tylko popatrz...

Mówiąc to otworzyłam szufladę komody.

Laura podźwignęła się z trudem i podeszła do mnie. Patrzyłyśmy na mój pistolet, leżący między bielizną.

- Już prędzej go zabiję - stwierdziłam spokojnie.

- Prędzej albo później, to będziesz tylko żałowała takich myśli

- skwitowała Laura. - Chodźmy na dół, mam ochotę się napić.

W holu już czekał na mnie Derek Warwick. Właściwie wcale nie czekał, ale podjadał coś właśnie, gdy nas zauważył.

- To dziwne - zaczął - naprawdę dziwne...

Laura przeprosiła nas i poszła do salonu.

- Cóż takiego wydało się panu dziwne, Dereku?

- Komandor Keaton...

- Tak? - zainteresowałam się.

- Komandor Keaton, no cóż... nie ma najmniejszego pojęcia o żeglarstwie - Derek Warwick najwidoczniej po raz pierwszy widział emerytowanego oficera Royal Navy nieznającego się na żeglarstwie. Prawdopodobnie przyzwyczaił się, że poznawani na przyjęciach emeryci marynarki znali się na nim lepiej od niego.

- To ciekawe, proszę mówić - zachęciłam go.

- Nie ma sensu wdawać się w szczegóły. Krótko mówiąc, komandor Keaton nie odróżnia sterburty od bakburty.

- Komandor Keaton pewnie już dawno zapomniał o takich rzeczach - próbowałam go uspokoić.

- Ależ to jest tak, jakby pani pomyliła lewą rękę z prawą.

- Czasem mi się to zdarza... - przyznałam ze skruchą.

Derek Warwick popatrzył na mnie uważnie.

Potem nieoczekiwanie roześmiał się.

- Nie ma sprawy - ukłonił się szarmancko. - Jeśli na co dzień ogląda pani stąd morze, jest pani dla ludzi morza, takich jak ja, też człowiekiem morza.

Pochlebilo mi jego wyznanie.

- Jestem pańskim zdaniem kobietą morza? W życiu nawet nie opuściłam bezpiecznego lądu - zaoponowałam skromnie.

- W takim razie jest pani cichym portem.

Zaskoczył mnie.

- Dlaczego portem, a nie na przykład kotwicą?

- Bo o cichym, bezpiecznym porcie zawsze się tam na wodzie marzy.

Zanim zdołałam odzyskać głos, zniknął ze swoim drinkiem i kanapką z łososiem.

Wyszłam do ogrodu. Musiałam znowu ochłonać.

2.

Zapadał ciepły, bezwietrzny wieczór.

Zauważyłam Rogera majstrującego przy wyrzutniach rac.

- Zamiast się bawić, ciągle jeszcze przygotowujesz pokaz?

- O, nie przejmuj się. Ta praca szalenie mnie bawi.

W głębi, za jego plecami, dostrzegłam Laurę i podeszłam do niej.

- Czy wiesz, że przed chwilą nasz dzielny żeglarz złożył mi propozycję bycia cichą przystanią dla marynarzy? - pochwaliłam się od razu.

Laura jednak nie wydawała się zaskoczona. Najwyraźniej była pogrążona we własnych myślach.

Spojrzała tylko, jakby widziała mnie po raz pierwszy, a potem nagle powiedziała: - W takim razie już lepiej zastrzel jego niż swojego męża.

- Po co miałabym go zabijać? - teraz znowu dla odmiany ona mnie zaskoczyła.

- Żeby nie musieć zabijać męża.

Poczułam chłód na plecach.

- Chyba już czas na kolację - stwierdziłam, by cokolwiek powiedzieć i nie odejść w ciszy.

Potem podano kolację i wreszcie usiedliśmy wszyscy przy stole.

Nie był to nasz zwykły stół z jadalni, który na tę okazję kazałam wynieść do holu, lecz duży stół przywieziony przez agencję cateringową.

- Widziałam już baloniki - szepnęła do Gordona Browna Lotta Keaton, nakładając sobie na talerz dwa kawałki pieczeni.

- To bardzo niesportowo - zauważył Gordon, zajęty poszuki-

waniem wody mineralnej.

- W trakcie zawodów światła w domu i ogrodzie będą wyłączone, Lotto - poinformowałam, gdyż jej szeptu nie dało się nie słyszeć.

- Wiem i dlatego postanowiłam obejrzeć sobie pole walki jeszcze za dnia - uśmiechnęła się niespeszona.

- Na wszelki wypadek prosiłam Rogera, by nie chował baloników w głębi zarośli, gdyż gałęzie nie zdążyły obeschnąć i wyglądalibyśmy potem okropnie - dodałam usprawiedliwiająco.

- Nie przejmuj się - skwitowała to Lotta z pełnymi pieczeni ustami - jeszcze parę drinków, a i tak zapomnę, gdzie co widziałam... - posłała mi długie spojrzenie.

Wtedy przyłączył się do rozmowy Roger Cavendish.

- Lotta dała właśnie Geraldine do zrozumienia, że widziała ją całującą się z kimś - powiedział niedbałym tonem.

- A mnie się wydaje, że Lotta dała komuś do zrozumienia, że widziała go, jak całuje się z Geraldine... - podjęła, słysząc to, Brenda. - Widok całującej się Geraldine nie byłby bowiem niczym niezwykłym - dodała.

- Zwłaszcza z tobą, prawda? - skomentowała, zwracając się do Brendy nieco zbyt podniesionym głosem Geraldine, która już zdążyła, jak się wydawało, nieco wytrzeźwieć.

- Ciekawe, z kim się całowała Geraldine? - powiedział do siebie Roger.

Zapadło krótkie milczenie, które przerwał dopiero Robert.

- Słyszałem Frederiku, że zamierzasz kupić jacht?

- Dopiero się przymierzam, ale widzę, że jesteś, jak zwykle, dobrze poinformowany - odezwał się Frederic Bolton. - Myślałem, żeby go wynajmować podczas sezonu.

- To kiedy będziesz nim pływał? - wpadł mu w słowo milczący dotąd Peter Donovan. - Po sezonie?

Frederic posłał mu szybkie spojrzenie, najwyraźniej zmieszany tą uwagą, nie podjął jednak rękawicy.

- Ach, te wasze interesy, panowie... - odezwała się milcząca dotąd Sara Rawlins. - Chociaż przypuszczam, że niełatwo tu przeżyć, na tym pustkowiu...

- O tak - przyznał jej skwapliwie Peter. - Taki na przykład Frederic chwytą się kaźdej okazji. Teraz na przykład, jak słyse, zamierza przeniesć się z lądu na morze.

- Ustępuję tylko miejsca twoim koniom, by nie dać się strato-
wać - mruknął pod nosem Frederic Bolton.

- Przecież sam handlujesz koźmi - zabrała głoś Betty Donovan. - Są to, co prawda, konie mechaniczne...

- I teź Frederic mechanicznie się nimi zajmuje - nie pozwolił jej dokończyć Peter.

- Jeśli mogę coś doradzić... - wtrącił Derek Warwick. - Utrzymanie jachtu sporo kosztuje. To ciężki biznes, panie Bolton, zwłaszcza tutaj, gdzie sezon trwa tak krótko.

Frederic Bolton nie odpowiedział mu.

- To prawda - przytaknął Chris Dalton. - Sezon na Frederika Boltona nie potrwa w Porthpean zbyt dłuęo...

I znowu zapadło milczenie.

- Źaden interes nie jest już łatwy - wykorzystał tę pauzę mój mąż. - Weźmy, powiedzmy, taką agencję reklamową...

- O nie! - przerwała mu bezceremonialnie Brenda. - Błagam! Tylko nie agencja reklamowa!

- Dlaczego? - zainteresował się cicho siedzący do tej pory komandor Keaton. - Ja, na przykład, mógłbym wymyślać hasła reklamowe w nieskończoność.

- Jestem tego najzupełniej pewny - wtrącił Chris Dalton.

Po jego uwadze komandor Keaton skurczył się w sobie i jakby ponownie przysął.

- Cóż złego jest w wymyślaniu hasel reklamowych? - pośpieszyła na ratunek męźowi Lotta Keaton. - Jedni lubią pędzić samochodami, inni zaś... - zdawała się szukać odpowiedniego słowa.

- Inni zaś lubią obserwować... - wpadła jej w słowo Moira Dalton, patrząc wymownie na siedzącą naprzeciw Lotte.

- A jeszcze inni wolą być obserwowani... - ta nie dawała się zbić z tropu.

- Są teź i tacy, którzy wolą tego nie słuęać - postanowiła ponownie zabrać głoś Ester Bolton.

- A pewnie, pewnie... - Lotta Keaton powiodła triumfującym

spojrzeniem po zebranych. - Czy Graham Newman nie pojawi się już dzisiaj? - zapytała zniechęta.

W tym momencie Peter Donovan rozlał swoje wino na obrus.

- No właśnie! Gdzie jest nasza wschodząca gwiazda lokalnej żurnalistyki? - podchwycił Chris Dalton, spoglądając mimochodem na Betty Donovan.

- Pewnie zjawi się, jak zwykle, gdy będzie już po wszystkim

- Peter Donovan próbował uratować obrus serwetką.

- Po wszystkim? Czy może raczej już po wszystkich? - rzucił Frederic Bolton.

Ręka Petera Donovana opadła na chwilę bezwładnie na stół.

- Powoli zaczynam rozumieć, dlaczego wybrałaś Kornwalię. Masz nas tylko raz na jakiś czas, a my tam mamy się, by tak powiedzieć, stale. Bez przerwy... - wyszeptał mi niespodziewanie do ucha Roger Cavendish, pochylając się w moją stronę.

- Nie wyplakuj się, Roger, ze swoich niepowodzeń - rozpoznałam głos Roberta - a ty mu Hellen nie wierz, bo nawet jego dzisiejsze ognie też będą, koniec końców, sztuczne.

- Będą zatem miały związek ze sztuką - próbował bronić się Roger.

- Prawdziwa sztuka, to robić z wami interesy - Robert uwielbiał semantyczne zabawy słowne, podobnie jak, z czego zdałam sobie nagle sprawę, chyba większość siedzących przy stole.

- Robienie z tobą interesów, to żaden interes - odparował mu tymczasem dzielnie Roger w tym samym duchu.

- Już wy się sobą tak nie interesujcie - przerwała im Brenda Blake. - Dlaczego ja nie mogę spokojnie dopić swojego drinka?

- No właśnie Brendo... Dlaczego? - podjęła Geraldine.

- Ktoś musi być niespokojny, by spokojny był ktoś... Czy tak powiedziałby martwy łoś? - wypaliłam nagle, nie bez satysfakcji z udanej, moim własnym zdaniem, trawestacji Szekspira.

Napotkałam czujne spojrzenie Laury Gordon.

Przypomniałam sobie o pistolecie i roześmiałam się.

Jeśli Laura potraktowała moje groźby poważnie, to... to sama była niepoważna.

Wyglądało na to, że kolacja dobiega końca.

Henry Osmond wyszedł do salonu i ponownie nastawił Glena Millera.

- Pamiętaj o kawie - przypomniał mi Robert.

- Każę ci podać twoją do gabinetu - odpowiedziałam, podnosząc się zza stołu.

- To miło, że pamiętasz...

- Nic, tylko praca? - zapytała, słysząc to, Ester Bolton.

Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, usłyszałam głos Brendy Blake.

- Biedny Robert, kiedyś zapracuje się na śmierć...

3.

Hostessy zaczęły podawać świeżo zaparzoną kawę.

Zaniosłam filiżankę do gabinetu Roberta.

Na dworze było już od dawna ciemno. Chciałam rozpaścić kominiek w gabinecie, ale Robert o to zadbał. Ogień buzował, wypełniając pokój ciepłym, przytulnym półmrokiem.

- Jeśli chodzi o mnie, to muszę jeszcze posiedzieć przy racach - poinformował głośno Roger wychodząc do ogrodu.

- A jeśli chodzi o mnie, to nic nie muszę - zauważyła w odpowiedzi Sara Rawlins. - Cudowne przyjęcie, Hellen...

- Zatańczy pani, Moiro? - Henry Osmond poprosił Moirę Dalton do tańca.

- No właśnie! Dereku, chyba nie odmówi mi pan? - Mary Bedford wzięła pod ramię Dereka Warwicka i pociągnęła go na środek salonu.

- A ty zatańczysz ze mną, Patricku - Lotta Keaton zwróciła się do komandora Keatona.

- Spokojna głowa, już on zatańczy, jak mu zagrasz... - Chris Dalton poklepał Lottę po nagim, pulchnym ramieniu.

- Następnym taniec wobec tego rezerwuję dla ciebie, Chris - odcięła się Lotta.

- A ja następnym taniec rezerwuję dla Hellen, naszej uroczej pani domu! - zawołał Chris. - Teraz natomiast napiję się kawy.

I właśnie wtedy zgasło światło.

Na krótką chwilę zrobiło się cicho. Muzyka przestała grać, ktoś zaklął w mroku, a z holu dobiegł czyjś zduszony śmiech.

Potem rozległy się odgłosy oburzonego zaskoczenia i jednocześnie rozbawienia.

- Na miły Bóg! To chyba nie znowu awaria transformatora?! - usłyszałam najpierw w ciemności głos Roberta.

- Możliwe, że to elektrownia - dołączył do niego głos Frederika Boltona.

- Cudownie! Doprawdy cudownie! Teraz stanie się coś straszego... - zabrzmiał podniecony tenor Lotty Keaton.

- Trzeba najpierw sprawdzić bezpieczniki - dołączył do niego kontrakt komandora Keatona.

- Komuś musiały się w końcu przepalić - parsknęła Geraldine.

- Z pewnością nie tobie - odparowała jej Sara Rawlins.

- Jeśli to transformator, to mamy światło z głowy - ponownie usłyszałam głos Lotty Keaton. - Nie ma na co czekać, zacznijmy zawody balonowe!

- Tej babie nigdy nie zabraknie tchu - skomentował jej słowa Chris Dalton.

- Wystarczy, że na ciebie chucha Moira - odgryzła mu się z ciemności.

Jeszcze dobrze nie przebrzmiały jej słowa, gdy ciszę rozdarł niespodziewanie huk odpalanych rac, a niebo rozjaśniło się od ich kolorowego blasku.

- Co się tu do cholery dzieje?! - wykrzyknął Robert.

- Roger odpalił sztuczne ognie - zawołała Geraldine.

- I jak zwykle popełnił falstart - dodała z mroku Brenda. - To, zdaje się, nazywa się przedwczesny wytrysk?

- Chodźmy popatrzeć! - był to znowu Chris Dalton.

Wszyscy, jak na komendę, wybiegliśmy do ogrodu.

- Wybaczcie, niechcąc zacząłem o linkę - tłumaczył się głośno Roger Cavendish.

- Szkoda, że nie zacząłeś o mnie - usłyszałam w odpowiedzi Mary Bedford.

Noc nad ogrodem rozświetliła się od rac.

Wybuchwały jedna po drugiej, rozrywając się z hukiem ponad

naszymi głowami, tworząc barwne, ruchome ornamenty, opadające powoli na pola za drzewami.

Poczułam czyjś dotyk na ramieniu.

To był Robert. Objął mnie w milczeniu.

- Popatrz Hellen, jak pięknie...

Bezwiednie przytuliłam się do niego.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - powiedział, zadzierając głowę do góry.

Kolorowe kopuły rozpryskiwały się nad naszymi głowami, a my staliśmy nieruchomo, wpatrzeni w nie, zahipnotyzowani chwilą.

Jeszcze jedna i jeszcze, i kolejna, a potem następna.

Sara Rawlins zaczęła klaskać w dłonie.

- Nie wiedziałam, Roger, że jesteś taki wystrzałowy - zawołała Brenda Blake. - Czy przypadkiem nie za wysoko mierzysz?

- Każdy mierzy własną miarą, skarbie - dosłyszałam wśród hałasu odpowiedź.

Po chwili wszystko, jak nagle się zaczęło, tak nieoczekiwanie umilkło.

Ostatnia raca zakręciła się wokół siebie i spadła niewypalona z głośnym sykiem tuż za ogrodzeniem.

- No to seks mamy już z głowy... - zawyrokowała, odczekawszy jeszcze kilka sekund, Mary Bedford.

W ciszy, jaka zapadła, usłyszałam krótki śmiech Geraldine Osborn.

- Innymi słowy, mnóstwo hałasu o nic... - dołączyła do nich Sara Rawlins.

- Zupełnie jak w tym dramacie - zauważyłam, pragnąc głośno pochwalić się swoją znajomością twórczości Szekspira.

- To nie dramat, tylko komedia - poinstruowała mnie Sara.

- Dramat dzieli się na komedię i tragedię - miałam kolejną okazję do zabłyśnięcia.

- Brawo Hellen! - Tym razem była to była Brenda Blake.

- Lecz czasem komedia staje się tragedią... i odwrotnie, prawda drogie panie? - zwróciła się w mroczną przestrzeń.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Chodźmy do domu, dopić naszą kawę - zakomenderował Robert. - Robi się chłod-

no.

- Oto puenta godna mistrza! - skomentował jego słowa Roger Cavendish. - Powinieneś Robercie zmienić profesję i zacząć pisać.

- Zamiast się popisywać... - podjęła Brenda.

Widziałam, jak mój mąż popatrzył na nią wtedy i dodał spokojnie: - Jeśli chodzi o ciebie, to i tak wiem, co tobie pisane...

Powoli zaczęliśmy wszyscy wracać do salonu.

*

- I co z tym światłem? - pierwszy odezwał się Robert, gdy znaleźliśmy się już wewnątrz. - Muszę to sprawdzić - westchnął.

- Latarka jest w komodzie w holu - przypomniałam mu.

- Wiem, gdzie jest latarka!

Nie miałam pomysłu, co dalej robić. Jak to bywa w takich razach, jedni błakali się po domu, inni stali w miejscu czekając, aż pojawi się światło i spoglądając odruchowo na sufit. Miałam nadzieję, że to tylko bezpieczniki i Robert zaraz je włączy.

- No to masz swoje uroki życia na wsi - usłyszałam głos Brendy, skierowany, jak mi się zdawało, do Henry ego Osmonda.

- Jeśli to rzeczywiście transformator, to do rana nic na to nie poradzimy - zawyrokował komandor Keaton.

- Ależ komandorze... zapewniam pana, że do rana da się jeszcze niejednego dokonać... - Brenda nie przestawała być w dobrym nastroju.

- Patricku? Gdzie jesteś? - dołączył do nich, jak spod ziemi, górujący nad pozostałymi głos Lotty Keaton.

Zaraz po nim, jak na zwołanie, czego należało się spodziewać, usłyszałam Chrisa Daltona.

- Pani Brenda na pewno nie chciała dokonywać niczego z twoim mężem, Lotto.

- Odczep się wreszcie Chris! Dogadujesz nam z Patrickiem dzisiaj od samego początku. Nie mogę słowa powiedzieć, żebyś mi nie dołożył - zirytowała się Lotta. - Jeżeli się zaraz nie zamkniesz...

- To pobiegiesz na policję? - dokończył za nią Chris.

- Lotta ma rację - była to tym razem Moira. - Przestań ją już dręczyć.

Na chwilę zapadła cisza, choć miałam wrażenie, że Chris bąknął wojowniczo coś jeszcze pod nosem.

- Jeśli chodzi o mnie, spróbuję napić się swojej kawy - stwierdziła, nie zwracając na nich uwagi, Geraldine.

- Dobry pomysł - przyłączył się Peter Donovan - o ile już nie wystygła.

- Moja jest całkiem zimna - słysząc to, poinformował wszem i wobec Frederic Bolton.

- Moja też - zdawało mi się, że rozpoznałam głos Sary Rawlins.

- Niestety, to transformator - oznajmił Robert wchodząc do salonu z latarką w rękę. - Jesteśmy uziemieni na dobre.

- I co teraz? - popatrzyłam na niego.

- Nic - odparł. - Henry może zagrać nam coś na gitarze.

Gitara Henry'ego zawsze czekała na niego u nas w domu. Poza

tym Henry stale woził ze sobą drugą gitarę, bez której nigdy nigdzie się nie ruszał.

- Boże, jak cudownie! - ucieszyła się Lotta Keaton. - Nawet nie śmiałam o tym marzyć, żeby pan Osmond nam coś zagrał.

- To rzeczywiście świetny pomysł! - zapalił się Chris Dalton.

- Byłoby jeszcze wspanialej, gdyby zaśpiewał coś wspólnie z panną Bedford...

- A co z zawodami balonowymi? - przypomniała Geraldine.

- No właśnie! - przyłączyła się Sara Rawlins.

Teraz wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, dzieląc się na zwolenników koncertu i zawodów balonowych.

Po głosach zorientowałam się, że przybysze z Londynu woleli zawody, natomiast mieszkańcy Porthpean koncert.

- Najpierw będą balony - dobiegł z gabinetu głos mojego męża - potem, na zakończenie, nastrojowy koncert.

Robert, jak zwykle w takich wypadkach, miał rację. Koncert musiał odbyć się później. Komu bowiem by się chciało błąkać po ogrodzie, mając za sobą wieczór przy świecach i gitarze.

No właśnie, świece! Dlaczego od razu o nich nie pomyślałam.

- Zaraz zapalę świece! - poinformowałam wszystkich.

- Zapal je po powrocie z ogrodu - znowu usłyszałam głos Roberta dobiegający z gabinetu. - Teraz przecież są niepotrzebne.

Rzeczywiście, goście zaczęli wychodzić już na zewnątrz, w poszukiwaniu balonów.

- Czy mogę swoją kawę wylać na grządki? - zapytał mijając mnie Roger.

- Tak mi przykro - przeprosiłam go.

- Już nie przesadzaj! - zawołał za nim z głębi domu Robert.

- Kawa jeszcze w zupełności nadaje się do picia.

- Nie zamierzam przesadzać grządek, tylko podlać je kawą!

- odkrzyknął Roger, lecz jego głos utonął w pierwszych hukach przebijanych baloników.

- Już znalazłam trzy! - cieszyła się Lotta Keaton. - Czy ktoś ma więcej?!

Byłam pewna, że zaraz usłyszę Chrisa Daltona, dogadującego jej i tym razem. Omyliłam się jednak.

- Hurra! Mam wreszcie jeden! - dobiegł głos Ester Bolton.

Po omacku odszukałam ławkę i usiadłam, by odrobinę odpocząć. Wyciągnęłam przed siebie nogi i zamknęłam oczy, wsłuchując się w odgłosy zabawy. Pomyślałam o jutrze i o tym, że trzeba będzie jak najszybciej wezwać monterów z St. Austell do naprawy transformatora. Bez prądu nie będzie można podać śniadania ani nawet się wykapać. Jeśli ekipa naprawcza z St. Austell się spóźni, wypadnie zapakować wszystkich do samochodów i zjeść coś w Duporth albo w Charlestown.

Usłyszałam szelest za swoimi plecami.

Potem nieoczekiwanie, tuż za mną, odezwał się głos Moiry Dalton.

- Daj spokój, nie wygłupiaj się...

Już miałam zareagować, myśląc, że to do mnie, lecz sama nie wiem, co mnie powstrzymało. Dlaczego Moira miałaby mówić do mnie w ten sposób? Przecież nic nie zrobiłam.

Nie, Moira musiała mówić to do kogoś innego.

Poczułam się nieswojo. Chciałam natychmiast wstać i wrócić do domu, ale byłam ciekawa, do kogo skierowane były jej

słowa. Tak, ktoś jeszcze musiał być w krzakach.

Za moimi plecami panowało jednak milczenie.

Odczekałam jeszcze chwilę i nie doczekawszy się odpowiedzi (znowu dwa razy to samo słowo, tylko jeszcze gorzej, bo w jednym zdaniu), podniosłam się cicho i powoli poszłam do domu.

Przystanąłam w progu i popatrzyłam w niebo. Nie dostrzegłam gwiazd. Noc była jednak ciepła jak na tę porę roku, w powietrzu unosiła się woń zbutwiałych liści i dymu z palonego w kominkach drewna. Brakowało wiatru, który przyniósłby zapach morza.

- Mam już dość tej głupiej zabawy! - wrzasnął mi nagle ktoś koło ucha, wyrывая z odrętwienia i przywracając do rzeczywistości.

Był to Gordon Brown.

Zauważył mnie i spieszył się.

- Wybacz Hellen... Nie chciałem tego powiedzieć.

Podrapał się po łysinie.

- Zabawa jest znakomita... - znowu przesunął ręką po łysinie.

- Miałem na myśli to, że nie udało mi się znaleźć zbyt wielu balonów...

- W porządku, Gordon - powiedziałam, starając się uśmiechnąć. - Wejdz do środka, napij się czegoś.

Widziałam, jak znika szybko za progiem.

Rzeczywiście, huki przebijanych baloników stawały się coraz rzadsze.

- Poddaję się! - z tymi słowami podeszła do mnie Betty Donovan. - Już więcej nie znajdę.

- A ja się nie poddam! To była oczywiście Lotta Keaton. - Na pewno i tak wygrałam - stwierdziła, pokazując mi całe naręcze pomarszczonej gumy - Rano jeszcze podobijam te, którym się udało przeżyć tę noc mordu - roześmiała się.

Przypomniałam sobie o świecach.

Przeprosiłam Betty i Lottę, po czym weszłam do domu.

Ze spiżarni w kuchni wyciągnęłam nową, jeszcze nieodpieczętowaną paczkę świec i poprosiłam dziewczęta z cateringu, by zapaliły je i ustawiły we wszystkich pomieszczeniach.

Miałam ochotę na drinka.

Nalałam sobie odrobinę whisky, patrząc jak dom powoli rozjaśnia się od nastrojowego światła. Szukałam wzrokiem Henry ego.

Zauważyłam zbliżającą się Laurę Gordon.

Miała dziwną i minę i od razu poczułam, że coś jest nie tak.

- Hellen... - zaczęła cicho. - Proszę, chodź ze mną... Wzięła mnie za rękę. - Chyba... - przełknęła ślinę. - Chyba... stało się coś...

Tylko tyle zdołała powiedzieć.

Weszliśmy do gabinetu Roberta.

Wtedy, w świetle płomienia kominka, dostrzegłam jego pochyloną sylwetkę w fotelu.

Siedział w półmroku przekrzywiony, opierając się na boku, z głową spuszczoną na piersi.

Wyglądał jakby spał.

Podbiegłam i potrząsnęłam nim.

Był bezwładny.

- To zawał - powiedziałam - trzeba natychmiast zadzwonić po pogotowie.

Przypomniałam sobie o doktorze Hestonie.

- Timothy! - krzyknęłam, szukając jednocześnie wzrokiem swojego telefonu.

- Timothy! - powtórzyłam, wbiegając do salonu. - Gdzie jest Timothy Heston?! Robert ma zawał!

Przypomniałam sobie, że zostawiłam telefon w sypialni.

Pobiegłam po schodach na górę.

Rzeczywiście, telefon leżał na stoliku nocnym.

Zadzwoniłam po pogotowie.

Potem szybko zbiegłam ponownie na dół.

Tymczasem doktor Heston, który już się zdołał odnaleźć, zaalarmowany krzykami wszystkich, właśnie podnosił się znad fotela, w którym nadal siedział Robert, tak jak go zostawiłam.

Dlaczego Heston nie przeniósł go na kanapę?!

Doktor Heston popatrzył na mnie. Westchnął i wydało mi się, że tylko bezradnie wzruszył ramionami.

- On nie żyje - powiedział krótko i cicho.

- Zaraz będzie pogotowie...

- Hellen... - Timothy Heston podszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu. - Przykro mi, naprawdę. Widziałam jak nabiera głęboko powietrza. - On... on został zastrzelony...

Rozdział IV

1.

Inspektor Mark Travis z policji w St. Austell w niczym nie przypominał detektywa, którego wygląd wykreowały klasyczne powieści kryminalne. Drobny blondyn, na oko tuż po trzydziestce, o mocno, mimo młodego wieku, przerzedzonej czuprynie - w wymiętym garniturze nieokreślonego koloru wyzierającym spod rozpiętego płaszcza - bardziej przywodził na myśl początkującego agenta ubezpieczeniowego niż oficera policji.

Towarzyszył mu sierżant Graham Tallow, ten sam, który tak udanie niegdyś wcielił się w postać Makbeta podczas przedstawienia wystawionego przez nasze kółko teatralne w St. Austell. Wyższy od swego szefa, lecz jeszcze młodszy, o delikatnej urodzie amanta, zdawał się skrępowany nagłą obecnością w moim domu.

Kłopot sprawiał mu wybór formy, w jakiej ma się właściwie do mnie zwracać, gdyż pracując wspólnie przy premierze zaczęliśmy mówić sobie po imieniu.

Pomyślałam, że inspektor Travis pewnie zdążył się wyróżnić w służbie w St. Austell, skoro awansowano go do tego stopnia. Czy miał już jednak do czynienia z morderstwem?

Obserwowałam jego zachowanie, dochodząc coraz bardziej do wniosku, że teraz nie radził sobie w zaistniałych okolicznościach.

Dochodziła północ i w ciągu dwóch godzin od przybycia zdołał zaledwie ściągnąć ekipę dochodzeniową z własnym agregatem prądotwórczym, odesłać pogotowie i zaplombować gabinet Roberta, zarówno od strony salonu, jak i wyjścia do

ogrodu. Kazał też zanotować młodemu Tallowowi przebieg wypadków do chwili znalezienia mojego biednego Roberta i obecnie najwyraźniej zastanawiał się, co ma dalej zrobić.

- Wygląda na to, że do rana nie zmrużymy oka - powiedziała Brenda, siadając obok mnie na kanapie w salonie.

Po początkowym chaosie, jaki zapanował na wieść o wypadku i całej tej nerwowej bieganinie, wszyscy stopniowo umilkli, znajdując sobie gdzieś miejsce, w którym zamierzali dotrwać do wyjaśnienia tego, co zaszło. Nikomu już nie chciało się rozmawiać.

Technicy z ekipy dochodzeniowej szybko uporali się z oględzinami gabinetu Roberta i już pakowali się do odjazdu. Sierżant Tallow spisał dokładnie nasze personalia i podobnie jak inspektor, stał milcząc.

Wszyscy spoglądaliśmy bezwiednie na obu policjantów, oczekując jakieś decyzji z ich strony.

Wreszcie inspektor przerwał przedłużające się nieznośnie milczenie.

- Cóż... - zaczął. - W tej sytuacji nie widzę powodu, by państwa dalej przetrzymywać. Nie wykluczam, że ze względu na to, iż... - zawahał się, zastanawiając nad dobrorem właściwego słowa

- ...zmarły gospodarz tego domu przyjechał z Londynu, podobnie, jak i część z państwa, dalsze dochodzenie przejmie Scotland Yard. Na razie nic więcej nie mogę państwu powiedzieć.

Rzeczywiście, co można było jeszcze dodać? Wyniki ekspertyz nadeszłyby na pewno nie wcześniej niż w poniedziałek i do tego czasu nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. Inspektor Travis był bezradny. Nie mógł przecież bez nakazu przeszukać nas wszystkich. Co zresztą by znalazł? Pistolet? Trudno przypuścić, aby ten, kto to zrobił, miał go jeszcze przy sobie. Szukanie broni po omacku, bez światła, także nie miało sensu. W dodatku mieliśmy sam środek nocy i każdemu, nie wyłączając pewnie inspektora, chciało się spać. Oczywiście, nie stanowiło to żadnego usprawiedliwienia, ale trudno byłoby przy świeczkach odtwarzać, jak to zazwyczaj bywa w

podobnych okolicznościach, gdzie kto w danym momencie przebywał i co robił - tym bardziej że nikt prawdopodobnie sobie tego nie przypominał.

Zebrani w salonie zaczęli powoli, oglądając się wzajemnie na siebie, podnosić się z zajmowanych miejsc. Rozumiałam ich doskonale. Każdy chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą i wrócić do domu. Z drugiej strony nie wypadało przecież jawnie uciekać, zostawiając mnie samą.

Podchodzono do mnie po kolei, niepewnie, aby się pożegnać.

- Zadzwonimy do ciebie jutro rano, Hellen - powiedział Peter Donovan, ściskając mi rękę.

- Pamiętaj, że możesz na nas liczyć - zapewniła szybko Lotta Keaton, stojąca tuż za nimi.

Pozostałe pożegnania były utrzymane w tym samym duchu.

- Zostanę z tobą - zaproponowała Brenda. - Nie masz nic przeciwko temu?

Mówiąc to objęła mnie ramieniem.

- Wszyscy zostaniemy - stwierdził Henry Osmond.

- Dziewczyny mogą spać na górze - usłyszałam głos Rogera Cavendisha - a my sobie z Henrym pościelimy na kanapach w salonie.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Też chciałam mieć to wszystko już za sobą.

- Jeśli pani pozwoli, Hellen, ja również chciałbym zostać - powiedział Derek Warwick. - Może się na coś przydam.

Postanowiłam zwolnić do domu obsługę z firmy cateringowej. Widziałam, że hostessy lecą już z nóg. Podziękowały mi z wdzięcznością i cicho opuściły dom. Po sprzęty miano przyjechać dopiero w sobotę po południu.

- Kochani - powiedziałam do pozostałych w salonie - jeśli ktoś jest głodny, w holu znajdzie jeszcze mnóstwo jedzenia... Niestety, z powodu braku prądu, nie będę mogła niczego podgrzać.

Podszedł do mnie inspektor Travis.

- Chciałbym, jeśli to możliwe, zamienić z panią słowo - powiedział.

-Tak?

- Myślę, że... no cóż, że można już zabrać, to znaczy przewieźć, hm... ciało pani męża do St. Austell.

- No tak - przyznałam. - Oczywiście. Proszę robić wszystko, co uważa pan za konieczne.

- Dziękuję. Czy mogę zapalić?

Spojrzałam na niego zdumiona.

Jak ten chłopiec sobie radzi z bandytami pokroju handlarzy narkotyków, czy innymi rzeźmieszkami, pomyślałam, skoro jest na tyle wrażliwy, by nie nazywać ciała mojego biednego Roberta zwłokami.

- Ależ proszę bardzo - odparłam.

Ujął mnie delikatnie pod ramię i wyszliśmy do ogrodu. Tu, nie patrząc na mnie, zapalił papierosa.

- Ciepła noc – stwierdził.

- Rzeczywiście - przyznałam.

- Wie pani, coś takiego widuje się zazwyczaj w filmach... Zaskoczył mnie kompletnie tym wyznaniem.

- Przyznam, że nie bardzo wiem, co o tym wszystkim myśleć

- kontynuował.

- Bo widzi pani, ostatnio mieliśmy fatalną pogodę, tu, na miejscu.

Przerwał, by po chwili ciągnąć dalej.

- Takie przyjęcie, no wie pani, ognie sztuczne, podchody, wymaga chyba specjalnego przygotowania, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, mówił nadal.

- Plan takiego przyjęcia jest prawdopodobnie ściśle określony, no i jeszcze ta pogoda... Musieliście państwo najpierw sprawdzić prognozę?

- Rzeczywiście. Sprawdziliśmy - potwierdziłam, nie rozumiejąc do czego zmierza.

- No właśnie. Wygląda na to, że ten, kto to zrobił, również przygotował się bardzo starannie.

- Kto co zrobił? - nie pojmowałam.

Inspektor Travis uczynił krótką pauzę.

- Przykro mi o tym mówić... Mam na myśli tego, kto strzelał do pani męża...

Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że Robert nie

żyje. Właściwie nawet nie sam fakt jego śmierci, ale jej rodzaj. Musiałam usiąść.

- Wiem, miała pani nadzieję, że to jednak zawał serca... - Mark Travis zdawał się mnie rozumieć.

Milczałam.

- No więc, to zmienia postać rzeczy - usłyszałam znowu jego głos. - Prawda?

Tak, to rzeczywiście zmieniało postać rzeczy.

- Ktoś dobrze to sobie obmyślił - wrócił do tematu inspektor.

- Jest jednak coś, co podważa tę tezę...

Nadal się nie odzywałam, pozwalając mu mówić.

- Wiele wskazuje tu na improwizację...

Szczerze mówiąc było mi w tej chwili wszystko jedno, czy inspektor miał do czynienia z zaplanowanym działaniem ze strony zabójcy (musiałam się pogodzić z tym słowem), czy też była to, jak powiedział, kwestia impulsu.

- Oczywiście domyślałam się, że to nie ma dla pani większego znaczenia - czytał w moich myślach - ale zostało popełnione morderstwo i moim obowiązkiem jest znaleźć zabójcę.

Jego ostatnie słowa zabrzmiały nieoczekiwanie twardo.

- W tej sytuacji muszę panią zapytać, czy pani mąż miał jakichś wrogów.

Nieoczekiwanie dla samej siebie roześmiałam się.

Nie wiem, chyba podświadomie spodziewałam się, że padnie owo sakramentalne w takich razach pytanie, które teraz wydało mi się kiczowatą kwestią teatralną. Przez chwilę myślałam, że śnię. Wszystko to było takie nierealne. Nie miało nic wspólnego z całym dotychczasowym doświadczeniem.

Zauważyłam, że moja reakcja nie zaskoczyła go.

Czekał na odpowiedź, paląc papierosa.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie panuję nad sobą.

Nie ponaglał mnie.

- To się wydaje nieprawdziwe - próbowałam niezgrabnie wytłumaczyć. Człowiek przekracza próg swojej wyobraźni. Nie może uwierzyć, że to, co go otacza, dzieje się naprawdę - koniecznie chciałam podzielić się z nim swoim stanem. - Ktoś dwie godziny temu zastrzelił mojego męża. To znaczy musiał

kupić pistolet, załadować do niego naboje, znaleźć odpowiedni moment, wycelować i nacisnąć spust. Czy pan mnie rozumie? Musiał o tym myśleć, jedząc ze mną kolację, dowcipkując, podziwiając sztuczne ognie, rozumie pan? - powtórzyłam. - Ktoś taki nie istnieje w mojej wyobraźni - mówiłam dalej. - To nie może być prawdą. Takie rzeczy się nie zdarzają. Morderstwa na przyjęciach popełnia się tylko w powieściach kryminalnych. Oczywiście, codziennie ludzie się mordują, przemytnicy, alkoholicy, narkomani, ale... nie wiem, jak to ująć, nie pod moim nosem, nie w moim domu i nie mojego męża!

Inspektor Travis patrzył przed siebie, pozwalając mi się wygadać.

Byłam mu naprawdę wdzięczna.

- Wie pani co to jest tak zwana wykrywalność przestępstw?

- zapytał widząc, że już skończyłam.

Nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił.

- Wykrywalność przestępstw sprowadza się do znalezienia sprawcy przestępstwa, nie zaś, jak można byłoby sądzić, do wykrycia samego zaistnienia przestępstwa...

Zgasił niedopałek w trawie, rozcierając go starannie obcasem na błotną miazgę, tak że nie pozostał po nim nawet ślad.

- Jakaś staruszka, cierpiąca na arytmie serca, nagle umiera. Lekarz stwierdza zgon swojej starej pacjentki. Umarła w łóżku, tak jak sobie tego życzyła. Któż może wiedzieć, czy pośrednią przyczyną zgonu było niepodanie jej na czas leku albo zamierzone wywołanie silnej emocji? Może to był, koniec końców, arsenik? Schorowana starowinka miała przecież osiemdziesiąt siedem lat... Lekarz podpisuje akt zgonu. Spieszy się do kina, spodziewał się przecież, że prędzej czy później straci pacjentkę. W karcie zgonu jako bezpośrednią przyczynę podaje przewlekłą arytmie i w jej wyniku ustanie akcji serca.

Popatrzyłam na niego uważnie, starając się zrozumieć znaczenie jego słów.

- Tak, proszę pani. Takie rzeczy się zdarzają. Częściej niż byśmy przypuszczali - powiedział. - Taka rzecz właśnie się nam dzisiaj zdarzyła.

Patrzyłam na niego, nic nie mówiąc.

- Wszystkie te dziwne przygody ze zgaśnięciem światła i przedwczesnym odpaleniem rac... Przecież to kompletnie bez sensu - tłumaczył, jakby to on z kolei zwierzał się ze swoich myśli. - Gdyby morderca chciał zastrzelić pani męża w czasie pokazu ogni sztucznych sądząc, że wybuchy petard zagłuszą huk wystrzału z małokalibrowego pistoletu, nie udałoby mu się to, bo przecież należało przewidzieć, że mąż pani zechce obejrzeć wraz z innymi pokaz i to uchroni go przed śmiercią. Zabawa z balonami dawała mordercy o wiele więcej możliwości, czyż nie? Wszyscy rozeszli się w ciemnościach, można było wejść do gabinetu drzwiami od strony ogrodu... Podłogę zadeptano mnóstwem naniesionego błota. Zabójca skorzystał niewątpliwie więc z drugiej okazji. Czekał na nią.

- Dlaczego więc zgasły światła? - wywód inspektora Trvisa zastanowił mnie. -I skąd ten falstart z odpaleniem sztucznych ogni?

- No właśnie... To daje do myślenia, prawda?

Wzdrygnęłam się.

- Dzisiejsze przyjęcie wcale nie było przyjemne - zaczęłam.

- Wszyscy dogryzali wszystkim. To było upiorne. Bawili się słowami, niedomówieniami, przeinaczając znaczenia. Odnosiłam wrażenie, że każdy do każdego ma jakieś ukryte pretensje, jakby wiedział więcej, niż byłam w stanie zrozumieć.

Zaczerpnęłam tchu.

- Od początku nic nie szło zgodnie z planem... Najpierw miała być kolacja, potem zabawa w ogrodzie z balonami, po niej kawa i pokaz ogni sztucznych. Tymczasem Robert, to znaczy mój mąż, kazał mi już przed kolacją podać kawę zaraz po kolacji, ponieważ zamierzał coś ogłosić. Gdy kawa była podana, zgasło światło, a potem przypadkowo wybuchły ognie sztuczne. Zabawa w ogrodzie przesunęła się więc, bo skoro już zaczął się pokaz, trzeba było go zobaczyć. Potem, gdy okazało się, że światła nie da się naprawić, wyszliśmy do ogrodu szukać balonów. A później... Później już Robert nie żył...

Inspektor Travis popatrzył na mnie uważnie.

- W okolicznościach, w których zostało zaplanowane tak

precyzyjne morderstwo, trudno o przypadek... - stwierdził sucho.

- A jednak sam pan zauważył, że najprawdopodobniej doszło do improwizacji! Coś musiało pójść nie tak, ale morderca Roberta poradził z tym sobie!

- Cieszę się, że jesteśmy tego samego zdania - usłyszałam.

- Proszę sobie przypomnieć, co kto mówił podczas przyjęcia. To może okazać się ważne.

- Chwileczkę! - przyszło mi coś na myśl. - Powiedział pan przed chwilą, że morderca mógł liczyć na to, że huk wystrzału z małokalibrowego pistoletu, tak się pan wyraził, zagłuszyłyby wybuchy petard...

- Owszem. To całkiem możliwe. Rana, hm... wskazuje na użycie takiej właśnie broni.

- Ja mam podobny pistolet! Jest u mnie w sypialni.

Mimo panującego w ogrodzie mroku, dostrzegłam zdumienie w oczach inspektora.

- Tallow! - zawołał.

I gdy sierżant Tallow pokazał się w drzwiach, rozkazał: - Proszę zabezpieczyć pistolet pani Plath, który...

Popatrzył na mnie pytająco.

- Mam go w szufladzie komody w mojej sypialni - poinformowałam.

- Słyszeliście, Tallow?

Sierżant Tallow zniknął zaraz potem w głębi domu.

- Dlaczego mi pani nic nie powiedziała? - w słowach inspektora brzmiał wyrzut.

- Przecież mnie pan nie pytał!

- Po co miałem pytać? Równie dobrze mógłbym zapytać, czy ktoś z was ma przy sobie pistolet!

- No właśnie. Nawet gdyby go miał i tak przecież by się nie przyznał. Jeśli go więc miał, to na pewno i tak go gdzieś ukrył. Nie zarządził pan przeszukania gości uznając z góry, że morderca nie ma broni przy sobie.

- Owszem, to prawda, ale nie mogłem też tego uczynić bez nakazu wydanego przez prokuratora. Miałem was wszystkich trzymać zamkniętych w salonie dopóki w poniedziałek nie

uzyskałbym jego zgody na rewizję?

W tym momencie ponownie pojawił się w drzwiach do ogrodu sierżant Tallow.

- Znalazłem pistolet - poinformował.

- Bardzo dobrze, Tallow. Proszę go zabezpieczyć - odetchnął z ulgą Mark Travis.

Potem wyciągnął następnego papierosa i zapalił.

- Chyba pani nie doceniałem - stwierdził już spokojniej.

- Ja też pana chyba nie doceniałam - przyznałam. - Wydał mi się pan całkiem bezradny, błakając się przez dwie godziny po domu i nie próbując nawet ustalić, kto jako ostatni widział mojego męża żywego.

- Nie musiałem pytać. Zorientowałem się, że nie da się tego stwierdzić.

- Sama już do tego doszłam. To tylko w filmach mawia się, że ostatni widział żywą swoją ofiarę morderca.

- No właśnie. Chociaż... Wie pani, w tych okolicznościach, kiedy było ciemno, gabinet pani męża oświetlał przecież tylko płomień kominka, a więc w tych okolicznościach morderca mógł nawet dobrze nie widzieć swojej ofiary...

Pojęłam o co mu chodzi.

- Robert mógł zginąć przez pomyłkę? - zapytałam, czekając na potwierdzenie.

Przerwał nam Richard Dawson, konstabl z Duporth, informując, że karawan właśnie podjechał pod dom.

2.

Obudziłam się dopiero przed południem.

Zasłony w oknach przepuszczały ostre światło słońca, zapowiadał się piękny dzień. Powoli wracały do mnie wydarzenia minionej nocy. Nie, z pewnością ten dzień nie był piękny.

Brenda przyniosła mi na górę śniadanie.

- Prąd już naprawiony - poinformowała. - Zjedz coś, wyglądasz jakby cię z krzyża zdjęto.

Popatrzyłam na nią z wdzięcznością.

- Od rana mamy w domu policję - mówiła Brenda. - Ale ty leż i nie przejmuj się.

Spojrzałam na zasłonięte okno, próbując się nie przejmować. To minie, pomyślałam. Policja, pogrzeb, formalności, wszystko kiedyś minie.

- Odpieczętowali gabinet Roberta i jeszcze raz dokonują ekspertyz - informowała tymczasem Brenda. - Chodzą po ogrodzie, zadają nam pytania i zagląдают do garnków. Dzwonili twoi tutejsi sąsiedzi, pytając jak się czujesz, a inspektor Travis zapowiedział się na popołudnie.

Zebrałam się w sobie, by zjeść choć trochę z talerza przyniesionego przez Brendę i pójść pod prysznic.

Gdy zeszałam na dół, dom był już pusty, nie licząc Brendy opalającej się w ogrodzie i Dereka Warwicka, zmywającego w kuchni naczynia po śniadaniu.

Bolała mnie głowa i czułam mdłości.

Postanowiłam zaparzyć sobie kawy.

- Nie wraca pan do Londynu? - zapytałam Dereka.

- Chciałem się na coś przydać - powtórzył wczorajszą deklarację. - Mieszkam na stałe w Plymouth. Tak wygodniej.

Wróciłam z kawą do salonu i usiadłam na kanapie przy stoliku. Zauważyłam, że gabinet Roberta ponownie został zaplombowany (czy tak plombowało się egipskie grobowce faraonów? - przyszło mi do głowy).

Przechodząc przez hol dostrzegłam, że musiała też już pojawić się ekipa cateringowa, bo znikły z niego stoły, zaś ten z jadalni powrócił na swoje miejsce.

Po wypiciu kawy, która tylko nieznacznie mi pomogła, wyszałam do ogrodu.

- Gdzie są wszyscy? - zapytałam Brendę.

- Poszli na spacer - odparła. - To znaczy szwendają się gdzieś po okolicy. Sara i Mary pojechały chyba do St. Austell, a Geraldine poszła razem z Rogerem i Henrym.

- Dawno poszli?

- Zaraz po śniadaniu.

- Nie wiesz dokąd?

- Geraldine pewnie wybrała się szukać nowej pracy...

Chwilowo miałam już dosyć uszczypliwości.

- A Gloria? - zapytałam. - Ona też wybrała się na poszukiwanie nowej pracy? Niedługo trzeba będzie przygotować obiad. Nie zauważyłam jej nigdzie.

- Masz na myśli swoją gosposię? - Brenda zdecydowała się odwrócić twarz od słońca. - Nie pokazała się rano, sama więc zrobiłam śniadanie, a potem wygoniłam wszystkich, żeby ci nie przeszkadzali.

Weszłam do domu, by zatelefonować do Glorii.

Jej numer jednak nie odpowiadał.

Ponownie usiadłam w salonie, próbując zebrać myśli.

Było cicho i spokojnie.

Popatrzyłam na zabłoconą podłogę pod nogami.

Wtedy nadeszli Roger, Henry i Geraldine.

- Musimy sami sobie zrobić obiad - powiedziałam do nich.

- Gloria najwidoczniej uznała za niestosowne pokazywanie się w domu, w którym popełniono morderstwo.

- To mogłoby zszargać jej reputację - zauważył Roger. - Oni tu na wsi wyznają jeszcze wiktoriańskie zasady.

- Połowa naszej wyspy wyznaje nadal wiktoriańskie zasady

- rozwinęła jego myśl Brenda, która przysłała z ogrodu zwabiona głosami.

- W myśl tych zasad wszyscy jesteśmy teraz trędowaci - powiedział Roger.

Brenda spojrzała na niego z udanym politowaniem.

- Moim zdaniem byliśmy już przedtem - powiedziała.

- Tak jakby oni tutaj byli święci! - parsknęła milcząca dotąd Geraldine. - Widzieliście, co wczoraj się działo?! Mało nie pozabijali się wzajemnie. Przeniosła spojrzenie na mnie i zaczerwieniła się. - Przepraszam Hellen. Głupio mi się wyrwało.

- Geraldine! Nie miałem pojęcia, że potrafisz się czerwienić...

- Roger Cavendish udawał zdumionego.

- Zamknij się - warknęła na niego Brenda, zanim Geraldine zdążyła zareagować. - Wreszcie się zamknij - powtórzyła już nieco ciszej.

- Będę milczał jak grób - powiedział Roger patrząc jej prosto

w oczy. - Możesz być tego pewna - podkreślił.

- Zróbmy ten obiad - zaproponowałam. - Jeszcze chwila i zjawi się tu inspektor Travis.

Przeszliśmy do kuchni, gdzie Derek Warwick zdążył już przygotować sałatkę do obiadu.

- Jest pan niezastąpiony, Dereku! - ucieszyłam się. - Tylko pan jeden myśli o tym, o czym należy.

- Zupełnie jak morderca... - wtrącił Roger Cavendish.

Nikt jednak nie zamierzał się nim przejmować.

Wyjęłam z lodówki steki i postawiłam patelnię na palniku.

- Pozwól, że ja to zrobię - Brenda wyjęła mi patelnię z dłoni.

- Ty sobie odpocznij.

Nie miałam jednak zamiaru odpoczywać.

- O czym Roger ma milczeć jak grób? - zapytałam ją wprost.

- Nie wiesz? - uśmiechnęła się. - O tym, o czym wszyscy wiedzą oprócz ciebie, kochanie. Przecież ta cała Keaton to lokalna szantażystka - stwierdziła lekko. - Specjalizuje się w Daltonach, że tak powiem. Ma coś na oboje. Słyszałaś ich wczorajsze rozmowy? Skojarzyłam jej z pozoru niewinną paplaninę z gadulstwem Rogera. Nie chciałam, aby w takiej chwili powiedział o jedno słowo za dużo.

Jej wyjaśnienie nie przekonało mnie.

Zauważyła to i dodała: - Roger czepił się Geraldine. Teraz, gdy wszyscy jesteśmy podejrzani, nie wyłączając ciebie, Hellen, nie należy tworzyć insynuacji i - by tak to określić - dodatkowych wątków.

- Na przykład jakich? - chciałam wiedzieć.

- Na przykład rozpowiadać, że komandor Keaton to stary oszust i taki z niego komandor, jak ze mnie koło ratunkowe.

Nie mogłam ukryć zaskoczenia.

- Też to zauważyłaś?

- Oczywiście. A ty nie?

Milczałam, przyglądając się, jak radzi sobie z patelnią.

- Widzę, że wieś kornwalijska niczym nie różni się w takim razie od Londynu - przyłączyła się do nas Geraldine i zaczęła wyjmować talerze z kredensu. - Wszędzie ten sam syf.

Wzięłam talerze z rąk Geraldine i wyszłam do jadalni nakryć

stół.

Minęło jeszcze pół godziny i wreszcie obiad był gotowy. Mogliśmy wszyscy usiąść i zająć się jedzeniem.

Sara Rawlins i Mary Bedford nie pojawiły się.

- Panie Warwick, jak to jest tam na morzu? - zapytał Roger.

- Hm... Człowiek ma dużo czasu... - Derek Warwick, zaskoczony, najwyraźniej nie był przygotowany na rozmowę o sobie.

- Czy to przypadkiem nie jest tak, że wy, żeglarze i marynarze, uciekacie na morze przed dolegliwościami lądowego życia? - drążył Roger.

- Ma pan rację. Rzeczywiście tak robimy. Łąd, widziany z morza, ma zupełnie inny kontekst. Jest w tych pobytach na łądzie coś z wizyty gościa.

- Eskapizm?

- Na pewno. To samo odczuwają prawdopodobnie lotnicy i alpiniści.

- A więc, generalnie, unika pan życia?

- Myślę, że w znacznym uproszczeniu i przy życzliwości dla rozmówcy, można to tak ująć.

- Boi się pan życia?

- Chyba tak. Prawdopodobnie go nie lubię - przyznał Derek.

- Dlatego jest pan gotów zginąć na morzu? - zainteresowała się nieoczekiwanie Geraldine. - To ciekawy paradoks, nie sądzi pan?

- No cóż... Nie bardzo potrafię o tym mówić. Na morzu - zaważał się - wszystko wydaje się jakby prostsze. Wiele rzeczy da się przewidzieć, przed innymi zaś uchronić. Człowiek w znacznej mierze zależy tylko od siebie...

- Chciałabym żeby mnie pan kiedyś zabrał na morze...

- Wówczas nie bylibyśmy już tam sami... Pani, Geraldine, załżałaby ode mnie, a ja od pani. Bezludna wyspa przestaje być bezludna, kiedy wyląduje na niej pierwszy człowiek.

- Powinien pan napisać o tym książkę.

- Już napisałem.

- A teraz pan Warwick robi o tym film - wtrącił się Roger.

- Prawda? Robert zaprosił pana z powodu tego filmu, sam mi

to powiedział. W tym filmie pan Warwick przedstawi nam się jako filozof morza, za co weźmie całkiem lądowe pieniądze. Te pieniądze umożliwią mu ucieczkę z powrotem na morze i z czasem pan Warwick stanie się rybą.

- Nawet grubą rybą - wpadła mu w słowo Brenda.

Znowu zrobiło się nieprzyjemnie.

Nie mogłam jednak odmówić racji Rogerowi. Derek Warwick utonął w porcie, jakby to powiedzieli teraz oboje z Brendą. Piękny, romantyczny, pachnący solą Derek Warwick przedziurawił skorupę plastikowego kadłuba o ostre, twarde skały lądu (wybacz mi Robercie po raz kolejny ten patos). No dobrze, może nie plastikową skorupę, tylko szylkretową, mieniącą się stonowanymi kolorami, zupełnie jak u żółwia.

Dokończyliśmy obiad w milczeniu.

- Posłałeś gościa na dno, hultaju - powiedziała w holu Brenda do Rogera.

-I za to mnie kochasz tak bardzo, prawda? Za to, że jestem jeszcze większą bestią od ciebie - uśmiechnął się do niej szelmowsko.

Chciałam wykorzystać czas pozostały do przyjścia inspektora Travaisa i posiedzieć trochę w ogrodzie.

Niestety, nie udało mi się. Derek Warwick poinformował bowiem o wyjeździe. Zaniósł do auta swój żeglarski worek i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

- Dziękuję Hellen. Wybacz, jeśli sprawiłem ci kłopot.

- Ależ Dereku! Jaki kłopot! Byłeś niezastąpiony nawet tu, na lądzie - zachnęłam się.

Odprowadziłam go do drzwi.

Widziałam, jak wsiada do samochodu i jeszcze macha mi ręką na pożegnanie.

Ruszył łagodnie, nie zrywając żwiru z podjazdu. Dżentelmen.

- Odpłynął? - usłyszałam za sobą głos Rogera.

- Na to wygląda - przyznałam.

- Spokojnie, daleko nie popłynie - to był głos Brendy. - Potrzebuje pieniędzy i sławy, a sława to pieniądze. Niedługo wiatry przygnają go tu znowu. Taki facet jest niezatapialny.

- Będzie chciał się dowiedzieć, co z filmem o nim - podjął

Roger. - Przecież to takie naturalne. Skoro producent nie żyje, to nasz Kolumb musi się zorientować na czym stoi, a chciałby stać na twardym gruncie.

Musiałam przyznać, że strzał Rogera o twardym gruncie, w kontekście ucieczki na morze właśnie przed lądem, wydał mi się wyjątkowo celny i co tu dużo mówić, sugestywny.

- Dlatego na wszelki wypadek zmywa gary po śniadaniu i obiera ziemniaki na obiad, bo teraz żona producenta odziedziczy kasę na film o Dereku Warwicku - dopowiedziała Brenda. - Widzieliście ten jego żeglarski worek?

Słyszając to Roger Cavendish roześmiał się głośno.

- To worek bez dna! - zawołał i Brenda także zaczęła się śmiać.

- Chyba zostanę grotolazem - parsknął Roger - bo czółganie się wychodzi mi najlepiej.

- A ja alpinistką!

- Zaczniemy wyłudzać pieniądze od Hellen, by opłacić nasz patent na życie.

- Wmówimy Hellen, że z kolei to opłacanie nas opłaci się jej także! Odkryjemy małe zwierzątko w Amazonii i nazwiemy jej imieniem.

- Doskonały pomysł! Odtąd Hellen wejdzie do historii nauki pod postacią jednokomórkowca wielkości czterech liter w encyklopedii zwierząt.

- No to ja dokonam aktu eskapizmu do swojej gitary - odezwał się wreszcie Henry Osmond. - Zagram coś z pozycji gościa na stałym lądzie, a potem strzelę sobie drinka i odpłynę.

- Uspokójcie się! - zawołałam, przecinając potok ich elokwencji.

Słowa Brendy o spadku, który miałam odziedziczyć po Robercie uświadomiły mi, że wraz z nim będę musiała przejąć także wszystko inne (Roger ująłby to zapewne w słowach: wszystkich innych).

Zamilkli.

- Ja nic nie mówiłam - zaproponowała Geraldine na wszelki wypadek.

Wtedy nadjechał inspektor Travis.

3.

- To my was zostawimy samych - zaproponowała Brenda po przywitaniu się z inspektorem i dała znak pozostałym do opuszczenia salonu.

- Ma pani dobrych przyjaciół - pochwalił.

- Tak, chyba tak. Dziękuję - odparłam. - Chociaż w gruncie rzeczy są to bardziej znajomi i współpracownicy mojego męża.

- Rozumiem.

- Czy już coś wiadomo, inspektorze?

Travis poczekał, aż usiądę i dopiero sam zajął miejsce w fotelu naprzeciw mnie. Nawet nie zdjął przy tym płaszcza.

- Owszem. Awaria transformatora została spowodowana celowo. Ktoś uszkodził go w nocy rozmyślnie. Nie zrobił jednak tego fachowo. Niemniej wiedział, jak spowodować zwarcie.

-Napije się pan czegoś? Przepraszam, że nie zapytałam od razu.

- Dziękuję. Czekaj już na mnie obiad. Nie zajmę pani zresztą wiele czasu.

- Żona?

- Niestety. Siostra - uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- No tak. Jest pan przecież od rana na nogach i pewnie nie miał pan czasu nic zjeść.

- Zależało mi, by dokonać oględzin miejsca... miejsca zdarzenia - najwyraźniej ugryzł się w język, by nie powiedzieć miejsca zbrodni - przy świetle dziennym, tak wcześnie, jak tylko było to możliwe, ale nie o tym chciałem mówić. Widzi pani, skrzynkę transformatorową otwarto przeznaczonym do tego kluczem.

-Tak?

- Wszystko na to wskazuje. To z kolei oznacza, że zabójca pani męża musiał wiedzieć, gdzie państwo przechowujecie ten klucz. W ogóle nabieram wrażenia, że jest nim ktoś, kto doskonale zna zarówno ten dom, jak i państwa zwyczaje.

- Wiele osób z zaproszonych na przyjęcie zna dom i zwyczaje w nim panujące - poinformowałam zgodnie z prawdą. - Myślę,

że dotyczy to w równym stopniu gości z Londynu i sąsiadów, którzy bywali u nas tak samo często.

- No właśnie. Niemniej skrzynką transformatorową zazwyczaj interesują się mężczyźni.

Niewątpliwie miał rację.

- Powiedziała pani wczoraj, że mąż pani zamierzał coś ogłosić po kolacji... i że to zmieniło plan przyjęcia. Nie wie pani może, czego miało dotyczyć to wystąpienie?

- Nie mam pojęcia - musiałam przyznać. - Mąż rzadko zwierzał mi się ze swoich spraw zawodowych. Trudno mi też sobie wyobrazić, co mógłby chcieć powiedzieć wszystkim zebranim. Musiałoby to przecież dotyczyć każdego, a więc być ważne zwłaszcza dla nas samych. Gdyby tak było, mąż nie robiłby z tego niespodzianki dla mnie. Prawdopodobnie wcześniej konsultowałyby się z mną w tej sprawie, zatem musiałabym być przygotowana.

- Szczerze mówiąc, też tak uważam - potwierdził inspektor.

- Także próbowałem sobie wyobrazić, co można zechcieć powiedzieć z gabinetu gościom zebranim w salonie przy kawie i dlaczego nie można było tego zrobić uroczyście przy stole podczas kolacji.

Nie miałam innego wyjścia jak zgodzić się z jego punktem widzenia, lecz naprawdę nie byłam w stanie mu pomóc.

- Idąc dalej tym tropem - mówił tymczasem inspektor - zaczęłam przypuszczać, że musiało to być coś ważnego jedynie dla kameralnego grona, zaledwie dwóch, trzech osób. Z góry też założyłam, że mąż nie poinformował pani co zamierza ogłosić. W przeciwnym razie, gdyby to było rzeczywiście ważne, powiedziałyby mi pani o tym już w nocy.

Trudno było odmówić logiki jego wywodom.

- Dlatego ważne jest, aby, jak już wspomniałem jeszcze w nocy, spróbowała pani sobie przypomnieć cokolwiek, co mogłoby rzucić światło na zależności pomiędzy pani mężem a zaproszonymi gośćmi.

Tego jednak nie musiał mi tłumaczyć, sama to wiedziałam.

- Może jednak napije się pan czegoś? - zaproponowałam ponownie. - Może chociaż kawy?

- No dobrze. Dziękuję. Jeśli nie sprawi to pani kłopotu.

Wysłałam do kuchni zaparzyć kawę dla nas.

- Nasza gosposia, Gloria, nie przyszła dzisiaj do pracy - zawołałam z kuchni. - Uznała nas za trędowatych!

Nie odpowiedział mi jednak.

Po chwili postawiłam na stole w salonie tacę z filiżankami, mlekiem i cukrem. Potem podałam jeszcze ciasto z przyjęcia i tylko jeden talerzyk do niego, gdyż sama nie miałam ochoty na nic, poza kawą.

- Proszę skosztować ciasta - zachęciłam. - Upiekłyśmy je wczoraj z Glorią. Powinno jeszcze nadawać się do zjedzenia.

Ponownie podziękował, sięgając po kawałek. Musiał być rzeczywiście głodny.

Zaczęłam opowiadać wszystko to, co udało mi się zapamiętać z rozmów prowadzonych podczas przyjęcia.

Słuchał uważnie, nie przerywając, czasem notując tylko w wyciągniętym z kieszeni notesie.

Streściłam także dzisiejsze rozmowy, których byłam świadkiem, kładąc szczególny nacisk na spostrzeżenia Brendy odnośnie państwa Keaton.

Gdy skończyłam, nie odezwał się od razu.

Notował coś jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym spojrzał na mnie zamyślonym wzrokiem i bezwiednie zaczął mieszać łyżeczką kawę.

- No tak... - odezwał się wreszcie. - Czy mogę zapalić?

- Oczywiście. Proszę... - podsunęłam mu popielniczkę.

- To szalenie interesujące, co mi pani przed chwilą opowiedziała. Wygląda na to, że wszyscy ze wszystkimi bez przerwy się kłócili.

Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Jeśli chodzi o państwo Keaton, to akurat sprawa jest prosta. Mamy ich oboje w naszych policyjnych rejestrach. Nie zdradzę tajemnicy, jeśli powiem, że pani Keaton bywała już karana za szantaż, natomiast pan Keaton to niegdysiejszy oszust matrymonialny, dokonujący przy okazji licznych drobnych kantów innego rodzaju.

Więc Brenda miała rację.

Nagle przypomniałam sobie coś.

- Podczas przyjęcia Ester Bolton zrobiła uwagę, która mnie zastanowiła...

-Tak?

- Zapytała, czy mój mąż nadal jest taki nietowarzystki, zajmując się tylko pracą. Użyła chyba określenia zawsze taki sam. Pomyślałam wtedy, że przecież gdzie jak gdzie, ale właśnie tu, w Porthpean, Robert stanowił wręcz duszę towarzystwa.

- Mąż pani, o ile wiem, zajmował się show-biznesem? - zainteresował się inspektor. - Był producentem, czy tak?

Potwierdziłam.

-Możliwe więc, że znał wcześniej Ester Bolton, która jest malarką. To wielce prawdopodobne, że próbowała zrobić karierę w Londynie i że tam się poznali.

- No właśnie! - wpadłam mu w słowo. - Zawsze zastanawiałam się, w jaki sposób Robert trafił do Porthpean. Gdy go o to kiedyś zapytałam, powołał się na biura pośrednictwa w handlu nieruchomościami. Równie jednak dobrze mógł przez nie nabyć parcelę gdziekolwiek w Kornwalii. Niekoniecznie musiało to być Porthpean.

- Oczywiście - przyznał mi rację inspektor. - Możliwe, że ktoś, kogo pani mąż znał tu już przedtem, polecił mu to miejsce. Tak, to całkiem prawdopodobne.

Spróbował kawy, która już dostatecznie przestygła.

- Prześledzenie powiązań pani męża będzie dość trudne, ale nie niewykonalne - wrócił do tematu. - Będę w każdym razie informował panią o postępach dochodzenia na bieżąco, chociaż to może, niestety, potrwać. Teraz jednak interesuje mnie ta skrzynka transformatorowa. Zrobienie spięcia nie jest, rzecz jasna, znowu takie trudne, jeśli ma się podstawową wiedzę w tego zakresu, lecz trzeba do tego posłużyć się jakimś narzędziem...

Zrobił przerwę, upijając kolejny łyk kawy. Potem rozejrzał się bezwiednie po salonie.

- Nie mam pojęcia, co to mogłoby być. Kluczyk do skrzynki transformatorowej przechowujemy w szafce w przedsiionku holu.

- Wiem. Już go tam znalazłem i oddałem do ekspertyzy. Nie pokładam jednak w jej wynikach większej nadziei. Klucz jest mały, ma zaoblone, wąskie powierzchnie i nawet jeśli da się odczytać z niego ślady linii papilarnych, będą z pewnością należały do pani męża, ewentualnie waszego ogrodnika, gosposi lub pani.

Pozacierane wzajemnie, niczego nie wniosą do sprawy.

- Tym bardziej że zabójca pewnie działał w rękawiczkach - wtrącałam.

Inspektor potwierdził moje spostrzeżenie nieznacznym kiwnięciem głowy.

- No właśnie... - zastanowił się. - O ile to zabójca majstrował przy skrzynce...

Musiałam jeszcze coś wyjaśnić.

- Inspektorze - zaczęłam, wykorzystując chwilową przerwę.

- Wiem, że w podobnych wypadkach to zawsze żona ofiary bywa najbardziej podejrzana...

Popatrzył na mnie z uśmiechem, wcale nie zdziwiony i zdusił niedopałek w popielniczce.

- Owszem. To prawda - przytaknął. - Zazwyczaj to żona ma najwięcej powodów do pozbycia się męża i najwięcej sposobności, by to uczynić. To jej odciski palców znajdują się na wszystkim, co należy do ofiary i to jej obecność zawsze i wszędzie jest przecież naturalna.

- A więc podejrzewa mnie pan?

- To mój obowiązek. Tym bardziej że w czasie, jak to państwo nazywacie, zawodów balonowych, siedziała pani sama w ogrodzie, zatem nikt nie może tego potwierdzić. Mogła pani obejść dom i zakraść się do gabinetu męża od drugiej strony, z części frontowej ogrodu, a potem wrócić tą samą drogą albo nawet przez salon lub drzwi do holu. Mogła więc to pani zrobić, podobnie jak każdy uczestnik przyjęcia.

- Musiałabym mieć pewność, że Robert jest w gabinecie

- wtrącałam.

- Niekoniecznie. To, że zabito go w gabinecie, wcale nie świadczy, że czekał tam na swojego zabójcę. Strzał można było oddać w dowolnej części domu czy ogrodu. Proszę nie

zapominać, że było ciemno i wszyscy bez przerwy się gdzieś przemieszczali.

- W takim razie sprawca (słowo morderca nadal nie chciało mi przejść przez gardło) podjął ogromne ryzyko. Przecież nie widząc w ciemności, nie mógł mieć pewności, czy mimo wszystko sam nie jest widziany.

- Być może ktoś go nawet zauważył i teraz wie, kto jest mordercą albo się tego domyśla.

Inspektor dopił swoją kawę.

- Wracając do pewności co do miejsca pobytu pani męża w danej chwili... Sprawca mógł przecież obserwować swoją ofiarę. Nie sądzę więc, aby gabinet stanowił z góry upatrzone przez niego miejsce zbrodni. Jedno wszak wydaje się pewne; zabójca starał się nie dopuścić do wygłoszenia oświadczenia przez pani męża. Miał już przygotowany plan i wiedział, że oświadczenie takie niechybnie tego wieczoru nastąpi, lecz musiał przyspieszyć wprowadzenie go w czyn. Dlatego spowodował spięcie licząc, że sprowokuje to rozpoczęcie zabawy z balonami. I tak też się stało.

- Był to zatem pomysł chwili?

- Tak by to można nazwać. Ktoś miał szybki refleks. Nie wyłączył bezpieczników, tylko pobiegł do skrzynki transformatorowej. To dawało mu pewność, że w obliczu poważnej awarii prądu pani mąż będzie zwlekał z wykonaniem podjętego postanowienia, mając na głowie problem jak zabawić gości. Tak, ów ktoś, naprawdę potrafi bardzo szybko myśleć; przecież musiał jeszcze znaleźć odpowiednie do zrobienia spięcia narzędzie. Coś w rodzaju metalowej sztaby o ostrym zakończeniu, którą dałoby się wyważyć osłonę podpięcia kabli i następnie rzucić na odsłonięte przewody. Wszyscy byli jednak wtedy we wnętrzu domu i paliło się jeszcze światło. Wówczas ryzykował najbardziej, bo po wybiegnięciu na zewnątrz nie napotkałby już nikogo.

Wywód Marka Trávisa miał sens.

- Kogo zatem szukamy? - chciałam wiedzieć.

- Chodzi pani o tak zwany portret psychologiczny? - zapytał w odpowiedzi.

- Właśnie.

Wzruszył ramionami.

- Trudno jeszcze w tej chwili byłoby taki portret naszkicować...

Zastanowił się.

- Musiałby to być ktoś, prawdopodobnie mężczyzna, chłodny, opanowany, przyzwyczajony do podejmowania szybkich decyzji w sytuacji dużego stresu. Ktoś spostrzegawczy i pomysłowy, z wyobraźnią. Proszę również nie zapominać, że na dodatek znający się na różnego rodzaju urządzeniach technicznych, nie tylko specjalizujący się w instalacjach elektrycznych, bo tego, że przyjdzie mu uszkodzić transformator, nie mógł się spodziewać. Zna pani kogoś takiego?

Wykonałam przeczący ruch głową.

- A ten żeglarz, Derek Warwick?

- Był u nas po raz pierwszy - odparłam szybko.

- No dobrze. Zostawmy na razie pana Warwicka - zgodził się Travis.

- A może Frederic Bolton - głośno myślałam. - To taki człowiek, który zna się na wszystkim. Wie pan, typ prawdziwego mężczyzny; wszystko wie, wszystko umie, zawsze ma rację i do niczego się nie nadaje.

- Kto jeszcze przychodzi pani na myśl?

- Może Chris Dalton? Jest kierowcą wyścigowym, więc pewnie ma szybki refleks, jest przyzwyczajony do podejmowania decyzji w sytuacjach stresowych, no i zna się na urządzeniach technicznych. Przeglądałam w pamięci listę gości.

- To chyba wszyscy.

- A pani znajomi z Londynu?

Roześmiałam się szczerze.

- To artyści - poinformowałam, starając się nadać swojemu głosowi cudzysłów przy wymawianiu słowa artyści. - Henry Osmond jest muzykiem i mam wrażenie, że poza muzyką już na niczym innym się nie zna ani też niczym się nie interesuje. Jest niewątpliwie męski, lecz w tym sensie, w jakim męski mógłby się wydawać na przykład Marlon Brando. W gruncie

rzeczy to wrażliwy człowiek, prosty i raczej pozbawiony fantazji. Także Rogera Cavendisha nie widzę w roli zimnego, przebiegłego zabójcy. Roger jest miękki i fajtlapowaty. Jak na komandosa ma aż nadmiar wyobraźni. Jest projektantem graficznym. Jego pasją to żonglowanie słowami z Brendą Blake, w której znajduje do tego wymarzonego partnera. Roger nie potrafiłby samodzielnie nawet gwoźdźcia przybić. Poza tym - zawahałam się - poza tym Roger jest, jak by to panu określić... bezwstydnym. Nie przejąłby się za bardzo, gdyby mój mąż oświadczył nawet w prasie, że ma go za złodzieja, porywacza niemowląt i męską prostytutkę. Może byłby wręcz z tego zadowolony...

Inspektor Travis chrząknął po moich słowach.

- To musiało być naprawdę upiorne przyjęcie - skomentował cicho, niemal do siebie.

- Tak. To było upiorne przyjęcie - potwierdziłam.

- Kto je zaproponował? Pani mąż?

- Oczywiście. Ja już przyzwyczaiłam się do roli banitki i nawet było mi z nią dobrze.

- Przepraszam, że pytam... nie mają państwo dzieci?

- Nie.

- No tak... - westchnął Travis do swoich myśli, podnosząc się do wyjścia.

- To byłoby na razie wszystko. Bardzo pani dziękuję.

Odprowadziłam go do drzwi w przedsiönku holu.

Wtedy przyszło mi coś do głowy.

- Panie inspektorze...

- Tak? - Zatrzymał się.

- Tej nocy, w ogrodzie... kiedy siedziałam na ławce...

Popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

- Nie byłam tam całkiem sama. Ktoś jeszcze krył się w krzewach za moimi plecami. To była Moira Dalton. Słyszałam, jak mówiła do kogoś, tam w krzakach: „daj spokój, nie wygłupiaj się” albo coś w tym rodzaju. Nie pamiętam już zbyt dokładnie.

Inspektor Travis nie mógł ukryć niedowierzania w oczach.

- No cóż, sprawdzimy to - powiedział tylko.

Potem podał mi rękę na pożegnanie i wszedł do samochodu.

4.

- O kim mówiłaś, że nie potrafiłby gwoździa przybić? - zapytał Roger po odjeździe inspektora.

- Podśluchiwałaś?

Zrobił obrażoną minę.

- Przechodziłem tylko przez hol do kuchni. Ale to miło, że uznałaś mnie za całkowicie niezdolnego do służby w wojsku.

- Tego nie powiedziałam.

- Ale to pomyślałaś. W końcu w wojsku, jak by na to nie patrzeć, uczy się człowieka zabijać.

- Już ty lepiej nie wbijaj gwoździa do trumny Hellen - wtrąciła się Brenda. - Przecież to ją podejrzewa inspektor.

- Wielkie mi rzeczy! - zbył ją Roger. - Każdego z nas podejrzewa. Podejrzliwość to jego zawód.

Miałam ich wszystkich serdecznie dość.

- Pójdę się położyć. Głowa mi pęka - poinformowałam.

Potem poszłam na górę i położyłam się na łóżku. Staralam się wywołać w pamięci obrazy minionej nocy. Pamięć nigdy nie stanowiła mojej najmocniejszej strony. Gdyby Robert żył, przytoczyłby mi na zawołanie każde wypowiedziane słowo. Ciekawe, czy widział, kto do niego strzela. Miałam nadzieję, że nie. Sceny zlewały się coraz bardziej. Nie pamiętam nawet, kiedy zasnęłam. Śniła mi się pani Keaton tańcząca z inspektorem Travisem.

Obudziłam się w nocy, zdrętwiała, złana potem.

Wstałam i zeszłam na dół do kuchni, by napić się wody. Dom był wreszcie cichy i spokojny. Wysoko na niebie świecił księżyc, zapowiadając ładną pogodę. Wyszłam do ogrodu, by na niego popatrzeć.

Dotarło do mnie, ile spraw do załatwienia jeszcze miałam przed sobą. Pogrzeb, postępowanie spadkowe, sprawy związane z interesami Roberta; nawet nie miałam pojęcia od czego zacząć. Teraz wszystko spoczywało na mnie. Powinnam jak najszybciej pojechać do Londynu i zobaczyć się z naszym

prawnikiem, Johnem Croftem.

Przyląpałam się na tym, że nawet nie wiem, ile właściwie pieniędzy mieliśmy z Robertem.

Wróciłam do łóżka i zasnęłam jak kamień.

*

Niedzielnny poranek obudził mnie dochodzącym z dołu zapachem jajek smażonych na bekonie.

Gdy zesłam do jadalni, wszyscy siedzieli już przy stole.

- Twoja Gloria olała nas na dobre - poinformowała Brenda.

- Pewnie będzie odtąd na nasz widok przechodzić na drugą stronę ulicy.

- Splunie jeszcze trzy razy przez lewe ramię - sekundował jej Roger Cavendish.

- Prosto pod nasze nogi - dodała Brenda.

- Były tu wieczorem Mary i Sara. Kazały cię przeprosić i pożegnać. Potem spakowały się i wróciły wynajętym w St. Austell samochodem do Londynu - złożyła swoją część raportu Geraldine.

Nalałam sobie z dzbanka kawy.

- Inspektor Travis się nie odezwał? - zapytałam.

- Nie - odpowiedziała Geraldine.

- Chcielibyśmy, o ile nie jesteśmy ci potrzebni, wyjechać po śniadaniu - powiedział Henry Osmond.

- Rozumiem. Przygotuję wam coś do jedzenia na drogę - zaproponowałam.

- No wiesz! Daj spokój, poradzimy sobie - odezwał się znad swojego bekonu Roger.

- Nie bądź fałszywie dumny - nie wytrzymała w tym momencie Brenda. - Bez Hellen sobie nie poradzisz.

- A ty Brendo? Poradzisz sobie beze mnie? - zapytałam.

Po raz pierwszy widziałam cię zmieszania na jej twarzy.

- Nic na to nie poradzę...

- Na co?

- Na to, że bez ciebie nie dam sobie rady.

- No, to skoro tak uważasz, to dam ci radę już teraz - wpadłam jej w słowo zadowolona, że udało mi się powiedzieć

coś w ich stylu. - Sytuacja się zmieniła. Spółka z wami nie jest mi do niczego potrzebna. A jeśli nie mam racji, to przekonaj mnie o tym...

Zauważyłam, że Roger Cavendish już miał coś uszczypliwego na końcu języka, ale w porę się w niego ugryzł. Pomyślałam, że dać komuś radę, to dodatkowo kolokwializm oznaczający pokonanie tego kogoś.

Do końca śniadania już więcej nie odzywaliśmy się do siebie. Zgodnie z zapowiedzią odjechali zaraz potem.

Brenda zdążyła jeszcze przeprosić mnie za swoje zachowanie i starała się przy okazji usprawiedliwić Rogera, mówiąc coś o jego przepracowaniu i talencie.

Odebrałam to w ten sposób, że nawet wtedy, już na odchodnym, próbowała dać mi do zrozumienia, że przynajmniej część mojego domu pochodzi z ich ciężkiej pracy.

Wreszcie zostałam sama i mogłam odetchnąć.

Poszłam położyć się na leżaku w ogrodzie.

Potem postanowiłam zadzwonić do Glorii.

Niestety, jej numer nadal nie odpowiadał.

Wróciłam więc na leżak.

Zastanawianie się kto zabił Roberta nie miało sensu. Mógł to zrobić dosłownie każdy z zaproszonych gości. W rozgardiaszu, jaki panował, było to możliwe. Wykrycie zabójcy interesowało mnie o tyle, o ile oczyszczało mnie z podejrzeń.

Poczułam, jak robi się chłodno.

Wróciłam do domu, by rozpałić ogień w drugim kominku, w salonie. Do gabinetu nie chciałam wchodzić. Nie miałam tam czego szukać. Jeśli zresztą było tam coś do znalezienia, pewnie policja już to znalazła.

Wtedy zauważyłam, że brakuje pogrzebacza.

Jak inspektor scharakteryzował narzędzie użyte do wywołania spięcia w transformatorze? Metalowa, ostro zakończona sztaba?

Rozdział V

1.

Coraz dłuższe miesiące spędzane na wsi sprawiły, że powoli odwykłam od Londynu. Teraz zaskoczył mnie swoim tempem. Potrącano mnie, poganiano klaksonami, ale tak naprawdę nikogo nie obchodziłam. Czyżbym już należała do Porthpean?

Mecenas John Croft, z kancelarii prawnej Croft & Croft & Croft, dystyngowany dżentelmen w średnim wieku o manierach wykrochmalonej serwetki, był starszym wspólnikiem własnego ojca, Beniamina Crofta, który kiedyś musiał być niewątpliwie młodszym wspólnikiem również Beniamina Crofta, swego dziadka (a potem starszym ojca, Jonathana Crofta), ten zaś, jeśli witalność Croftów istotnie z niego czerpała swe soki, powinien znać Kubę Rozpruwacza.

- Siadaj Hellen - zaprosił teraz. - Edna zaraz poda nam herbatę.

Edna, sekretarka Croftów, należała do stanu inwentarza stalego kancelarii i sądząc po jej wieku, z pewnością знаła nie tylko wszystkich Croftów razem, ale też królową Wiktorię osobiście.

- Jaka pogoda w Kornwalii?

- Dziękuję. Lało przez cały czas, ale ostatnio roz pogodziło się.

- No cóż... Ostatnie wystąpienie premiera w Izbie Gmin nie zapowiada większych zmian w tym względzie.

- Rzeczywiście, co najwyżej skoki ciśnienia - próbowałam naśladować poczucie humoru Johna Croita.

- Przykra historia, Hellen - ośmielił się skomentować przyczynę mojej wizyty, czując się wieloletnim członkiem zagmatwanej rodziny interesów mojego męża.

- To prawda - przyznałam.

- Pewnie zamierzasz obecnie uporządkować sprawę Roberta

- bardziej stwierdził niż zapytał. - Przygotowałem już niezbędne dokumenty - wskazał ręką na biurko za swoimi plecami, na którym piętrzyły się stosy teczek. - Pozwoliłem też sobie zaprosić panią Alice O'Harę, księgową twojego męża,

która może być nam niezwykle pomocna w wyjaśnianiu niektórych kwestii związanych ze stanem finansowym jego przedsięwzięć. Powinna się tu niedługo pojawić - zerknął dyskretnie na wiejski pejzaż nad kominkiem, przedstawiający konny wóz przepływający się przez bród, jakby stamtąd spodziewał się nadejścia Alice O'Hary.

Potem stanął przy oknie i zaczął wyglądać na ulicę.

Obserwowałam drobinki kurzu wirujące w świetle promieni rzadkiego słońca, wdzierającego się z naprzeciwka. Słyszałam miarowe tykanie wielkiego szafkowego zegara w kącie i trzeszczenie podłogi w sekretariacie pod nogami parzącej herbaty Edny (która zdawała się nigdy nie mieć nazwiska).

John Croft, zwyczajem niektórych innych prawników z City, przeszedł z nami na ty jeszcze w czasach, kiedy spodziewał się, że będziemy mieli dzieci, słusznie domyślając się na podstawie domu w Regents Park, że Robert stanie się już wkrótce jednym z najlepszych klientów kancelarii Croft & Croft & Croft. Wymagał tego prawniczy marketing, słowo, którym będą brzydzyły się jeszcze prawniki Johna, raczkujące w cyberprzestrzeni klony Croftów, przyszli absolwenci Eton.

Wreszcie do pokoju weszła Edna z herbatą i rytuał powitania w kancelarii został skrupulatnie odprawiony.

- Oczywiście nie mogę ci zdradzać treści testamentu przed jego oficjalnym otwarciem - zagaił Croft.

Spojrzał na mnie zza okularów w cienkiej złotej oprawie.

- Ale, że się tak wyrażę, możesz być spokojna.

Potem przeszliśmy do interesów.

Dowiedziałam się, że interesy te nie szły, co prawda w ostatnich czasach najlepiej (jak zwykle), ale Robert nadal miał czym dysponować. Jego firma producencka miała kilka długoterminowych kontraktów z telewizją BBC oraz udziały w dwóch innych dużych kontraktach na trasy koncertowe znanych wykonawców estrady. Współpracę z agencją Graphicus Brendy i Rogera zabezpieczał z kolei weksel na pokaźną kwotę, której, sądząc po obrotach agencji, nie udałoby się spłacić nawet ich wnukom. Dwa następne weksle wiązały Roberta z Mary Bedford i Henrym Osmondem na kolejne

pokolenia. Trzeci weksel, na sumę okrągłego miliona funtów, podpisał Robertowi Gordon Brown.

I to była dla mnie niespodzianka.

Nie miałam pojęcia, że Robert dysponował taką kwotą.

Croft dostrzegł zdziwienie w moich oczach.

- Hm... będę ci to musiał wyjaśnić - powiedział.

Popatrzyłam na niego, zamieniając się w słuch.

- Ten weksel stanowi tylko zabezpieczenie twojego męża na poczet podjętego przez Gordona Browna zobowiązania...

- Jakiego zobowiązania?

- Nie wiem, jakiego. Prawdopodobnie Gordon Brown przy mierza się do biznesu deweloperskiego, w którym zamierzał także uczestniczyć twój mąż.

- Nie rozumiem - przyznałam. - Robert zamierzał inwestować w nieruchomości i pożyczył Gordonowi milion funtów?!

- To nie do końca tak.

- A więc jak?

- Cóż, mogę się tylko oczywiście domyślać.

Patrzyłam na niego wyczekująco.

- Sama rozumiesz, są to tylko moje niczym nieuprawomocnione przypuszczenia...

- W porządku, to akurat pojmuję doskonale - ponagliłam go.

- To dobrze. Bo widzisz, nie wolno mi nawet snuć takich domysłów.

- Wiem, John. Wiem, że jesteś prawnikiem z City, ze stuletnią tradycją.

- No właśnie.

-Ale?

- No cóż... - powtórzył. - Myślę, że przez wzgląd na naszą stuletnią przyjaźń - uśmiechnął się do siebie - mogę zaryzykować sugestię, że owe pieniądze stanowiły rodzaj zastawu na taką samą kwotę, jakiej spodziewał się na podstawie zobowiązania podjętego przez Gordona Browna twój mąż.

Dalej nie rozumiałam.

Zauważył to i spróbował być bardziej konkretny.

- Nie było żadnego miliona funtów w gotówce, Hellen. Pożyczka została oczywiście opodatkowana zgodnie z prawem,

ale... nie doszło do przepływu pieniędzy. To natomiast zdaje się wskazywać na... - przerwał, szukając najwyraźniej odpowiednich słów - ...na to, że weksel stanowi rodzaj zapłaty z góry, za jakieś zobowiązanie, którego z kolei podjął się Robert na rzecz Gordona.

Teraz już kompletnie nie miałam pojęcia, o co chodziło.

- Kto właściwie podjął zobowiązanie i wobec kogo? Czy to znaczy, że Robert obiecał coś Gordonowi w zamian za pieniądze i żeby Gordon go nie oszukał Robert zażądał weksla na te pieniądze? - próbowałam pojąć.

- Myślę, że można by to tak w uproszczeniu ująć - potwierdził niechętnie Croft.

- Widzisz, twój mąż został niedawno członkiem komisji planowania przestrzennego w St. Austell. Miał zatem wpływ na zmianę statusu prawnego ziemi na tym obszarze - wybałał dość nieśmiało pod nosem.

Potem rozejrzał się po gabinecie z niesmakiem.

- Jak już powiedziałem, mnie takich rzeczy nie wolno nawet się domyślać... Ale gdyby doszło do przekwalifikowania gruntów rolnych na tereny budowlane, wówczas na pewno ogłoszony zostałyby na nie przetarg...

Nieznacznie poprawił uwierający go krawat.

- Biorąc pod uwagę, że cena standardowego domu na przeciętnej wielkości działce musiałaby się wahać w okolicach około dwustu pięćdziesięciu do trzystu tysięcy funtów, kwota miliona funtów, nazwijmy to - Croft westchnął - prowizji, nie wydaje się szczególnie wygórowaną.

Wydobył z kieszeni sprawnie złożoną chusteczkę i przetarł nią czoło.

- Zwłaszcza - dodał - przy zysku kształtującym się na poziomie pięćdziesięciu tysięcy funtów od jednego domu, przy założeniu, że zostałyby wybudowanych, no powiedzmy, sto domów. Przychód pomniejszony o koszty tego przychodu, po odliczeniu podatku od dochodu, przyniosłby Gordonowi Brownowi dość spory zysk, czyniący go całkiem zamożnym człowiekiem.

Croft starał się nie patrzeć mi w oczy. Utkwił wzrok w parze koni ciągnących wóz przez wodę.

Wreszcie zrozumiałam.

Robert, ni mniej ni więcej, zagwarantował sobie łapówkę za przekształcenie gruntów rolnych w St. Austell na działki budowlane.

Ciekawe, ile z tej kwoty przeznaczył dla Petera Donovana, który był przewodniczącym komisji planowania przestrzennego w St. Austell.

- Czy w przypadku Mary Bedford, Henrygo Osmonda i agencji Graphicus było tak samo? - zapytałam, gdy wreszcie udało mi się jako tako ochłonąć.

- Niezupełnie - pospieszył z odpowiedzią Croft. - W tych przypadkach Robert naprawdę inwestował swoje pieniądze, zabezpieczając weksłami własne - ponownie musiał nabrać powietrza - nieformalne wspólnictwo. - Zresztą ze wszystkimi wiąza go, niezależnie od tego, standardowe kontrakty. Takie rozwiązanie pod pewnymi względami przypomina franczyzę i w zasadzie jest legalne.

- To skąd te weksle?

- Hm... Jakby to powiedzieć... Kwoty prowizji na kontraktach nie przewidują wielkości wynagrodzenia dla inwestora na takim poziomie, który wynikałby... - Croft znowu szukał właściwego określenia - ...który wynikałby z potrzeb twojego męża, Hellen

- dokończył.

- Robert był lichwiarzem? - dotarło do mnie nagle.

- No cóż... - Croft rozłożył bezradnie ręce.

- Dlaczego wobec tego nikt nie zwrócił się zwyczajnie do banku o pożyczkę?

- Bo jak mniemam, Robert, w przeciwieństwie do banków, nie żądał, by tak to nazwać, zwrotu długu w przypadku niepowodzenia przedsięwzięcia. Uznawał to za swoją stratę. Nie był przecież gangsterem.

Tak oto dowiedziałam się, że stuletni John Croft uważa właścicieli banków za gangsterów.

Wtedy Edna poinformowała, że przyszła pani O'Hara.

Dobrze znałam Alice O’Harę. Czasem widywałyśmy się w biurze Roberta. Alice O’Hara przypominała mi zawsze nie pierwszej już młodości szarą mysz o zgrabnych nogach w niezgrabnych butach. Gdyby zedrzeć z niej ten mysi kostium, rozpuścić włosy, zdjąć nietwarzowe okulary w grubej oprawie, pomalować usta i przyciemnić makijaż, a do tego nałożyć jedwabne pończochy z czarnymi podwiązkami, zamieniając koślawe buty na lekkie czółenka o niewysokiej szpilce - Alice O’Hara spełniłaby się przy lub na swoim biurku, niczym startujący samolot z rozłożonymi skrzydłami, podnosząc słupek własnych zysków o nową buchalterię.

Przywitałyśmy się chłodno.

Edna wniosła do pokoju dodatkową filiżankę herbaty.

Potem dowiedziałam się, że kariera Mary Bedford rozwijała się coraz lepiej, czego nie można było powiedzieć o Henrym Osmondzie. Z kolei kariera Sary Rawlins wymagała jeszcze znacznego doinwestowania, bez nadziei na zwrot kosztów przed upływem drugiej młodości Sary. Poza tym Robert włożył trochę grosza, jak to wynikało z rachunków księgowych, w wynajęcie i adaptację lokalu na nowy salon samochodowy Frederika Boltona w Plymouth. Także księgowość agencji Graphicus nie zwiastowała niczego dobrego. Firma robiła bokami, chociaż kiedyś zgarniała z rynku zlecenia największych inwestorów. Wśród nich bywały filie wielkich koncernów i sieci handlowych. Wraz jednak z upowszechnieniem się komputerów i technik poligraficznych, Graphicus zaczął notować straty. Od pewnego czasu jego głównym i niemal strategicznym zleceniodawcą był nie kto inny jak sam Robert Plath, mój mąż, powierzając agencji produkcję plakatów swoich gwiazd, których to plakatów nakłady sięgały łącznie setek tysięcy egzemplarzy w skali miesiąca. Sama jednak firma zarabiała na tym niewiele. Produkcja była łatwa i szybka, Brenda i Roger nie mieli przy niej za wiele do roboty. Mnożyły się też straty papieru i niejednokrotnie trzeba było powtarzać druk. Wziąwszy pod uwagę obroty osiągnięte przez Roberta na pozostałych polach, agencja Graphicus wypracowywała zaledwie ich ułamek i z czysto księgowego punktu widzenia

coraz bardziej traciła sens swego istnienia.

- Widzi pani - tłumaczyła mi Alice O'Hara - panu Robertowi nie zależało bynajmniej na potanieniu kosztów publikacji materiałów reklamowych realizowanych przez firmę. Bez problemu znalazłby tańszych wykonawców. Szczerze mówiąc, byłam nawet zdziwiona decyzjami pani męża w tej kwestii.

Słyszając jej słowa, wymieniliśmy z Croftem spojrzenia.

Widocznie nie zrobiliśmy tego wystarczająco dyskretnie i musiała je zauważyć, gdyż dodała: - Z czasem nabrałam przeświadczenia, że chodzi w tym o coś więcej. Pan Robert utrzymywał firmę, by tak rzec, na skraju bankructwa. To znaczy pani Brenda i pan Roger utrzymywali ją na skraju bankructwa, lecz... - poprawiła okulary - ...nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to pan Robert ich do tego skłaniał. Odkąd zaś stał się ich głównym zleceniodawcą - nie wiem jak to wyrazić - w pewnym sensie zachowywał się tak, jakby był szefem Graphicusa. Zastanawiało mnie także, że od samego początku to mnie powierzono prowadzenie księgowości agencji Graphicus. Tworzyliśmy coś na kształt jednej rodziny i odkąd przestały napływać zlecenia z zewnątrz, pani Brenda i pan Roger coraz bardziej liczyli się ze zdaniem szefa, to znaczy pana Roberta. Kiedyś nawet przyszło mi do głowy - kontynuowała - że te wszystkie straty papieru w drukarniach, gdyby nie były rzeczywistymi stratami, pozwoliliby wydrukować przynajmniej ze dwa razy więcej plakatów, niż zostało wydrukowanych. Oczywiście poinformowałam o tym szefa, ale on zdawał się tym nie przejmować. Nabrałam mniemania, że w jakiś przedziwny sposób i tak jest zadowolony ze współpracy z panią Brendą i panem Rogerem. Dopiero jakoś tak przed miesiącem zaczął bardziej interesować się tą sprawą. Wiem, że osobiście wybrał się nawet do kilku drukarni i wkrótce potem poinformował mnie, że chyba zainwestuje w jedną z nich. Przyprowadził też pewnego dnia właściciela tej drukarni, przedstawiając mi go i zwracając się do niego po imieniu, jakby byli od dawna kolegami.

Alice O'Hara skończyła swój raport.

- Pamięta pani, co to była za drukarnia? - zapytałam.

- Fingerprints - udzieliła mi natychmiastowej odpowiedzi.
Postanowiłam skontaktować się z drukarnią Fingerprints, której nazwa wydała mi się tak adekwatna do mojej sytuacji.

2.

Przedtem jednak chciałam wreszcie zobaczyć dom w Regents Park.

Postanowiłam jechać sama, by później zostawić wóz w garażu i na resztę dnia skorzystać z taksówki.

Jazda przez Londyn zestresowała mnie jednak na tyle, że po drodze nie zdążyłam nawet przyjrzeć się miastu. Nigdy, co prawda, nie byłam fanatyczną zwolenniczką Londynu, lecz już przyzwyczaiałam się do nazywania go w duchu moim miastem. Jakieś przecież miejsce musiałam uznać za swoje. Mimo to Londynu nie znałam zbyt dobrze. Podświadomie zawsze czułam się w nim gościem, a czas spędzony w Kornwalii jeszcze, jak się okazało, to uczucie spotęgował.

Gdy podjechałam pod dom przyszło mi do głowy, że Robert nie poinformował mnie o inwestycji w drugi sklep Frederika Boltona i że ten ostatni musiał o tym wiedzieć, bo również przemilczał ów fakt podczas rozmowy, gdy przyszedłam zaprosić go wraz z Ester na przyjęcie. Sugerował nawet żal z tego powodu, że nie łączą go, w przeciwieństwie do Petera Donovana, żadne interesy z Robertem.

To dziwne, pomyślałam, dlaczego to przede mną obaj ukrywali.

Otworzyłam drzwi wejściowe własnym kluczem, postanawiając jeszcze powrócić do tej sprawy, gdyż zaraz po wejściu do salonu zobaczyłam Mary Bedford.

- Witaj Mary - zaczęłam pierwsza.

- Dzień dobry Hellen - odpowiedziała, bynajmniej nie zaskoczona moim widokiem. - Rozumiem, że mam się wynosić?

- przeszła od razu do sedna.

Skoro tak postawiła sprawę, tylko ułatwiała mi zadanie.

- Tak Mary. Chciałabym, żebyś się jak najszybciej wyprowa-

dziła.

- Kupiłam dom pod Londynem. Jutro, najdalej pojutrze, już mnie tu nie zastaniesz - poinformowała swobodnie.

Nie uznałam za stosowne komentować w jakikolwiek sposób tej enuncjacji.

- Swój akt oczywiście też zabierasz ze sobą? - zapytałam tylko.

- Co to znaczy też? Niczego przecież nie zabieram z twojego domu – zaoponowała.

- Doprawdy? Jesteś tego najzupełniej pewna?

Dostrzegłam na jej twarzy przelotny cień zmieszania.

- Jeśli chcesz, możesz go wyrzucić - odparła zaraz szybko.

- Nie wiem, podrzeć, spalić i rozsypać popioły nad Kornwalią.

- Kto wie, może właśnie tak uczynię - potwierdziłam.

- Nie, Hellen, ty nie wiesz, co zrobisz. Ty nigdy nie wiedziałś, co zrobić, skoro już o tym mówimy i dlatego nic nie robiłaś. Zawsze byłaś niezdecydowana pomiędzy trzaśnięciem drzwiami a wygodnym życiem u boku Roberta. Owszem, zdarzało ci się trzaskać tymi drzwiami, ale nie za sobą, bo nigdy przy tym nie wychodziłaś. Stałaś po wewnętrznej stronie, by tak rzec, tego konfliktu, zapierając się z całej siły nogami o próg.

- Z to ty przekraczałaś nie jeden raz próg mojej cierpliwości.

- Ale nigdy go jakoś nie przekroczyłam do końca, prawda? To ja stałam na zewnątrz tych trzaskających mi przed nosem drzwi.

- Kiedy? Czy wtedy, gdy wyjadałaś z mojej lodówki?

- Niemało też do tej lodówki wkładałam dla całego domu.

- I to było jeszcze gorsze!

- Jeszcze gorsze byłoby, gdybym kupiła sobie własną lodówkę.

- Co bynajmniej nie przeszkadzało ci mieć własnego pokoju

- zauważyłam cierpko.

- Mieszkanie kątem w sypialni gościnnej przez kilkanaście lat nazywaś własnym pokojem?

- O tak, domyślałam się, że ta sypialnia musiała być wyjątkowo gościnna - nie mogłam powstrzymać się od tej uwagi.

- Widocznie twoja własna taka nie była.

- Myślę, że to nie twoja sprawa.

- Nie moja? To czyja? Musiałam znosić twojego męża, który przychodził do mnie ze wszystkim, z czym nie mógł przyjść do ciebie. Myślisz, że to było miłe być Ścianą Płaczu, podczas gdy ty zajmowałaś się jakimiś duperelami, rozwieszając po całym domu te paskudne pamiątki z kolejnych podróży do Paryża? Nigdy go nie rozumiałaś. Traktowałaś Roberta jak maszynkę do robienia pieniędzy. Tymczasem ten facet był jednym wielkim kontenerem słabości.

- Zdaje się, że jego główną słabością byłaś ty, Mary.

- Jeśli nawet to prawda, co mówisz, to jestem tylko z tego powodu dumna.

- Doprawdy? - zapytałam, wstrząśnięta usłyszanymi słowami.

- A twój weksel?

- Jaki weksel? - najwyraźniej nie zrozumiała.

- Ten, dzięki któremu byłaś aż tak przywiązana do Roberta

- usiłowałam być złośliwa.

- Ach, weksel... - machnęła lekceważąco dłonią. - A ty nie podpisałaś żadnego weksla wychodząc za mąż za Roberta? - spojrzała mi prosto w oczy. - A może to on wystawił ci weksel na samego siebie? No? Kto kogo złowił? Jak go znam, musiał się przecież przed kimś wyplakiwać. Tylko że ty zrobiłaś sobie z wysłuchiwania jego żalów zawód, podczas gdy ja pracowałam uczciwie na siebie drąc głos gdzie popadło i wszystko mogę o sobie powiedzieć poza tym jednym, że byłam utrzymanką twojego męża. To stanowisko zdążyłaś ty zająć.

- Skoro było ci tak źle, dlaczego nie wyprowadziłaś się? Byłam ciekawa, co powie, chociaż przecież i tak domyślałam się odpowiedzi.

- Z tego samego powodu, co ty, Hellen. W każdym razie, jeśli nawet nie z tego samego, to takiego samego. Zapytaj najlepiej Geraldine, ona ci to wyjaśni. Wszystkie trzy wdepnęłyśmy w Roberta Platha.

- Sara Rawlins również? - wtrąciłam.

Widziałam, jak jej usta zadrżały.

- Sara Rawlins... - powtórzyła niechętnie. - No cóż, Sara Raw-

lins to świeże mięso...

- Nie takie znowu świeże - nie zgodziłam się.

- Fakt - przyznała skwapliwie - ale Sara Rawlins nie była świadkiem pierwszych wzlotów i upadków Roberta. Nigdy nie jechała na koncert starą furgonetką i nie musiała jeść hot-dogów w przydrożnym barze. Robert od razu zaprosił Sarę do Bentleya, którym ją zawiózł prosto do Ritza. To dało jej nad nami przewagę.

Dzięki niej mógł podjąć kolejną próbę okazania się mężczyzną.

Westchnęłam, poddając się i obróciłam na pięcie.

Poszłam do swojej sypialni, by wziąć prysznic i się przebrać. Zauważyłam, że akt Mary Bedford zniknął ze ściany, pozostawiając po sobie ciemny obrys ramy.

Rzuciłam okiem na ogród. Był zapuszczony, ale dało się go jeszcze odratować.

Miałam teraz dwa domy i żaden nie był tak naprawdę moim. Pomyślałam o plażach na Majorce, Krecie, Cyprze czy gdziekolwiek indziej, na Bermudach, Jamajce albo choćby na takiej Gwadelupie (tam nie, bo nie znałam francuskiego - hiszpańskiego i greckiego zresztą też nie).

Ostatecznie Gordon Brown był mi winny milion funtów.

Poczułam się znowu lekko. Sam ten dom, w którym brałam teraz prysznic, mogłam zamienić bez problemu na taki sam dom w okolicy Cannes, Nicei lub St. Trapez. Podczas gdy Gordon Brown będzie mi nadal winny milion funtów... A potem mnie zabije, tak samo, jak zabił Roberta...

Nie, zabiją mnie na spółkę Mary Bedford i Henry Osmond. Zabiją, żebym nie mogła już dłużej z nich żyć...

Nagle zorientowałam się, że wiele jeszcze innych osób będzie pragnęło mnie zabić.

I wtedy mnie olśniło! Po co w takim razie zabijali Roberta, jeśli teraz będą zmuszeni zabić jeszcze mnie?!

Śmierć Roberta musiała, po prostu musiała rozwiązywać dla zabójcy sprawę.

Zatem nie mogło chodzić o Mary, Henryego czy Brendę i Rogera! Miałam na nich weksle, które jako mienie wspólnie

nabyte należały obecnie do mnie! (Przynajmniej tak sądziłam). Z tego samego powodu także Gordon był poza podejrzeniem. W takim razie musiało chodzić o kogoś z Porthpean...

*

Właściciel drukarni Fingerprints, młody człowiek z oczami jak węgle, przyjął mnie natychmiast, składając wylewne kondolencje.

Zapytałam wprost o interesy Roberta.

- Proszę pani, a co ja pani mogę powiedzieć teraz, gdy Robert już odszedł. Lipne superaty papieru szły na lewe zlecenia Brendy Blake i Rogera Cavendisha. Takie rzeczy przecież się robi. Nie było tak naprawdę żadnych strat. Oni kantowali pani męża, każde na swoją rękę, a on za to płacił i jeszcze był zadowolony. Przepuszczali przez jego kieszeń własne zlecenia i na swoje konto, tyle że on za nie płacił. To znaczy płacili ich zleceniodawcy, ale w rzeczywistości pani Brenda i pan Roger pokrywali moją należność z kasy pana Roberta. Jemu się to opłacało, bo miał potężne lipne koszty. Ja jestem czysty, wystawiałem rachunki, które powinni uwzględnić w swoich zeznaniach podatkowych. Jeśli tego nie zrobili, to ich sprawa z urzędem skarbowym. Jak sądzę, wystawiali też rachunki swoim zleceniodawcom, no chyba że robili to całkiem na czarno, ale wie pani, każdy chce mieć koszty... Innymi słowy, jeśli ukrywali dochód, to ich klienci musieliby ukrywać koszty, inaczej każda krzyżowa kontrola skarbową, rozpoczęta od któregośkolwiek ich klienta, musiałaby doprowadzić do nich.

- Czy mój mąż o tym wiedział? - zapytałam już tylko pro forma.

- Najpierw nie, ale potem, gdy tu przyszedł, tak jak pani, to się dowiedział. Ja prowadzę legalne interesy i nie mam nic do ukrycia. We mnie te kombinacje nie biją.

Nagle doznałam przeblysku refleksu.

- Ależ biją w pana, bo dwa razy sprzedawał pan ten sam papier.

Nie dał się jednak zaskoczyć i tylko się roześmiał.

- Strasznie pani bystra - pochwalił - ale nic z tego. Rozbiego-

we partie papieru, niezbędne do ustalenia koloru oraz tak zwanego pasowania, wywożę codziennie tonami na makulaturę wliczoną w koszty druku dla pojedynczych klientów.

- Czy mój mąż proponował panu spółkę?

- Owszem, ale w rzeczywistości, jak sądzę, chciał tylko się ze mną skumplować, żeby wyciągnąć ode mnie to samo, co i tak bez bicia powiedziałem pani. Znowu się roześmiał. - Mogłem mu to spokojnie wszystko zeznać, bo przecież miałem pewność, że jak już namierzył tych swoich wspólników, to w końcu wróci do mnie. Odpadałoby mu wtedy jedno ogniwo pośredniczące, a projektować to może przecież każdy.

- I oni, Brenda Blake i Roger Cavendish, robili to każde na własną rękę? - chciałam się upewnić.

- No jasne! Tacy z nich wspólnicy. Różni się, nawet nie dbając o to, by nie kombinować w tej samej drukarni, co tylko potwierdza, że nie mieli wzajemnie o swoich kantach pojęcia.

- Ale mój mąż w końcu się zorientował?

- To ja go zorientowałem. Bo to on był zleceniodawcą z pierwszej ręki. Szybko pojął, jakie korzyści z tego wynikają dla niego. A mnie przydałaby się z nim spółka. Jeśli mogłem mieć jego zlecenia, których wielkość byłem w stanie oszacować nie tylko na podstawie samego nakładu, ale też wielkości strat, to po co miałem chronić tych dwoje sympatycznych ludzi, których zlecenia w ramach moich, nazwijmy to superat i tak nie dorastały do pięt zleceniom pani męża. Jak pani widzi, jestem otwarty i niczego nie ukrywam, mając nadzieję, że teraz to pani przejmie stery tego biznesu...

3.

Nie miałam nic więcej do załatwienia w Londynie. Nie znając daty pogrzebu Roberta byłam tu już niepotrzebna sama sobie. Chciałam się tylko przespać w domu w Regents Park i wracać do siebie do Porthpean.

Na szczęście w Regent's Park nie zastałam Mary Bedford.

Pusty dom wydał mi się ogromny i też już niepotrzebny.

Musiałam przemyśleć uzyskane tego dnia informacje.

Nie miałam zamiaru żyć z Henry'ego i Mary. Pragnęłam rozwiązać kontrakty z nimi i podrzeć wszystkie weksle. To samo dotyczyło Gordona Browna i Rogera wraz z Brendą. Nie chciałam prowadzić interesów Roberta. Należało raz jeszcze spotkać się Johnem Croftem i omówić z nim te sprawy. Domyślałam się, że wycofanie z rynku mogło w niektórych wypadkach okazać się trudne lub wręcz niemożliwe bez poniesienia strat z tytułu kar umownych. Może jednak warto było poczekać do samoistnego wygaśnięcia kontraktów, nie zmieniając niczego i pozwalając firmie Roberta działać nadal. Tak mogło wyjść o wiele taniej i przynieść mi dodatkowy dochód, którym nie powinnam w swojej sytuacji gardzić. Prędzej czy później bowiem i tak zostałabym bez stałego źródła utrzymania, wyłączwszy ewentualne procenty od lokat bankowych, jeśli takie były. Croft jednak nic o nich nie wspominał, ale możliwe, że wyjaśniłyby to zapisy testamentowe poczynione przez Roberta. Ostatecznie Croft zapewnił mnie, że mogę być spokojna. Prawdopodobnie miał więc to właśnie na myśli.

Uświadomiłam sobie nagle jaką hieną był Robert.

Niemniej układ stworzony przez niego pozwalał każdemu przeżyć.

No właśnie - przeżyć.

Zabijanie kogokolwiek burzyło tę misterną i chwiejną równowagę, skazując jedną ze stron na śmierć głodową.

Sen nie nadchodził.

A jednak było coś, o czym nie pomyślał inspektor; Robert kazał sobie podać kawę do gabinetu, nie wspominając o filiżankach dla swoich potencjalnych gości. Nie wymienił żadnego nazwiska, nikogo, z kim miał zamiar omawiać sprawę na osobności.

Czy znaczyło to, że jego gość nie pijał kawy?

Kto z zaproszonych zrezygnował z kawy?

*

Jakoś udało mi się dotrzeć do rana. Obudziłam się z bólem głowy, niewyspana. W kuchni odkryłam pustą lodówkę i niepo-

zmywane naczynia po Mary.

Poprzedniego dnia jadłam na mieście, a potem już nie czułam się głodna i nie pomyślałam o śniadaniu. Nasza londyńska gosposia też najwyraźniej nie zrobiła zakupów i może nawet nie zjawiła się w ogóle, sądząc po naczyniach w zlewie.

Wyszłam w szlafroku do ogrodu.

W nocy musiał padać deszcz, lecz nawet go nie słyszałam. Stąpałam po mokrej trawie, zastanawiając się co dalej. Przyszło mi do głowy, że powinnam być może przed powrotem do Porthpean pojechać do firmy Roberta w Bloomsbury, aby porozmawiać z jego pracownikami.

Po namyśle postanowiłam wziąć swój samochód, gdyż nie miałam zamiaru już tego dnia wracać do domu w Regents Park. Wolałam długą podróż do Kornwalii.

Półtorej godziny później (musiałam jednak coś zjeść i przynajmniej napić się kawy) pojawiłam się na piętrze zajmowanym przez biura Roberta.

Tu powitała mnie zaskoczona Geraldine.

Potem odbyłam rozmowę z menedżerami Roberta, informując ich o podjętych decyzjach oraz o ich skutkach dla pracowników zajmujących się marketingiem firmy. Dodałam, że gdyby pojawiły się jakiegokolwiek problemy wymagające konsultacji ze mną i w konsekwencji mojej decyzji, to będę zawsze dostępna pod numerem telefonu, który zna przecież Geraldine.

Po postanowiłam jeszcze przed wyjściem odwiedzić gabinet Roberta.

Był to nowocześnie urządzony duży, widny pokój, przez którego okna można było zobaczyć spory kawałek miasta w dole. Ściany gabinetu ozdabiała, niczym trofea myśliwskie, duże zdjęcia mojego męża ze znanymi ludźmi show-biznesu oraz kopie złotych i platynowych płyt zdobytych przez gwiazdy z jego stajni. Na półce naprzeciw wejścia stały poustawiane w równym rzędzie nagrody otrzymane przez niego za działalność producencką, a także różne złote mikrofony i kamery przyznane jego pracownikom i współpracownikom.

Usiadłam w skórzanym, obrotowym fotelu za biurkiem i wes-

tchnęłam. Popatrzyłam na pusty, lśniący blat. Spróbowałam zajrzeć do którejś z szuflad biurka, lecz wszystkie były zamknięte.

Zatem czekało mnie jeszcze to; spakowanie Roberta już na zawsze (rodzice Roberta od dawna nie żyli i nie miał też rodzeństwa).

Usłyszałam ciche pukanie do drzwi.

Po nim, nie czekając na moją odpowiedź, do gabinetu bezszelestnie weszła Geraldine.

- Może zrobić ci herbaty albo kawy? - zapytała, stając w progu-

- Dziękuję Geraldine - odparłam. - Na mnie już czas, zaraz będę się zbierać.

Geraldine przestępowała jednak z nogi na nogę, najwyraźniej nie zamierzając opuścić swojego miejsca przy drzwiach.

Przypominała w tym uczennicę na progu gabinetu dyrektora szkoły.

- Tak? - zachęciłam ją.

Widziałam, jak nabiera powietrza w płuca.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że tak bardzo mi przykro...

Mówiąc to starała się unikać mojego wzroku.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, to wiedz, że możesz na mnie liczyć... - dodała.

- To miło z twojej strony, Geraldine - odparłam. - Lecz chyba będę musiała sobie poradzić z tym wszystkim sama.

Nadal stała w drzwiach, nie zdradzając widocznej chęci do wyjścia.

Wreszcie zebrała się na odwagę.

- Wiem, że stosunki między nami nie układały się nigdy najlepiej... - zaczęła ponownie -...ale zawsze byłam wam bardzo oddana...

- Mnie również? - zapytałam uznawszy, że słowo „oddana” było najmniej właściwym, jakiego mogła użyć w mojej obecności.

Poczerwieniała.

- To nie tak, Hellen - zaprzeczyła, potrząsając głową.

- Nie tak? To właściwie jak? - postanowiłam nie ułatwiać jej

zadania, cokolwiek zamierzała powiedzieć.

- Robert, to znaczy twój mąż - poprawiła się - tak to ułożył. Godziłyśmy się, nie znajdując innego wyjścia.

- Więc uważasz, że obie godziłyśmy się na taki układ?

- A nie? Przecież nie rozwiódłaś się ani ja nie poszukałam sobie innej pracy.

Rzeczywiście.

- Teraz będziesz musiała sobie poszukać - stwierdziłam, ku swemu zaskoczeniu, bez emocji.

- No właśnie...

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Bardzo dużo Hellen. Masz tyle samo z tym wspólnego, co ja. Podniosła głowę.

- Ty zostajesz przynajmniej z pieniędzmi, podczas gdy ja jestem na lodzie.

Wydawało mi się, że się przesłyszałam.

- Robert nie wynagradzał cię odpowiednio? - starałam się, by moje pytanie zabrzmiało tak uszczypliwie, jak to było możliwe.

- Wiesz dobrze, o czym mówię - nie dała się łatwo zbić z tropu. - Po odejściu z firmy, którą, jak słyszałam dzisiaj, masz zamiar zlikwidować, nie będzie mi łatwo znaleźć sobie nową pracę.

- Chciałaś powiedzieć, nowego Roberta?

- A jeśli nawet, to co w tym takiego złego?

- Domagasz się, jeśli dobrze rozumiem, specjalnej odprawy ode mnie?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Tak. Czegoś na początek. Przecież muszę coś ze sobą zrobić.

Potrzebuję niewielkiego choćby kapitału niezbędnego do rozpoczęcia nowego życia.

- Kapitału?

- Owszem. Można to tak chyba nazwać.

- Nie odłożyłaś nic przez te lata?

- Dobrze wiesz, ile Robert mi płacił.

- Widocznie uznał, że na więcej nie zasługujesz - nie mogłam oprzeć się kolejnej złośliwości.

Nic nie odpowiedziała.

- W związku z tym to ja mam cię cenić wyżej niż on?

- Muszę teraz pomyśleć o przyszłości - stwierdziła z rozbrajającą szczerością. Zaraz też szybko dodała, uprzedzając kolejne moje pytanie: - Do tej pory rzeczywiście nie zastanawiałam się nad nią. Myślałam, że jakoś to będzie. Że spotkam może kogoś albo usamodzielnię się jak Brenda i Roger. Prawdę powiedziawszy, nie miałam czasu o tym wszystkim myśleć.

-I teraz mam ci zapłacić odszkodowanie za straconą młodość? - wpadłam jej w słowo.

- Możesz to nazywać jak chcesz, ale ja naprawdę nie wiem, co ze sobą zrobić. Mam trzydzieści osiem lat, kawalerkę trzy ulice stąd i starego forda, który ledwo już jeździ.

- Na ile zatem wyceniasz swoją przyszłość?

- Nie wiem. Muszę przecież od czegoś zacząć. Bez pieniędzy nie usamodzielnię się.

- Nie? Zawsze wydawałaś mi się aż za nadto samodzielna.

- To nieprawda. Ale znam sporo ludzi z show-biznesu, więc może mogłabym założyć jakąś własną firmę.

- Na przykład jaką? - zapytałam, nie mówiąc jakie skojarzenie przyszło mi w związku z jej słowami na myśl.

- Mogłabym spróbować zostać czyjąś agentką...

- W takim razie zapytaj o pracę Henrygo - podsunęłam.

Strzał był celny.

Widziałam, jak się spieszyła.

- To niemożliwe. Henry jest związany kontraktem z Robertem - odparła szybko. - To znaczy teraz z tobą.

- Nie zamierzam przejmować w spadku po moim mężu Henrygo Osmonda - poinformowałam ją. - Ale mogę przepisać kontrakt na ciebie.

- Naprawdę mogłabyś to zrobić?

Nie byłam wcale pewna, czy jest z tego powodu zachwycona.

- Dlaczegożby nie? Możemy spotkać się we trójkę i całą rzecz omówić. Nie znam, co prawda, szczegółowych postanowień kontraktu i nie jestem pewna, do jakiego stopnia wzajemne zobowiązania między Robertem i Henrym przechodzą na mnie, ale jeśli nawet nie, to tym lepiej dla ciebie.

Milczała.

Musiała to najwidoczniej jeszcze przemyśleć.

Moja oferta zaskoczyła ją.

- Jestem nawet gotowa odstąpić ci Mary Bedford - uśmiechnęłam się do siebie w duchu z satysfakcją.

- Mary?

- Tak, Mary.

- No nie wiem... Nie wiem, czy Mary by się na to zgodziła.

- Dlaczego?

- Nie sądzę, żeby Mary mnie lubiła.

- Tylko z tego powodu miałyby się nie zgodzić?

Geraldine cofnęła się tyłem do swojego sekretariatu, zostawiając niedomknięte drzwi.

Rozdział VI

1.

Do Porthpean dotarłam wieczorem, postanawiając od razu się położyć i zostawić zmartwienia na rano. Mijając wcześniej Plymouth zrobiłam sobie po drodze małą przerwę na zatankowanie i umycie auta oraz przekazanie czegoś przy tej okazji. Uwaga skoncentrowana na prowadzeniu samochodu zmusiła mnie do poniechania myśli o najbliższej przyszłości. W końcu, zmęczona długą jazdą, zamknęłam wóz w garażu i z przyjemnością zanurzyłam się w wannie. Potem zrobiłam sobie kanapkę na kolację i wreszcie znalazłam się w łóżku.

Sen nadszedł tym razem prawie natychmiast.

Na drugi dzień wstałam dopiero, gdy słońce było już wysoko. Owa ocena pory dnia na podstawie wysokości słońca rozbawiła mnie, dając do myślenia. Czyżbym rzeczywiście była tu u siebie, jeśli zaczynałam przyjmować zwyczaje panujące na wsi?

Musiało być około południa, gdy usłyszałam na podjeździe przed domem zatrzymujący się samochód.

Podeszłam do okna i zobaczyłam wysiadających inspektora Travaisa i sierżanta Tallowa.

Zesłałam otworzyć im drzwi.

Po przywitaniu zaprosiłam obu do salonu.

- Jak udała się wyprawa do Londynu? - zapytał inspektor.

Opowiedziałam, czego dowiedziałam się w kancelarii Croft & Croft & Croft.

Obaj policjanci słuchali mnie uważnie, nie zadając żadnych dodatkowych pytań. Zwierzyłam się ze swoich ustaleń dotyczących braku dodatkowej kawy w gabinecie i wspomniałam o zniknięciu pogrzebacza. Wspomniałam również o rozmowie w drukarni.

Gdy wreszcie skończyłam, inspektor Travis milczał jeszcze przez dobrą chwilę, zanim przeszedł do celu swojej wizyty.

- Pani Plath - zaczął - obawiam się, że sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż początkowo nam się wydawało...

Przerwał, spoglądając na sierżanta Tallowa, jakby oczekiwał z jego strony potwierdzenia.

- Ponieważ złożyła mi pani tak szczegółową relację ze swoich poczynań, winien jestem pani niejaki wyjaśnienia.

Mówiąc to wyciągnął z kieszeni swój notes i zaczął go wertować.

- Zacznijmy od sprawy najprostszej; rzeczywiście zabrałem z domu pogrzebacz do analizy, gdyż i ja pomyślałem, że można było się nim posłużyć do wyłączenia prądu. Zrobił krótką pauzę.

- Istotnie, zabójca pani męża, jeśli to był rzeczywiście on, wykazał się w tym wypadku nie lada pomysłowością. Pogrzebacz zazwyczaj bowiem nosi na sobie ślady spalenizny i te, które musiały na nim powstać na skutek wywołanego zwarcia, zapewne nie zwróciłyby na siebie niczyjej uwagi. Tak, całkiem sprytnie pomyślane. Na pogrzebaczku znaleźliśmy odciski palców pani męża, waszego ogrodnika i prawdopodobnie pani. Dlatego...

Znowu przerwał.

- Dlatego pragnąłbym zaprosić panią na posterunek w St. Austell, w celu pobrania próbek pani linii papilarnych.

Rzucił w moją stronę, jak mi się wydawało, niepewne spojrzenie.

- Oczywiście - wyraziłam gotowość. - Mogę jechać z panami nawet natychmiast.

- To znakomicie.

Travis nie sprawiał jednak wrażenia, że mu się spieszy.

- Tak. To zatem mielibyśmy za sobą - powiedział do siebie.

Ponownie zajrzał do notesu.

- Pani obecność w ogrodzie, w chwili popełnienia zabójstwa, potwierdziła Moira Dalton - oznajmił ni stąd, ni zowąd.

- Doprawdy? - byłam zaskoczona jego stwierdzeniem i nie wiedziałam co powiedzieć.

- Owszem. Moira Dalton spotkała się tam z doktorem Timothy Hestonem.

- Bawili się w doktora?! - wyrwało mi się, lecz nie wiadomo dlaczego poczułam się dotknięta tym faktem.

Inspektor uśmiechnął się blado na dźwięk moich słów.

- Cóż, na to chyba wygląda.

- Ona sama panu to powiedziała? - nie mogłam uwierzyć.

- Gdy już wiedziałem, że to ona, nie pozostawało jej nic innego, jak tylko przyznać się. Ostatecznie to okoliczność dająca także jej alibi.

- Jak pan na to wpadł, że to doktor Heston był z Moirą wtedy w ogrodzie?

- Zapytałem panią Keaton...

W oczach inspektora pojawiły się złośliwe ogniki.

No proszę, jakie to było proste.

- Lotta Keaton nie robiła żadnych trudności?

- Początkowo robiła. Owszem.

- Udało się panu ją namówić do współpracy z policją? - zapytałam pełna podziwu dla Marka Trávisa.

- Hm... - wydawał się zażenowany wyznaniem, jakie miał za chwilę poczynić. - Policja przewiduje specjalny fundusz na działania operacyjne oparte o informacje uzyskane w drodze współpracy ze społeczeństwem...

- Pan ją przekupił!?! - zawołałam ze śmiechem.

Usłyszałam, jak sierżant Tallow chrząknął nieznacznie.

Inspektor Travis popatrzył na mnie ponuro, po czym westchnął, jakby chciał coś dodać, ale najwidoczniej w ostatniej

chwili zmienił zamiar.

- Tak? - podchwyciłam.

Zauważyłam, że jego policzki poczerwieniały.

- Naprawdę nie wiem, czy powinienem...

- Ależ tak! Powinien pan! - ponagliłam.

- Pani, zdaje się... - szukał właściwego słowa -...darzy, by tak rzec, zaufaniem doktora Hestona, prawda?

Zaskoczył mnie.

Spowaźniałam.

- No cóż... Mojra jest bardzo efektowną kobietą - starałam się nadać swojemu głosowi bagatelizujący ton.

- O tak. Pani Dalton to atrakcyjna kobieta, to prawda - przyznał. - Podobnie jak wiele jeszcze innych pań w okolicy.

Zamurowało mnie.

Kto by się spodziewał, że doktor Heston, ten bezbarwny okularnik, jest lokalnym Casanovą. A tak mu dobrze z tych mądrych okularów patrzyło, pomyślałam. Taki był uczynny i troskliwy.

Inspektor Travis dyskretnie odwrócił wzrok, dając mi czas na pogodzenie się z porażką.

Potem pojechaliśmy na posterunek.

- Rozmawiałem ze Scotland Yardem. Na razie zostawiają mi dochodzenie - poinformował, gdy siedzieliśmy już w aucie.

Wkrótce potem zajechaliśmy przed budynek policji w St. Austell.

Tu pobrano mi odciski palców, po czym sierżant Tallow odwiózł mnie z powrotem do Porthpean.

2.

Miałam przed sobą jeszcze cały dzień.

Zadzwoiłam ponownie do Glorii, ale znowu nikt nie odebrał telefonu. Widocznie obraziła się na dobre, by nie rzec na śmierć, za morderstwo w domu, dla którego pracowała.

Musiałam więc obiad przygotować sobie sama.

Obrałam ziemniaki na frytki i wyciągnęłam z lodówki steki,

żeby się rozmroziły. Potem zrobiłam sobie drinka.

Po niespełna godzinie usiadłam w kuchni i zabrałam się do jedzenia. Nie miałam ochoty nosić talerzy do pustej jadalni i z powrotem.

Pozmywałam naczynia, umyłam kuchenkę i wyszłam do ogrodu.

Mżył drobny deszczyk.

Wróciłam więc do domu i otworzyłam, chyba po raz pierwszy od tamtej nocy, gabinet Roberta.

Inspektor Travis radzi sobie nadspodziewanie dobrze, przyszło mi do głowy, gdy pomyślałam o pogrzebaczku. Z tą Keaton też nieźle dał sobie radę. Ciekawe, czego jeszcze się dowiedział. A swoją drogą to interesujący zbieg okoliczności, że Mary Bedford kupiła dom właśnie teraz. Domu nie kupuje się jak samochodu. Wymaga to czasu. Czyżby wiedziała, co ma nastąpić? Ale Mary podpisała przecież weksel...

I wtedy po raz kolejny doznałam olśnienia. Przecież każdy w Porthpean miał przed domem transformator! To potwierdzało moje wcześniejsze przypuszczenia, że nie mógł tego zrobić nikt z Londynu.

Postanowiłam zadzwonić do inspektora Trávisa.

*

Przyjechał wieczorem, sam, bez sierżanta Tallowa.

Usiadł bez słowa w fotelu, czekając na moje rewelacje.

Przytoczyłam mu, do czego udało mi się dojść, czyli opowiedziałam o nowym domu Mary Bedford i skrzynce transformatorowej.

- To wszystko? - zapytał z wyraźnym rozczarowaniem.

- Tak mi się wydaje - przyznałam ostrożnie.

Popatrzył na mnie przeciągle i już tym razem bez pytania wydobyl z kieszeni paczkę papierosów.

Zapalił, rozglądając się za popielniczką. Dostrzegł ją na kominku, wstał i przeniósł na stół przed sobą.

- Ustaliliśmy, że na pogrzebaczku istotnie znajdują się ślady nadpalenia mogące pochodzić jedynie ze zwarcia instalacji elektrycznej. I to jest dowód, chociaż na razie niewiele nam

wyjaśnia. Będę się upierał, że zanim nie dowiemy się jak, nie będziemy wiedzieli dlaczego. Wśród dwudziestu osób, związanych ze sobą przynajmniej stu tajemnicami, motyw nie jest taki istotny. Właściwie powinienem powiedzieć dwudziestu dwóch osób, bo jeszcze dochodzi do tego pani mąż oraz pani sama. Oczywiście wszystkie pani sugestie są nam nad wyraz przydatne, na przykład ta dotycząca jednej tylko filiżanki w gabinecie ofiary To bardzo spostrzegawcza dedukcja.

Strzepnął popiół do popielniczki i nieoczekiwanie uśmiechnął się.

Za oknami zapadał zmrok.

- Może przygotowuję kolację - zaofiarowałam się. - Na pewno jest pan głodny.

Po raz pierwszy w mojej obecności, ku mojemu zaskoczeniu, inspektor Travis zdjął płaszcz, bo już myślałam, że mam do czynienia z porucznikiem Columbo.

- Ma pan ochotę na jajecznicę? A może na jajka sadzone? Mogę też panu zrobić jajka po benedyktyńsku...

- Specjalizuje się pani w jajkach?

- Potrafię je też ugotować na miękko oraz na twardo.

- Boże! A potrafi pani zrobić omlet?

- Pewnie, że potrafię!

- Tak mówi każda kobieta zapytana, czy umie wyprasować spodnie - zauważył sceptycznie.

- Wiem. To samo powtarzał mi mój mąż.

-I co?

- Trzy dni temu zabito mojego męża.

Poszłam do kuchni zrobić omlet dla inspektora i siebie.

- Niektóre pani żarty mnie zdumiewają - zawołał za mną.

- Mnie też.

Potem zapadło na chwilę milczenie.

- Mam wrażenie, że dzielnie pani znosi śmierć męża - usłyszałam.

- Chce pan powiedzieć - zawołałam do niego z kuchni - że nie przejęłam się nią zbytnio?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodałam: - Nienawidziłam swojego męża. Czasem nawet rozważałam, czy go nie zabić...

Musiał biedaczyna być zszokowany.

Podaliśmy omlet, krojąc go na dwie części.

- Ale to nie ja go zabiłam – dokończyłam.

Wtedy wreszcie odezwał się.

- Tyle tylko, że sprawa komplikuje nam się coraz bardziej.

Zrobił pauzę, gasząc niedopałek i sięgając po sól.

- Dwie godziny temu, o czym miałem zamiar poinformować panią jutro, znaleźliśmy zwłoki pani gosposi, Glorii...

Stłumiłam okrzyk.

- Tak. Ktoś przyłożył jej czymś tępokrawędzistym w kark, jak to określił koroner, a potem dla pewności poprawił i jeszcze raz poprawił, ale nadal nie był pewny, więc jeszcze raz i jeszcze, aż chrupnęło i z ust pociekła krew...

3.

Boże! Zamordowano Glorię! To dlatego nie przychodziła do pracy.

Biedna Gloria!

- To straszne - wyjąkałam.

- Owszem. To straszne - potwierdził inspektor.

- Ale dlaczego?

- Prawdopodobnie widziała, kto majstrował przy transformatorze.

- Próbowwała go szantażować?

- Nie musiała. Wystarczyło, że on ją również widział.

Rzeczywiście. Gloria wyszła z przyjęcia po zakończeniu swoich zajęć. Paliło się jeszcze wtedy światło. Przynajmniej tak sądziłam. Nie wiedziałam kiedy Gloria skończyła pracę.

Powiedziałam o tym inspektorowi.

- Już to sprawdziłem pytając w firmie cateringowej - stwierdził. - Hostessy zeznały, że zaraz po wyjściu Glorii w całym domu zgasło światło.

- No to sprawa jest jasna - wyrwało mi się głupio.

- Proszę wybaczyć, ale pani poczucie humoru zbija mnie z tropu - otrzymałam reprimendę.

Spuściłam oczy zawstydzona.

- Jak twierdzi koroner, zgon Glorii musiał nastąpić w sobotę
- mówił tymczasem inspektor. - W sobotę natomiast wszyscy
byli jeszcze na miejscu.

- No to mam alibi - zauważyłam.

- Tak, ma pani alibi. Brenda Blake potwierdziła, że nie
wychodziła pani tego dnia z domu. Tymczasem Glorię
znaleziono na plaży. Ślady pozostawione przez mordercę
wskazują przy tym, że tam właśnie dokonał swojej zbrodni.

Niesłychane, jaki ten Travis był szybki. W ciągu dwóch
godzin zdołał sprawdzić moje alibi i jeszcze przesłuchać
obsługę z firmy cateringowej.

Popatrzyłam na niego z uznaniem.

- Nasz sprytny zabójca nie przewidział tego, że gdy pobiegnie
do transformatora, natknie się po drodze na kończącą pracę
Glorię.

- Dlaczego nie zabił jej od razu?

- Prawdopodobnie zabrakło mu czasu. Poza tym, gdyby ude-
rzył Glorię pogrzebaczem, zostawiłby na nim ślady krwi.
Pogrzebacz był dla niego ważniejszy niż nieprzeczuwająca
jeszcze wtedy niczego Gloria. Ta stawała się niebezpieczna
dopiero po skojarzeniu tego, co widziała w nocy, z informacją o
zabójstwie pani męża. Taka przewaga w czasie w zupełności
wystarczyła mordercy.

Wzdrygnęłam się.

Zastanawiałam się, kto wychodził z domu tego dnia.

- Pewnie teraz próbuje sobie pani przypomnieć, kto opusz-
czał dom w sobotę - inspektor Travis jak zwykle zdawał się
czytać w moich myślach. - Odpowiem pani, bo to też już
sprawdziłem. Najpierw Henry Osmond, Roger Cavendish i
Geraldine Osborn wybrali się na spacer. Potem Sara Rawlins
wraz z Mary Bedford wyjechały do St. Austell. Ustaliłem, że ci
pierwsi rozdzielili się po dotarciu do Duporth. Natomiast Sara
Rawlins i Mary Bedford spędziły cały dzień razem.

- Wszystko to sprawdził pan w ciągu dwóch godzin?

- To nie było takie trudne. Wystarczyło kilka razy zatelefono-
wać i porównać potem zeznania.

- Skąd jedno z tej trójki, która poszła do Duporth, mogło wiedzieć, gdzie mieszka Gloria?

- To nie musiał być nikt z tej trójki.

Inspektor skończył swój omlet i wytarł usta chusteczką.

- To właśnie przemawia w pewnym sensie na ich korzyść

- kontynuował. - Może ktoś z nich wiedział, gdzie mieszka Gloria, a może nie. Szkoda pytać. Zabójca przecież się i tak nie przyzna.

- Musiałby jeszcze przy tym wiedzieć, o której godzinie Gloria wyjdzie z domu - dodałam.

- No właśnie. Kto interesuje się trybem życia wiejskiej gospo-
si?

Pytanie było retoryczne. Wiadomo, nikt.

- Mógł do niej zadzwonić - podsunęłam.

- Oczywiście, ale nie był na tyle głupi, żeby pozostawiać ślad po rozmowie na billingu. Takie rzeczy można przecież łatwo ustalić przy dzisiejszej technice. Poza tym morderca musiałby najpierw kogoś zapytać o numer, a to już byłby niemal dowód przeciwko niemu.

- Może zapytał ją samą?

- Po co? Przecież jeszcze nie wiedział, że przyjdzie mu ją zabić.

- Gdy spotkał ją w ogrodzie, to już wiedział. Mógł wtedy ją poprosić o numer telefonu pod byle jakim pretekstem.

- Owszem mógł, ale gdyby to zrobił, zadzwoniłby i wtedy by-
śmy go mieli. Mówiłem już przecież.

Podałam się.

- Nie, spotkanie z gosposią nie stanowiło żadnego problemu

- Mark Travis ponownie sięgnął po papierosy. - Wystarczyło poczekać na nią przy jedynej drodze, jaką musiała pójść z Duporth do Porthpean. Jeśli zabójcą był ktoś z tej trójki, która przemierzała ową drogę w odwrotnym kierunku, miał pewność, że Gloria jeszcze nie przeszła.

- Tylko to nie musiał być nikt z nich?

- Właśnie. Mógł to być każdy z uczestników przyjęcia. Nie-
wykluczone przecież, że miejscowi goście orientowali się lepiej w zwyczajach gospo-
si niż ktoś przyjezdny. Pewnie nawet znali

jej adres.

- To dlaczego nikt nie zabił jej w domu?

- Dobre pytanie. To łatwiejsze niż wywabianie ofiary na plażę.

- Może przywiózł ją tam już martwą?

- Nie stwierdziliśmy śladów opon, które nawet mimo deszczu i wiatru oraz upływu czasu powinny się zachować przynajmniej w stanie szczątkowym. Nikt zresztą nie odważyłby się wjechać autem na grząski piasek. Ślady, jak już wspomniałem, wskazują na plażę jako miejsce zbrodni.

- Jakie ślady?

- Zryty piasek, skoro już tak bardzo chce pani wiedzieć. Gloria kopała w śmiertelnych konwulsjach, gdyż nie umarła od razu. Pierwsze uderzenie prawdopodobnie ją tylko nieznacznie ogłuszyło. Jak twierdzi koroner, zabójca mógł użyć do niego czegoś w rodzaju konaru czy gałęzi, sztachety z płotu lub pałki. Nie znamy jeszcze wyników sekcji zwłok. Może posłużono się czymś, co było pod ręką, a może przyniesiono to już ze sobą, coś, co nie wzbudziło podejrzeń Glorii.

- To straszne - powtórzyłam, próbując sobie wyobrazić tę scenę. - Nie pozostawił żadnych śladów butów na piasku? - chciałam się upewnić.

- Oczywiście. Pozostawił. Ale je zatarł, a reszty dokonały za niego deszcz i wiatr.

Inspektor Travis dopalił papierosa.

- Nadal więc błądzimy po omacku? - zacytowałam Herkulesa Poirota.

- Ma pani na myśli małe, szare komórki?

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

- Traktuje pani tę sprawę naprawdę lekko.

- To nie znaczy, że ją lekceważę - zaprotestowałam.

- Pocieszyła mnie pani. To dobrze, bo sprawa jest naprawdę poważna. Takie sprawy nie zdarzają się u nas zbyt często.

- Jak więc udało się panu awansować? - palnęłam.

Chyba zrozumiał mnie dobrze, zdradziła to czerwień jego policzków.

- Wie pani, czasem na spokojnej wodzie, gdzieś tuż przy brze-

gu, najłatwiej o szczupaka. Każdy wędkarz to pani powie.

- Jest pan wędkarzem?

- Owszem. Bywa, że w wolnych chwilach sięgam po wędkę.

- Złowił pan już jakąś wielką rybę?

- Różnie bywało. Może największą złowię dopiero teraz?

- Doprawdy?

- Tak. Zna pani opowieści o rabusiach wybrzeża?

- Rabusiach wybrzeża?

- Tak, wrackerach. Różnie ich zresztą nazywano. Grabili to, co morze wyrzuciło na brzeg po rozbiciu się statku.

- Coś już o tym słyszałam.

- Podobno nawet zapalali światła na łodzi w taki sposób, by udawały w nocy zabudowania wsi położonej nad zatoką.

- Wciągali statek w pułapkę?

- Oczywiście to tylko legendy.

- Ale? - podchwyciłam.

- Ale w każdej bajce podobno jest ziarno prawdy. To wybrzeże, jak każde, ma swoją tradycję.

- Niewątpliwie - starałam się mu pomóc.

- No więc zastanowiło mnie, dlaczego Derek Warwick, tak znany żeglarz, zgodził się akurat na propozycję nakręcenia programu przez pani męża, jeśli tylu innych producentów o to u niego zabiegało - powiedział nagle inspektor. - Sprawdziłem więc, dzwoniąc do Dereka Warwicka, kto jeszcze proponował mu nakręcenie programu o nim. Naturalnie był zaskoczony, ale udzielił mi informacji. Potem porównałem jego odpowiedź z mapą. Wyszło mi, że pani mąż był jedynym producentem pragnącym nakręcić program o Dereku Warwicku i jednocześnie mieszkającym nad morzem.

- To chyba normalne? Derek zaufał człowiekowi, który miał jakiś związek z morzem, choćby poprzez miejsce zamieszkania.

- Tak, to by się wydawało całkiem prawdopodobne i pewnie o to właśnie chodziło, żeby się takie wydawało. Tymczasem Derek Warwick już od dłuższego czasu pozostaje w centrum zainteresowania służby celnej.

Przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z Derekiem.

- Przecież on mieszka i tak w Plymouth - zawołałam. - To

człowiek morza i sam mieszka nad morzem. Co pan sugeruje?

- Nic. Niemniej w Plymouth mają go pod lupą. Tam najczęściej zresztą stacjonuje też jego jacht.

- Chce pan powiedzieć, że Derek Warwick jest przemytnikiem? I przemycił coś z moim mężem?

Roześmiałam się.

- Chyba posuwa się pan za daleko.

- Mam taką nadzieję - odparł niezrażony. - Pani mąż to tylko pretekst do obecności Dereka Warwicka w Porthpean.

- Skąd to przyszło panu w ogóle do głowy?

- Stąd, że jacht staje na granicy wód terytorialnych i wówczas podpływa do niego motorówka, która spokojnie przejmuje kontrabandę, po czym wyładowuje ją na plaży. Sposób stary jak świat. Kto będzie pilnował miejscowej motorówki, tymczasem jacht wychodzi z portu czysty, bo zabiera towar z innej motorówki gdzie indziej i wraca do portu również czysty. Kontrabandę można też zostawić na morzu wraz z boją; istnieje wiele wariantów takiego kanału przerzutowego.

- Teraz rozumiem, dlaczego Frederic Bolton zamierza nabyć własny jacht - zadrwiłam.

Travis strzepnął nerwowo palcami, jakby zamierzał odgonić muchę.

- Powiedziałem już, że nie są to tylko moje podejrzenia.

- Pamiętam, celnicy z Plymouth mają Dereka Warwicka na oku.

- Nie tylko oni.

- Kto jeszcze?

Nie uzyskałam jednak odpowiedzi.

O dobry Boże! Nagle zrozumiałam.

- Pani Keaton? Ona także ma Dereka na oku?

Znowu nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Proszę nie niedoceniać Lotty Keaton.

Spowaźniałam natychmiast.

Wstałam i podeszłam do barku nalać sobie drinka.

- Napije się pan także? - zaproponowałam.

- Nie. Dziękuję.

- Zatem sądzi pan, że wszystko odbywa się na plaży i ktoś z

gości przyjęcia macza w tym palce? - w moim głosie zapewne aż nadto dobrze słychać było niedowierzanie. - Przecież to pomysł rodem z Jamesa Bonda.

- Który jest wyszkolonym zabójcą - dopowiedział inspektor.

Przeniosłam się myślami na plażę.

- Ale morderca Glorii nie był przecież... - nie miałam pojęcia jak to nazwać, by inspektor ponownie nie posądził mnie o drwiny.

- Fachowcem? - dopowiedział.

- Właśnie.

- Niemniej był mordercą...

To ostatnie zdanie ścięło mnie z nóg. Świadomość uczestniczenia w jakiejś makabrze znowu do mnie dotarła.

Wtem przyszło mi coś do głowy.

- Dlaczego po prostu nie zastrzelił Glorii, tak jak zastrzelił Roberta?

- Bo nie miał z czego strzelać - usłyszałam odpowiedź. - Zabrałiśmy przecież z pani domu pistolet.

Opadłam bezwładnie na fotel.

- Nawiasem mówiąc, na tym pistolecie znaleźliśmy tylko pani odciski palców.

Inspektor Travis zawiesił głos.

Popatrzyłam na niego niczego nie rozumiejąc.

- Moje? - powtórzyłam za nim.

- Tak. Wyłącznie należące do pani.

- Ależ... - głos zamarł mi w gardle.

- To mimo wszystko są dowody.

- Mimo wszystko? - wyjąkałam.

- Tak. Bo jakoś nie wierzę, by właśnie pani mogła to zrobić.

- A zatem, co dalej? Aresztuje mnie pan?

Wstał.

- Obawiam się, że w obliczu zaistniałych okoliczności to mój obowiązek.

Siedziałam w fotelu, nadal nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Prokurator nie wybaczyłby mi, gdybym teraz pani nie zatrzymał. Powtarzam, nie wierzę w pani winę, ale zasady postępowania wymagają ode mnie przewiezienia teraz pani na

posterunek w St. Austell.

Nieoczekiwanie dla samej siebie nagle znowu roześmiałam się.

- Wypowie pan tę sakramentalną formułkę, że wszystko, co od tej pory powiem, może świadczyć przeciwko mnie?

- Zaraz wezwę tu sierżanta Tallowa, który podjedzie oznakowanym, policyjnym radiowozem z włączonymi niebieskimi sygnalizatorami. Wówczas właśnie wypowie przy nim tę śmieszącą panią, jak ją pani nazywa, formułkę. Potem sierżant Tallow założy pani kajdanki. Przykro mi.

- Przecież to nie ja zabiłam mojego męża!

- Mam nadzieję, że tak właśnie jest. Niemniej, nie mogę odstąpić od wykonania obowiązku.

Widziałam, że nie żartuje.

- A co z moim alibi?! - zawołałam.

- Mogła pani zastrzelić męża przed wyjściem do ogrodu lub tuż po powrocie z niego.

- Do tej pory pan tak nie uważał!

-I nadal tak nie myślę. Niemniej fakty przemawiają przeciwko pani.

- Jadł pan spokojnie omlet wiedząc, że za chwilę mnie arestuje?! - wybuchłam. - To świństwo!

- Nie większe od zastrzelenia własnego męża.

- Ale to nie ja zabiłam Roberta! - zawołałam raz jeszcze, tracąc resztki panowania nad sobą.

Nagle coś we mnie pękło.

- Mogę to udowodnić! - krzyknęłam.

- Zatem słucham.

- To nie ja zabiłam mojego męża! - powtórzyłam krzycząc.

- To nie ja. Nie zabiłam go... ponieważ...

Inspektor Travis położył mi uspokajającym gestem dłoń na ramieniu.

Podniosłam na niego oczy i nasze spojrzenia spotkały się.

- Ponieważ... - głos znowu nie chciał mi przejść przez gardło.
-Tak?

- Ponieważ... - prawie wyszeptałam - to ja go zabiłam...

Rozdział VII

1.

Mark Travis przyglądał mi się uważnie. Nie wydawał się zaskoczony. Spoglądał na mnie z góry, stojąc na środku salonu.

- W takim razie słucham, co ma pani do powiedzenia?

Boże miłosierny! Jeszcze pytał! Jak miałam mu opowiedzieć całe swoje życie?! W jaki sposób wytłumaczyć, co popchnęło mnie do zabicia Roberta. Musiałabym zacząć od zapachu naftaliny w domu rodziców, od sześćdziesięciowatowych żarówek, których światło wydobywało długie cienie z każdego kąta albo o cerowanych każdego dnia wieczorem pończochach. Może jednak powinnam zacząć od palącego wstydu, gdy Brenda lub Roger pytali mnie, co słyhać u Mary? Nie wiedziałam od czego tak naprawdę mogłabym zacząć. Nie wiedziałam nawet, kiedy to wszystko się zaczęło.

- Stwierdziła pani przed chwilą, że zabiła swojego męża. Jak właściwie mam to rozumieć?

Popatrzyłam na niego, próbując pojąć, o co mu chodzi.

Ach tak, miał na myśli to, co powiedziałam.

Sądził, że zastrzeliłam Roberta. Ale to przecież nie była prawda.

- Nie zastrzeliłam mojego męża - usłyszałam swój głos. - Nie musiałam tego robić...

-Bo?

-Bo wcześniej... Bo wcześniej... Dodałam mu trucizny do kawy...

Nie odezwał się.

Stał w milczeniu, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Jakiej trucizny? - zapytał wreszcie.

- Morfiny.

Pokiwał głową, przyjmując to do wiadomości.

- Skąd pani wzięła morfinę?

- Nie pamiętam. Ktoś kiedyś przyniósł i zapomniał zabrać z

powrotem - odpowiedziałam machinalnie.

- Kiedy to było?

- Nie wiem.

- Gdzie ją pani przechowywała?

- W apteczce, w łazience.

Wydawało mi się, że westchnął z rezygnacją.

- Tak po prostu wlała ją pani prosto z ampułki do filiżanki?

Przytaknęłam ruchem głowy.

- Liczyła pani, że nikt nie zauważy?

- I nikt nie zauważył – potwierdziłam.

- To prawda. Nikt nie zwrócił uwagi na żonę podającą mężowi kawę.

- Każdy mógł przecież dodać coś do filiżanki. Wystarczyło podejść i to zrobić. Czy musimy o tym mówić?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli pani nie chce, nie musimy. Ale lepiej będzie dla pani, gdy opowie mi wszystko teraz.

Rzuciłam mu pytające spojrzenie.

- Jak nie ja, to zada pani te same pytania prokurator - wyjaśnił. - Wtedy rzeczywiście każde słowo będzie mogło zostać użyte przeciwko pani.

- Jakie to ma znaczenie - prychnęłam. - Przecież i tak się przyznałam.

- Proszę mi zaufać. Jego cichy głos zabrzmiał miękko i spokojnie.

- Zostanę skazana za usiłowanie zabójstwa, ale nie za morderstwo! Swoim przyznaniem się do dodania trucizny udowodniłam, że to nie ja zastrzeliłam męża!

- Kiedy ją pani dodała? Przed, czy po zgaśnięciu światła?

- Przed.

- Jest pani pewna?

- Po co miałabym kłamać?

- Ile ampulek morfiny było w tej apteczce? - zadał mi kolejne pytanie.

Zastanowiłam się.

- Nie wiem, może kilka. Nie liczyłam. Czy to ważne?

Nagle przyszło mi coś do głowy.

- Skąd pan w ogóle wie, że to były ampulki?

- Morfina zazwyczaj bywa w ampulkach - odparł.

Pragnęłam, żeby sobie w końcu poszedł. Powiedziałam mu już wszystko. Ale to się przecież nie mogło tak skończyć. Wiedziałam, że nie pójdzie. Tak czy owak musiałam przez to przebrnąć. Modliłam się tylko, żeby to trwało jak najkrócej.

- Czy zostanie aresztowana?

- Cóż... - zawahał się - nie będę pani okłamywał. To będzie zależało właśnie od tego, co jeszcze mi pani powie.

- Nie wierzy mi pan, że to nie ja zastrzeliłam mojego męża?

- Wierzę - uspokoił mnie. - Wierzę też, że to nie pani zatłukła Glorię. I także nie pani biegła z pogrzebaczem po ogrodzie.

- To czego pan jeszcze chce ode mnie?!

- Chcę, żeby pani sobie przypomniała, ile ampulek morfiny było w apteczce.

- Mówiłam już, nie pamiętam! Jakie to zresztą ma znaczenie?!

- Jeśli pytam, to znaczy, że to jest ważne.

Wreszcie do mnie dotarło.

- Pan wiedział o tej morfinie już wcześniej! Musiał pan wiedzieć! Przecież sekcja zwłok mojego męża wykazała na pewno jej obecność w jego... w jego ciele. Zastawił pan na mnie pułapkę!

- wybuchłam ponownie. - Pewnie już pan zdążył dobrze policzyć, ile ampulek zostało w apteczce. I niczego by pan nie udowodnił, nie mając pojęcia, kto zatrul kawę Roberta, dlatego oskarżył mnie pan o jego zastrzelenie, mając świadomość, że nie zrobiłam tego! Taki mały eksperyment śledczy, prawda? Posunął się pan do prowokacji! A może sama się przyzna i będzie po kłopotcie?!

Mark Travis, słysząc to, uśmiechnął się smutno.

- Ma pani rację. Wiem nawet ile morfiny dodała pani do kawy męża.

- Więc w czym rzecz?!

- Rzecz w tym, żeby mi pani odpowiedziała wreszcie, ile było tych ampulek w apteczce.

- Po co to panu!?

- Bo ktoś spowodował spięcie w instalacji i ktoś odpalił przedwcześnie race.

- I co z tego?!

- Bardzo dużo, proszę pani. Ktoś i to zapewne nie ta sama osoba, próbował dwa razy odwrócić uwagę wszystkich od własnych poczynań - stwierdził sucho.

Mark Travis wyjął z paczki następnego papierosa.

Obracał go w palcach, patrząc na mnie z wyrzutem.

- Mogę zrozumieć - podjął - że ktoś dokonał zwarcia, by przyspieszyć waszą zabawę w ogrodzie i w jej trakcie zastrzelić pani męża. Ale po co odpalał race?

- Przecież pan wie, że ognie sztuczne wybuchły przez przypadek. Roger Cavendish zaczął niechcący o linkę zwalniającą mechanizm spustowy, czy jak to się tam nazywa. Sam przyznał. Wszyscy słyszeli. Jaki to ma związek z ampułkami?

- Taki sam, jak liczba posiadanych przez panią nabozi z ilością oddanych strzałów - pośpieszył z odpowiedzią.

- To też pan sprawdził?

- Owszem.

- W jaki sposób?

- Odszukałem rachunek wystawiony pani mężowi przez sklep z bronią podczas zakupu. Założyłem, że do pistoletu zostały też nabyte naboje.

- Gdzie go pan znalazł? Ja sama nawet nie wiem, czy mąż przechowywał go tu, czy w Londynie. Byłam zdumiona operatywnością inspektora Trávisa.

- Natrafiłem na niego w sklepie, który sprzedawał broń. Do sklepu trafiłem z kolei po numerze seryjnym pani pistoletu. Nie było to takie trudne.

Zaniemówiłam.

- Twierdzi pan więc, że liczba nabozi się zgadzała?

- Dokładnie, co do jednego, tego wystrzelonego do pani męża.

- Skąd pewność, że nie strzelałam wcześniej? Choćby dla nauczania, jak to się robi?

- Oczywiście nie mogłem mieć pewności - przyznał - ale wyniki dokładnej ekspertyzy stanu lufy oraz pozostałych

elementów ciernych broni podsunęły mi takie przypuszczenie. Z tej broni nikt nigdy przedtem nie strzelał. Naturalnie, broń bywa, jak to się mówi, fabrycznie przestrzeliwana przed skierowaniem jej do sprzedaży, lecz nie dotyczy to tanich pistoletów małokalibrowych, przeznaczonych, ze względu na niewielki stosunkowo zasięg skutecznego strzału, do użytku na bliską odległość. A poza tym... gdyby pani ćwiczyła strzelanie, ktoś, nawet na tym pustkowiu, wiedziałby o tym.

- Lotta Keaton?

- Na przykład ona.

- Ale co to ma wspólnego z ampułkami? - nadal nie mogłam zrozumieć.

- Na razie nie ma nic wspólnego, ale może mieć, zupełnie jak jacht Dereka Warwicka z przemytem.

- Tylko że ja naprawdę nie wiem, ile ich było!

- Powiedziała pani, że może kilka - przypomniał. - Natomiast z dokonanej sekcji zwłok wynika, że wlała pani do kawy co najmniej z pięć ampułek. Tymczasem podczas przeszukania pani łazienki natrafiłem tylko na dwie - upierał się. Natomiast w koszu na śmieci aż na dziesięć pustych fiolek, podczas gdy opakowanie powinno zawierać ich dwanaście. Nawet gdyby była pani morfinistką, nie zużyłaby pani dziesięciu fiolek w tak krótkim czasie, by nie opróżnić kosza.

- To co z tego? Może wszyscy zażywaliśmy morfinę podczas przyjęcia?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Może nic - przyznał.

Zapalił w końcu papierosa.

- Może nic - powtórzył. - Tyle jedynie, że ktoś posłużył się pani pistoletem i nie wiem zupełnie, w jaki sposób tego dokonał.

- To proste - oznajmiłam. - Poszedł do mojej sypialni, wyciągnął pistolet z szuflady, zszedł na dół, oddał strzał, po czym wrócił na górę i odłożył broń na swoje miejsce. Wszystko to rzecz jasna w rękawiczkach. Było ciemno, więc nikt go nie widział.

Gdy skończyłam, inspektor Travis popatrzył na mnie z dziw-

nym wyrazem twarzy.

- Z tego, co pani powiedziała przed chwilą, udało mi się potwierdzić jedynie to, że nikt go nie widział - zauważył grobowym głosem.

- Przecież to jasne, było ciemno.

Ugryzłam się w język.

- Zdaje się, że zabawa światłem nadal panią fascynuje - przypomniał mi wcześniejszy niechciany lapsus. - Podziwiam panią, że chce się pani jeszcze żartować, gdy nadal grozi pani zatrzymanie pod zarzutem zabójstwa męża.

- Dla Sartrea pogodny nastrój był jakością moralną. Nie wytrzymałam, by nie pochwalić się swoją erudycją (znowu muszę ci podziękować Robercie za zmuszanie mnie do zgłębiania książek, których nie rozumiałam).

- No dobrze - inspektor przerwał mi na wszelki wypadek, gdybym знаła jeszcze więcej Francuzów. - To nie dlatego nikt go nie widział, że było na to za ciemno, lecz z tego powodu, że hostessy z firmy cateringowej ani na chwilę nie opuszczały holu i zeznały zgodnie, że nikt oprócz pani i Laury Gordon nie wchodził na piętro ani też z niego nie schodził, wówczas zaś pistolet znajdował się jeszcze na swoim miejscu. Gdyby ktoś po paniach próbował wejść na górę, zauważyłyby to nawet mimo braku światła. Ich zeznanie dotyczy praktycznie całego wieczoru, a więc także czasu, gdy jeszcze był prąd i jest to relacja jak najbardziej wiarygodna, bo potwierdzona przez kilka osób, których zadaniem było nieodcho- dzenie od stołów w holu.

- Skąd pan wie, że pistolet był jeszcze wtedy na miejscu?

- Powiedziała mi to Laura Gordon.

- I co to ma wspólnego z ampułkami? - nadal nie byłam w stanie pojąć.

- Może nic - inspektor pospieszył z wyjaśnieniem - ale jeśli ktoś tak sprytnie to wymyślił, że zastrzelił pani męża z pani własnego pistoletu nawet po niego nie sięgając, to równie dobrze ktoś inny mógł w tym czasie spróbować zrealizować swój własny plan.

- Jaki plan?

- Nie wiem - przyznał. - Ale morfina jest tym samym, co pistolet. Rozumie pani? - popatrzył na mnie, pragnąc się upewnić, czy wreszcie pojęłam o co mu chodzi.

- Trucizna, broń palna, nóż, siekiera i co tam jeszcze, są to potencjalne narzędzia zbrodni - ciągnął. - Jeśli ktoś zadał sobie trud oszukania nas z tym pistoletem, dokonując jednocześnie spięcia instalacji elektrycznej, to per analogiam muszę rozważyć, czy przedwczesne i niespodziewane odpalenie rac nie miało związku z innym narzędziem zbrodni, morfiną.

Czułam się zmęczona jego zawiłymi wywodami.

- Nie przesadza pan? Przecież to ja skorzystałam z morfiny. Po co komplikować to wszystko. Użyłam trucizny, więc jestem niewinna. Natomiast Derek Warwick nie jest na pewno przemytnikiem. Dlaczego pan zawsze dzieli włos na czworo?

- To niezupełnie tak...

- Wiem, grozi mi wyrok za usiłowanie popełnienia zabójstwa.

- Nieprawda. Grozi pani wyrok za popełnienie zabójstwa i jest pani od niego właśnie o wspomniany przez nią włos - oznajmił z powagą.

- Jakim cudem?

- Widzi pani, gdy oddano strzał do pani męża, ciśnienie tętnicze w ciele ofiary zdążyło wcześniej ustać. To wyjaśnia, dlaczego krwawienie z rany na skroni było tak znikome. Pani mąż nie żył już w tym momencie, otruty morfiną...

2.

-I co teraz?

Inspektor Travis nie odpowiedział od razu na to, zdawałoby się oczywiste pytanie.

Zgasił papierosa i przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

Bardziej przypominał maturzystę niż policjanta. Nie wiem, z jakiego powodu, ale na studenta nie wyglądał.

- Teraz mamy problem - powiedział w końcu.

- Problem to zdaje się ja mam - zauważyłam.

- Owszem, a ja mam problem z panią.

- Jaki? Przecież złapał pan mnie już?

- Jeśli teraz panią aresztuję za otrucie męża, to ten, kto strzelał do niego i najprawdopodobniej zabił też Glorię, odetchnie. Z powrotem nabierze pewności siebie, której w tej chwili nie ma i będzie o wiele trudniej go wykryć.

- Pozbywając się świadka nie zapewnił sobie spokoju?

- Nie, ponieważ wie, że nadal trwa dochodzenie w sprawie zabójstwa pani męża i obawia się, czy nie popełnił jakiegoś dodatkowego błędu zabijając Glorię. Nie śpi po nocach i stale o tym myśli. Powoli traci pewność siebie i całkiem możliwe, że zechce wykonać jakiś ruch, który go zdradzi.

- Dodatkowego błędu? Zatem strzelając do mojego męża popełnił już jakiś błąd?

- Tego właśnie nie wie. Został przyłapany przez Glorię w ogrodzie. Nie znaczy to, mówiłem już, że Gloria zobaczyła cokolwiek podejrzanego, poza samym sprawcą. Nie musiała sobie zdawać sprawy, jakie to ma znaczenie. Niemniej mogła nazajutrz, dowiedziawszy się, co się stało, skojarzyć jego osobę. Teraz na przykład nie jest pewny, czy nikt go nie widział, gdy ją zabijał. Wymyślił o wiele bardziej skomplikowany sposób pozbycia się pani męża niż pani, a im bardziej zawile są, że się tak wyrażę, ścieżki jego myśli, tym więcej pozostawia nam informacji o sobie. Nie jest prawdopodobnie, wbrew temu, co sądzi na własny temat, geniuszem zbrodni, jakimś tam Moriartym, czy innym wcieleniem zła. Daleko mu do prostoty pani pomysłu.

- Czy to ma być komplement?

Zerknął tylko na mnie ponuro i sięgnął po następnego papierosa.

- Gdyby nie pański podstęp, nic by mi pan nie udowodnił. A co będzie, jeśli się wyprę?

Wzruszył ramionami.

- No właśnie... Niemniej, bardzo łatwo było powiązać morfinę w ciele pani męża z ampułkami w łazience.

-I co z tego? Każdy przecież mógł jej użyć.

- I dlatego ciągle panią pytam, ile było tych ampułek!

- A ja ciągle panu odpowiadam, że to nie ma najmniejszego znaczenia, skoro już pan wie, kto jest zabójcą.

Podniósł błagalnie ręce.

- Dwa razy próbowano odwrócić uwagę wszystkich - wrócił do swojego ulubionego tematu - podczas gdy pani nie musiała odwracać niczyjej uwagi. Nie wierzę, aby w domu, w którym popełniono morderstwo i działy się tak dziwne rzeczy jak zgaśnięcie światła i przedwczesny wybuch sztucznych ogni, to ostatnie było przypadkiem.

Westchnął.

- Być może inny policjant na moim miejscu zakułby teraz panią w kajdanki i zadowolony z dobrze wykonanego obowiązku wróciłby do domu. Potem zająłby się zabójstwem Glorii. Ale wbrew pozorom, nie wywiązałby się należycie z nałożonych na siebie zadań, bo w sądzie, za radą adwokata, wyparłaby się pani wszystko i mielibyśmy proces poszlakowy.

Poprawił krawat.

- Poza pani przyznaniem się nie mam żadnego dowodu przeciwko niej. I to jest dodatkowy problem.

- A więc nie aresztuje mnie pan, mimo że przyznałam się do otrucia męża i w dodatku na pistolecie, z którego do niego strzelano, będącego zresztą moją własnością, widnieją jedynie moje odciski palców?

Popatrzyłam na niego z nadzieją.

- Myślę, że ktoś bardzo by tego chciał - stwierdził.

-Kto?

- Nie mam w tej chwili najmniejszego pojęcia - przyznał niechętnie.

- Obawiam się, że nie będę w stanie dostarczyć panu więcej dowodów przeciwko samej sobie - ostrzegłam z udanym ubolewaniem.

- Widzę, że nadal trzymają się pani żarty.

- Przepraszam. To tylko wisielczy humor.

Inspektor Travis na pewno nie miał ze mną łatwego zadania.

- Wystygł pani omlet - zauważył.

Rzeczywiście, nawet nie zaczęłam omletu!

- Pan pozwoli... - zabrałam się do jedzenia.

- Tę morfinę dostarczył pani doktor Heston, prawda?
Kawałek omletu, który miałam w ustach, stanął mi w gardle.
Zacęłam się krztusić.

Inspektor Travis musiał mnie parę razy uderzyć w plecy, zanim udało mi się przełknąć feralny kawałek jajka udającego ciasto i po dłuższej chwili dojść do siebie.

- Doktor Heston? - powtórzyłam łapiąc oddech i pragnąc jednocześnie zyskać na czasie.

- Owszem.

- Skąd takie przypuszczenie? - nie dawałam za wygraną.

- Związek lekarza z morfiną wydaje się oczywisty, czyż nie? Poza tym tak starannie omijała pani temat morfiny, że tylko upewniło mnie to w podejrzeniu, że doskonale pani wie, kto, kiedy i ile tej morfiny przyniósł. Gdy przycisnę naszego dobrodusznego doktora Hestona, przyzna się do wszystkiego i nawet nie spróbuje pani chronić, w przeciwieństwie do pani, która tak szlachetnie go broniła. Doktor Heston od dawna nadużywa sympatii swoich pacjentek i nie będzie miał też najmniejszych skrupułów, by przyznać się do kombinacji z morfiną, pod warunkiem, że nie straci prawa wykonywania zawodu.

Kolejne uderzenia były już tylko jeszcze mocniejsze, jeszcze celniejsze i bardziej bolesne.

- Kochanką doktora Hestona była nie tylko Moira Dalton, ale także Ester Bolton. Próbował nawet z Betty Donovan, ale mu nie wyszło, bo Betty o wiele wcześniej, by tak się wyrazić, zainwestowała uczucia w tego dziennikarza pani męża, Grahama Newmana.

- Jezu! - szepnęłam. - I wszystko to od Lotty Keaton?

Uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna.

- Prawdziwa skarbonka, nieprawdaż?

- Może to sobie tylko wymyśla? - miałam jeszcze nadzieję.

- Nawet jeśli wymyśla, to całkiem nieźle z tych pomysłów żyje...

- Że tej jej nikt jeszcze nie zabił... - wyrwało mi się.

- Całkiem trafne spostrzeżenie - przyznał. - Skoro zaś nie zabił jej, to też nie zabił pani męża - dodał. - Więc jak?

Zrozumiałam, że znowu mnie pyta o te ampułki.

- No dobrze - przyznałam - morfiny dostarczył mi doktor Heston.

- Po co?

- Dla jednego z moich znajomych w Londynie.

- Dlaczego mu jej pani nie przekazała?

- Bo nie przyjechał do Porthpean po odbiór.

- Ile jej było?

- Całe opakowanie.

- To znaczy dwanaście ampulek?

- Tak. Dwanaście - potwierdziłam.

- Zakładając, że użyła pani, zdaniem koronera pięciu, najwyżej sześciu, gdyż mąż pani zdażył zjeść kolację, to tyle samo, mniej więcej, powinno zostać w opakowaniu. Tymczasem, jak już mówiłem, znalazłem tylko dwie ampułki...

- Nie wiem, co stało się z resztą - uprzedziłam jego pytanie.

- To albo dobrze o pani świadczy, albo źle.

Inspektor zgasił papierosa.

Postanowiłam podjąć następną próbę dojedzenia swojego omleta.

- Widzę, że jest pani w tym wszystkim nieco zagubiona - usłyszałam głos inspektora. - Proszę zatem wybaczyć mi to obcesowe pytanie, ale czy sięgając po truciznę dla męża odpieczętowała pani opakowanie?

Próbowałam sobie przypomnieć, co zrobiłam sięgając, jak to określił, po truciznę dla męża.

- Tak. Wydaje mi się, że tak - potwierdziłam po namyśle.

- Kto poza panią wiedział o morfinie w pani domu?

Sama chciałabym sobie umieć udzielić odpowiedzi na to pytanie.

- Nie wiem - odparłam zgodnie z prawdą.

- Tak myślałem.

- To znaczy wszyscy wiedzieli.

- Chodziła pani i informowała o tym wszem i wobec?!

- Nie, ale miałam na myśli to, że każdy miał dostęp do naszej łazienki i każdy mógł wiedzieć o przechowywanej w niej morfinie.

- Kiedy pojawiła się w niej morfina?

- Jakież dwa, może trzy miesiące temu.

-I do tego czasu wszyscy uczestnicy przysięgi przyjęcia korzystali z państwa łazienki?

- Właściwie wszyscy.

Inspektor Travis był tą wiadomością najwyraźniej niepokieszony.

- Widzi pani, muszę wziąć pod uwagę rzecz wręcz nieprawdopodobną, mianowicie to, że ktoś wpadł na taki sam pomysł jak pani. Dlatego też muszę się zastanowić, jeżeli istotnie tak było, skąd ów ktoś miał pewność, że po raz drugi jeszcze znajdzie morfinę w łazience, akurat tego wieczoru, kiedy wydalicie państwo przyjęcie.

Popatrzyłam na niego bezradnie.

- Jeśli planowałbym zabicie kogoś, zamierzając się posłużyć zastanym na przyszłym miejscu zbrodni narzędziem, najpierw musiałbym się upewnić, czy istotnie znajdę to narzędzie tam, gdzie się go spodziewam...

- I co dalej? - podchwyciłam bezmyślnie.

- Gdybym nie miał pewności, przyniosłbym narzędzie zbrodni ze sobą. Albo więc ktoś miał pewność, że zastanie morfinę na swoim miejscu, albo przyniósł ją ze sobą wiedząc, że i tak wszyscy poświadczą, że morfina była przechowywana w tym domu.

- Jakie z tego wypływają wnioski? Że Derek Warwick jest przemytnikiem morfiny? - znowu wyrwało mi się beznadziejnie.

Spojrzenie inspektora Travisa, które otrzymałam w odpowiedzi, zmiażdżyło resztki mojego dystansu do rzeczywistości.

- Podczas gdy pani się wygłupia, ja próbuję pracować - usłyszałam.

Wszystko to zaczynało mnie coraz mniej obchodzić. Przyznałam się do winy i byłam gotowa spędzić resztę życia w Dartmoor.

Zainteresowałam się ponownie swoim zimnym omletem. Jakimś przedziwnym sposobem skojarzył mi się z ciałem Roberta i o mało nie zwymiotowałam.

- Albo więc ktoś wiedział, dla kogo jest otrzymana przez panią od doktora Hestona morfina i że ten ktoś jej jeszcze nie odebrał, albo przyniósł ze sobą swoją własną - ciągnął jak w transie, zupełnie niezrażony.

- To jeśli przyniósł swoją własną, po co zabierał ampułki z opakowania? - znowu doznałam olśnienia, zdecydowawszy się w międzyczasie wyrzucić omlet.

- To jasne! - ekscytował się coraz bardziej inspektor. - Na wszelki wypadek! Znalazłby na miejscu, to dobrze, nie znalazł, też dobrze. I tak wszystko wskazywałoby na panią. Oszczędził w ten sposób kilka przyniesionych ze sobą ampulek, które być może zechce jeszcze sprzedać.

- Nie pomyślał o tym, że sekcja wykaże manko w apteczce?

Za późno ugryzłam się w język; gdyby inspektor mógł mnie w tym momencie zabić, pewnie uczyniłby to z przyjemnością.

- Też o tym myślałem - opanował się jednak. - Prawdopodobnie zabójca nie potraktował tego, jak je pani nazwała, manka, poważnie. Nie przywiązał należytej wagi do liczby ampulek w opakowaniu. Cóż właściwie mogło dla niego z tego wynikać? Jeśli otworzył pudełko z ampułkami po pani, stwierdził, że i tak brakuje w nim kilku i że to nie jego problem, co się z nimi stało. Jeżeli natomiast przed panią, a tego przecież się spodziewał, że zastanie opakowanie nierozpieczętowane, to tym bardziej było mu wszystko jedno. Nie mógł bowiem wiedzieć, że ktoś wpadł na ten sam pomysł, co on.

W końcu zrozumiałam to, co od dłuższego czasu mi sugerował.

- Czy to znaczy, że nie ja otrujęm mojego męża? - zapytałam nieśmiało.

Popatrzył na mnie jakby oglądał mnie po raz pierwszy.

„Ty głupia babo”, pewnie pomyślał sobie. „Mocujesz się ze swoim zimnym, ohydny omletem, podczas gdy ja walczę o twoje życie.”

- Nie wiem proszę pani - odpowiedział zamiast tego. - Wiem tylko, że znikła z pani domu morfina i że została użyta feralnego wieczoru. Wiem też, że ktoś strzelał do pani męża i że zabił, bo była to najprawdopodobniej ta sama osoba, Glorię...

3.

Potem podziękował mi za kolację i poszedł sobie.

Ot, tak zwyczajnie.

W dodatku zapomniał płaszcza, bo przyzwyczyił się, że zawsze go ma na sobie.

Najwyraźniej nie spełnił się jako policjant wobec własnego sumienia i dlatego nie zakuł mnie w kajdanki.

Zupełnie tak samo, jakby nie sprawdził się w roli kochanka i zamiast tego postanowił naprawić kontakt albo cieknący kran.

Wszyscy faceci byli tacy sami.

Już miałam nadzieję wystąpienia w roli Lukrecji Borgii, gdy w szczytowym momencie podzielił mój włos łonowy na czworo odkrywając, że jeszcze nie dorósł do dania mi satysfakcji.

Porzucił mnie w środku nocy w samotnym domu, niewinną.

Wyrzuciłam omlet i poszłam się położyć.

Leżąc już w łóżku rozważałam raz jeszcze usłyszane słowa. Wynikało z nich, że każdy pod moim bokiem robił, co chciał, nie zadając sobie trudu poinformowania mnie o tym. Nawet inspektor Travis wiedział więcej od mnie.

Wreszcie udało mi się zasnąć, wyobrażając sobie, że jestem na statku, który podąża w mrok nocy przez Morze Śródziemne do jakiejś ziemi obiecanej.

Po przebudzeniu nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Mój statek zatoczył do rana wielki krąg, odstawiając mnie z powrotem do Porthpean.

Nie miałam ochoty na śniadanie. Nie chciałam nawet kawy, która dopiero teraz zaczęła mi się kojarzyć z tym, co zrobiłam.

Szybko tylko doprowadziłam się do jako takiego porządku, a potem wsiadłam w auto i pojechałam przed siebie bez celu. Dzień był słoneczny, pogodny i jak na tę porę roku całkiem ciepły. Wtedy przypomniałam sobie o pozostawionym przez inspektora Travaisa płaszczu. Zawróciłam, by po kilku następnych minutach znaleźć się z powrotem przed domem.

Tu czekała mnie niespodzianka.

Otwierając pilotem bramę dostrzegłam zarys postaci niknącej za węgłem, od strony tylnego ogrodu. Podjechałam przed drzwi wejściowe zaciekawiona, kto mógł złożyć mi wizytę o tak wczesnej porze. Wysiadłam i otworzyłam kluczem drzwi. Wtedy przyszło mi do głowy, że to na pewno Ben Forester przyszedł po coś i na pewno jest w ogrodzie. Przeszłam przez salon, by go tam poszukać.

Nigdzie jednak nie dostrzegłam jego przygarbionej sylwetki.

Ben Forester, podobnie jak Gloria, miał klucze do domu i prawo korzystania z nich o każdej porze pod moją nieobecność. Dom zresztą zazwyczaj stał otwarty. Zamykałam go jedynie podczas dłuższych wyjazdów, co wiązało się zazwyczaj z podróżami do Londynu. Te z kolei zdarzały się rzadko, a nawet ostatnio coraz rzadziej. Sprawiało mi przyjemność, że mój dom czeka na mnie otwarty, gdy wracam z zakupów czy spaceru. Miała to być jeszcze jedna z zalet wsi angielskiej, niosąca swobodę wynikającą z zaufania do świata. Rano jednak wyjątkowo pozamykałam wszystko, nie wiedząc, kiedy wrócę. Zamierzałam jechać przed siebie tak długo, jak długo okazałoby się to konieczne. Może w końcu dotarłabym do Bristolu lub jeszcze dalej. Anonimowość obcych widoków, twarzy i związanych z tym doznań była mi widocznie w ten czwartkowy poranek bardzo potrzebna.

- Ben? - zawołałam wychodząc do ogrodu.

Nie doczekałam się jednak odpowiedzi.

- Ben! - powtórzyłam głośniejszym głosem.

Lecz i tym razem nikt się nie odezwał.

Doszłam do wniosku, że słuch staruszka szwankuje coraz bardziej. Weszłam w głąb ogrodu i rozejrzałam się. Gdy doszłam na koniec pod kępę krzewów agrestu i dzikich śliw, które zamykały trawnik od strony pól i gdzie najczęściej Ben ukrywał swoje narzędzia nie chcąc nosić ich z powrotem, wydało mi się, że usłyszałam cichy stukot zatrzasnkujących się weneckich okien w salonie. Obejrzałam się w tamtą stronę, lecz i tym razem nikogo nie dostrzegłam. Pomyślałam, że to mógł być tylko przeciąg.

Wróciłam zniechęcona do domu.

Ściągnęłam z oparcia fotela w salonie płaszcz inspektora i przerzucony przez rękę już miałam zamiar zanieść go do samochodu.

A jeśli to nie Ben, pomyślałam. Powinien grabić teraz liście albo drzemać na ławce, korzystając ze słońca.

Zajrzałam do kuchni.

Tutaj też go nie było.

Machinalnie podniosłam oczy na sufit.

Ale co mógłby robić na górze?

Doszłam do wniosku, że to musiał być Ben, gdyż ktoś inny usłyszałby samochód na podjeździe i przyszedłby się przywitać.

No właśnie.

Ale zamiast tego zniknął za rogiem.

Zatem chodziło z pewnością o Bena Forestera.

Bo jeżeli nie o niego, to o kogo?

Kto inny, obcy, mógłby się kręcić po moim domu bez mojej wiedzy, pod moją nieobecność?

Chwileczkę! Gdyby to był Ben, wówczas nie zastałabym drzwi zamkniętych na klucz! Po co Ben Forester miałby się zamykać od wewnątrz i udawać jeszcze bardziej głuchego niż był?

Ponownie podniosłam wzrok ku sufitowi.

Musiałam wiedzieć kto to jest!

Zbliżyłam się do schodów w holu.

Jak to powiedział inspektor? Ktoś zastrzelił mojego męża z mojej własnej broni nie sięgając nawet po nią? Bo tuż przed zgaśnięciem świateł pistolet jeszcze leżał na miejscu, co potwierdziła Laura Gordon, potem zaś już nikt poza mną i Laurą nie wchodził na piętro, co z kolei potwierdziły dziewczęta z agencji cateringowej.

Jakim cudem więc ów ktoś dostał się na górę?!

Zastygłam pod schodami w pół kroku.

Wydawało mi się, że usłyszałam jakiś ruch na górze. Ale to mogła być tylko moja wyobraźnia.

Co tam właściwie robił?

Nagle zdałam sobie sprawę, że być może znajduję się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli dowiem się, kto jest na górze, będę musiała umrzeć, tak samo jak Gloria.

Wybiegłam do samochodu i rzuciłam płaszcz inspektora na siedzenie obok kierowcy.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce uruchamiając silnik i ruszyłam ostro.

Nagle wpadłam na pomysł; zatrzymałam wóz za bramą i zaczęłam obserwować dom. Na wszelki wypadek nie wyłączyłam silnika.

Nie wiem, jak długo tak stałam. Wydawało mi się, że zobaczyłam nieznaczny ruch firanki w oknie sypialni wychodzącym na ulicę, ale mogło mi się tylko wydawać.

Może wszystko przewidziało mi się? I czyjaś postać niknąca za węglem, i trzaśnięcie drzwi do salonu, a zwłaszcza widok rozchylającej się firanki.

Zaczęłam rozważać to spokojnie. Gdybym miała do czynienia z niebezpiecznym mordercą, nie zdradziłby się odchyłając firankę, żeby sprawdzić czy odjechałam. To jasne. Przez firankę widział mój wóz zaparkowany na ulicy równie dobrze jak bez firanki. Jakim cudem jednak udało mu się wejść do środka, gdy dom był zamknięty?

Doznałam kolejnego olśnienia.

Sama mu otworzyłam, wychodząc do ogrodu!

Ależ ze mnie kompletna idiotka!

W dodatku zostawiałam teraz dom otwarty!

Jeżeli morderca w nim był, mógł bez przeszkód wydostać się właśnie przez ogród na otaczające dom pola.

Należało zamknąć za sobą drzwi, głupia! - zbeształam się w duchu. Zaraz jednak zreflektowałam się; przecież intruz i tak spokojnie opuściłby dom przez weneckie okna w salonie, które zamykały się i otwierały jedynie od wewnątrz.

Doszłam do wniosku, że dalsze trwanie na posterunku przed bramą wjazdową nie miało w tej sytuacji sensu.

Ruszyłam powoli, kierując się w stronę St. Austell.

Mijając dom Boltonów, dostrzegłam Frederika idącego wzdłuż żywopłotu.

Odwrócił się słysząc odgłos auta i poznawszy mnie, zatrzymał się, pozdrawiając machaniem ręki.

Stałam obok niego.

- Witaj Frederiku - przywitałam się przez opuszczoną szybę.
- Witaj Hellen... W jego głosie pojawiła się lekką nuta niezadowolenia (zupełnie jakbym przyłapała go na masturbacji zakrytej szybko kołdrą).

- Nie w pracy? - zapytałam.

- Ano nie - przyznał. - Czasem dobrze jest odpocząć - dodał szybko, jakby uznając, że należy mi się wyjaśnienie. - Zwłaszcza w taki dzień, jak dzisiaj.

- Ester pewnie jest zadowolona, że ma cię przy sobie...

- stwierdziłam, by cokolwiek powiedzieć.

Staralam się ukradkiem spojrzeć na jego buty, co nie było łatwe, gdyż jestem niewysoka i siedząc za kierownicą niewiele wystaję ponad dolną krawędź okna, Frederic natomiast podszedł na tyle blisko, że musiałabym się wychylić. Gdyby to bowiem Frederic był przed chwilą w mim ogrodzie, być może miałby teraz zabłocone buty, przyszło mi do głowy

- Tak... Z pewnością - odparł.

- Człowiek taki jak ty niewiele ma czasu, by nacieszyć się domem - kontynuowałam niezrażona jego brakiem zainteresowania rozmową.

- Cóż zrobić... Takie życie... Wykonał ruch jakby chciał się obrócić, dając mi tym samym do zrozumienia, że nie zamierza przedłużać sąsiedzkiej pogawędki.

Wówczas zobaczyłam jego zabrudzone błotem buty.

Czyżby odbył w nich spacer po polach? Ostatecznie mógł okrężną drogą wrócić przez nie z mojego ogrodu.

- Wybrałeś się do sklepu? - zapytałam z głupia frant widząc, że nie ma ze sobą zakupów. Szedł od strony plaży, nie zaś Duporth i miał mnie za plecami, gdy nadjechałam.

Pytanie było pozornie głupie, gdyż w Porthpean w okolicach plaży i mojego domu nie ma żadnych sklepów.

- Postanowiłem się przejść - wyjaśnił. - Jak tam postępy w sprawie śledztwa? - zapytał prędko, by pokryć, jak mi się wydawało, zmieszanie. - Czy już coś wiadomo?

- Nie wspomniałeś, że Robert zainwestował w twój nowy salon samochodowy... Postanowiłam zbyć jego pytanie milczeniem.

- Nawet nie pochwaliłeś się, że go mimo wszystko otworzyłeś. Zamiast tego - przypomniałam - narzekales, że Robert nie robi z tobą interesów.

- Ach, o to ci chodzi? Byłem pewny, że już wiesz. Rozgadałem się o polityce i nie takie interesy miałem na myśli.

Szybko go pożegnałam, gapiącego się za mną z otwartymi w zdumieniu ustami i pojechałam przed siebie.

Chciałam jak najszybciej oddać płaszcz inspektorowi Travisowi.

Dlaczego Frederic był taki speszony spotkawszy mnie na drodze? Czyżby z powodu zabloconych butów? Gdzie je zdołał tak załatwić, jeśli od plaży do jego domu biegł wygodny chodnik? Ten chodnik mijał także mój dom.

Chwileczkę! Skąd intruz wiedział, że mnie nie ma?

Nie znajdowałam innego wytłumaczenia jak to, że musiał obserwować dom.

O mało nie wjechałam do rowu z wrażenia.

Zwolniłam i odliczyłam do dziesięciu, by się uspokoić.

Potem znowu nacisnęłam pedał gazu.

*

Na posterunku w St. Austell nie zastałam jednak inspektora. Poinformowano mnie tylko, że wyjechał do Porthpean na spotkanie ze mną.

Ciekawe, że nie minęliśmy się po drodze, pomyślałam. Ale czego mógł chcieć ode mnie tak wcześnie, skoro opuścił mnie tak późno?

Prawda! Przypomniał sobie, że zapomniał płaszcza!

Porucznik Columbo bez płaszcza byłby przecież zaledwie porucznikiem, czyli facetem, któremu porucza się sprawy.

Już miałam wsiąść do auta, by udać się z powrotem do Porthpean, lecz nie mogłam się zdecydować, czy zostawić płaszcz na posterunku, czy też zabrać go ze sobą.

Wtedy nadjechał sierżant Tallow z rozkazem, by przysłać do Porthpean całą ekipę dochodzeniową.

- Myślę, że powinna pani także pojechać z nami - poinformował oficjalnie, zdecydowawszy się w końcu najwidoczniej na

rezygnację ze swobodnie formy ty na rzecz urzędowej pani.

- Czy coś się stało? - zapytałam tknięta złym przecuciem (ach ta kobieca intuicja).

- Owszem - odparł. - Ten dziennikarz, Graham Newman, został znaleziony martwy w pani domu, Hellen - sierżant Tallow odkrył formę pośrednią pomiędzy ty a panią.

Rozdział VIII

1.

Graham Newman siedział w fotelu, opierając się klatką piersiową o stolik przed sobą. Jego kark i potylicy wyglądały zapewne tak samo jak u Glorii, gdy znaleziono ją na plaży.

- Ale dlaczego Graham Newman? - zapytałam.

Inspektor Travis wziął ode mnie swój płaszcz i nic nie odpowiedział.

Za to ja miałam mu wiele do opowiedzenia. Jakim cudem, do diabła, Graham Newman dał się zamordować akurat w czasie, gdy jechałam z płaszczem inspektora do St. Austell i to w dodatku tuż przed zjawieniem się w moim domu inspektora z sierżantem?!

Travis słuchał z roztargnieniem moich sensacji, przypatrując się pracy ekipy techników dochodzeniowych, zdejmujących ze wsząd odciski palców i robiących zdjęcia miejsca zbrodni. Najwidoczniej czekał na raport koronera dokonującego w tym samym czasie wstępnych oględzin zwłok.

- Nic nowego - stwierdził po chwili ten ostatni. - Uszkodzenie tylnej części czaszkowej u podstawy oraz złamanie kręgów szyjnych. Jeśli to ten sam sprawca, to można powiedzieć, że nabiera wprawy. Zadał mniej uderzeń niż na plaży. Szczegółowe wyniki sekcji powinny być na jutro.

Pół godziny później Graham Newman został zapakowany w czarny plastikowy worek, po czym ułożony na wysokim wózku i następnie wywieziony do czekającego na zewnątrz karawanu.

Razem z nim przestał też istnieć „St. Austell Herald”.

Poszłam na górę do swojej sypialni uznając, że i tak nie będę w stanie w niczym pomóc.

Po chwili usłyszałam kroki na korytarzu i ciche pukanie do drzwi.

To był inspektor Travis.

- To przeze mnie zginęli ci biedacy - powiedziałam.

- Zamierza pani przyznać się tym razem do zabicia Glorii i tego dziennikarza?

- Miałam na myśli to, że gdybym zaraz się przyznała do otrucia mojego męża, tych dwoje by ocalało. Należało mnie wczoraj aresztować. Może przynajmniej Graham Newman żyłby teraz.

- Nonsens. Trucizna to jedna sprawa, a strzały do pani męża to druga kwestia. Już mówiłem, nie było powodu, aby informować o tym kogokolwiek i ułatwiać temu komuś życie. Jeśli więc już, to także moja wina.

- Ale dlaczego właśnie Graham Newman?

- Bo był jedyną osobą, że się tak wyrażę, z państwa kręgu, nie zaproszoną na przyjęcie. Możliwe, że kręcił się jednak tutaj tamtej nocy i zauważył to samo, co Gloria. Może nawet widział ją wychodzącą wtedy z państwa domu, nie wspominając już o tym, że wiedział też, kto zniszczył transformator. Początkowo mógł nie domyślać się niczego, ale gdy zabito Glorię, skojarzył wszystko ze sobą i wykonał swój ruch. Odkrył, że nadarzyła mu się nie byle jaka gratka.

- Dlaczego jednak w moim domu?

- Nie wiem. Prawdopodobnie Graham Newman czuł się tutaj bezpiecznie, planując spotkanie z mordercą. Niewykluczone, że to zabójca podsunął mu to miejsce. Graham Newman nie dałby się bowiem zwabić na plażę jak Gloria i nie zaprosiłby mordercy do swego domu.

- Dlaczego nie zaproponował spotkania na przykład w kawiarni?

- Bo tego z pewnością nie życzyłby sobie zabójca. Nie chciał, by widziano go z przyszłą ofiarą. Dlatego wskazał Newmanowi pani dom, sugerując pani obecność w trakcie spotkania. To mogła być wystarczająca, choć dość swoista rękojmia

bezpieczeństwa.

Osoba, którą pani przez chwilę widziała, była mordercą, gdyż Graham Newman odpowiedziałby na pani nawoływania nie mając powodu, by się przed nią ukrywać. Wręcz przeciwnie, zależałoby mu na tym, aby go pani dostrzegła.

- Wszystko przez pański płaszcz - wpadłam mu w słowo.

- Sądzi pani, że morderca czatował w nocy przed domem, żeby przekonać się, czy opuszcze go bez płaszcza? Potem zaś doczekał do rana, aż wyjedzie pani oddać mi płaszcz i wtedy zadzwonił do ofiary z zaproszeniem? Poza tym skąd miał pewność, że nie wrócę po płaszcz rano. Gdyby tak się stało, a niewiele do tego brakowało, nie musiałaby pani w ogóle wychodzić rano z domu. Zresztą to są rozważania pozbawione podstaw w faktach; proszę przecież nie zapominać, że za pierwszym razem wyszła pani do samochodu bez płaszcza. To wtedy zdecydował się wejść.

Rzeczywiście, dlaczego sama do tego nie doszłam? Musiałam przyznać mu rację,

- Nawiasem mówiąc, rzeczywiście znalazł pod pani nieobecność mój płaszcz, a w nim notes, który następnie porzucił na pod- jeździe, co miało wywołać wrażenie, że wypadł z kieszeni, kiedy wybiegała pani z płaszczem do samochodu.

- Pański notes?

- Owszem. Natrafiłem na niego na podjeździe dzisiaj rano, kiedy miałem zamiar panią odwiedzić właśnie po to, aby zabrać płaszcz. Potem wszedłem przez otwarte drzwi i natknąłem się na ciało Grahama Newmana.

- W pewnym sensie sama otworzyłam drzwi mordercy...

- Nawet i to się pani nie udało - usłyszałam w odpowiedzi.

Popatrzyłam na niego pytająco.

- Morderca miał przy sobie klucze Glorii - odparł. - Paskudna sprawa, co? Ktoś umawia się w pani domu ze swoją przyszłą ofiarą, nie przejmując się bynajmniej, czy zastanie panią wtedy w domu, czy nie...

- Zabiłby mnie? - chciałam wiedzieć, gdyż wszystko to coraz bardziej przerastało moje możliwości zrozumienia.

- Niekoniecznie. Raczej nie, gdyż za wiele poświęcił energii

planowi zwaleni winy na panią. Może zapłaciłby Newmanowi i zyskał w ten sposób na czasie. Dopadłby go potem przy innej okazji.

- Dlaczego więc nie odezwał się?

- Bo rozumiał, że wróciła pani tylko po płaszcz. Już wcześniej zorientował się, że pani nieobecność stwarza mu niepowtarzalną szansę pozbycia się szantażysty z jednoczesnym skierowaniem podejrzeń na panią.

- Przecież nie byłabym aż taką idiotką, by zabijać kogokolwiek we własnym domu!

- Doprawdy?

Spuściłam oczy zawstydzona.

- To ktoś bardzo sprytny. Posłużył się pani pistoletem i do tej pory nie mamy pojęcia, jak tego dokonał.

- Może wszedł przez okno do sypialni, zabrał pistolet, a potem, korzystając z ogólnego zamieszania, wrócił po schodach i odłożył broń na miejsce?

- Musiałby spuścić się na linie z dachu, i to wiedząc, że okno do pani sypialni będzie otwarte. Takiej pewności jednak mieć nie mógł.

- Przecież potrafi improwizować, czyż nie dał tego dowodów?

- Owszem, ale jedynie wtedy, gdy ma jeszcze wyjście, by tak rzec, zapasowe, jak dzisiaj rano.

- Robiąc spięcie w instalacji nie miał wyjścia awaryjnego!

- Samo spięcie było już wyjściem awaryjnym.

Rzeczywiście. O tym znowu nie pomyślałam.

- Wierzy pan w zeznania dziewcząt z firmy cateringowej?

- Chodzi pani o to, że mogły nie zauważyć kogoś wchodzącego po schodach?

- Właśnie, bo z jakiego powodu miałyby kłamać? By nie przyznać się do zlekceważenia obowiązków służbowych? Mogły wyjść wraz z innymi do ogrodu, by oglądać sztuczne ognie.

Skoro wszyscy to zrobili, nie były potrzebne przy stole.

- Podczas gdy tajemniczy Fantomas zakradł się na palcach, by porwać ze stołu kanapkę? Skąd miałyby pewność planując zbrodnię, że dziewczęta odejdą od stołów?

- Jakim więc cudem udało mu się zdobyć mój pistolet?

- Nie wiem. Nie wyobrażam sobie jednak nikogo, kto niedostrzeżony wbiegłby po schodach na górę, a potem z nich zbiegł, licząc na nieuwagę dziewcząt.

- Niewiele by przy tym ryzykował - myślałam głośno. - Ostatecznie mógł sądzić, że nie tylko on jeden podczas przyjęcia uda się na piętro. Wystarczyło, żeby toaleta na dole była zajęta.

- Wtedy tak oczy owak znalazłby się w kręgu podejrzanych. Po co? Skoro już, jak wiemy, znalazł sposób na zdobycie pani pistoletu bez konieczności odwiedzania pani sypialni.

- Już wiem! Mogła mu go znieść jedna z dziewcząt należących do obsługi cateringowej! - popatrzyłam na inspektora z satysfakcją.

Rozłożył bezradnie ręce.

- To możliwe - powtórzył. - W klasycznych kryminałach służba pozostaje jednak zawsze poza podejrzeniem.

- Teraz pana żarty się trzymają?

- Dostałem informację, że jacht Dereka Warwicka wyszedł wczoraj w morze.

Boże! Inspektor znowu zamierzał oddać się swemu hobby!

- A Frederic Bolton wyszedł, żeby mu pomachać ręką? I z tego wyłącznie powodu ten zapracowany sprzedawca samochodów zrobił sobie dzień urlopu?

Nieoczekiwanie Mark Travis spowaźniał, jakby nie słysząc mojej uwagi.

Popatrzył na mnie „niewidzącym” spojrzeniem i wstał szybko.

- Postaram się, aby ekipa dochodzeniowa jak najszybciej skończyła prace w pani salonie - powiedział tylko.

Potem bez pożegnania zbiegł na dół.

A tego co znowu ugryzło, pomyślałam. Zawsze, gdy jesteśmy sam na sam, a tym razem była to sypialnia, porzuca mnie w najmniej spodziewanej chwili.

2.

Zrobiło się już ciemno, gdy wreszcie wszyscy sobie poszli.

Ciekawe, co inspektor miał w swoim notesie? - zastanawiałam się. Zabójca z pewnością już to wiedział.

Ależ byłam głupia! Dlaczego sama nie pomyślałam o tym notesie! Należało z ciekawości zajrzeć do kieszeni płaszcza.

Doszedłszy do tego wniosku, poczułam się głodna.

Już wcześniej chciało mi się jeść, ale nie wypadało mi gotować czegokolwiek, gdy technicy policyjni rysowali kredą na podłodze kształt ciała Grahama Newmana (właściwie niewiele z tego kształtu dotykało podłogi, zaledwie stopy).

Z tego wszystkiego zapomniałam zrobić zakupy.

Zajrzałam do lodówki.

Na szczęście nie wyskoczył z niej morderca.

Nic w ogóle z niej nie wyskoczyło, bo wszystko, co mogłoby mi skoczyć do zgłodniałego gardła, było już dawno zjedzone.

Wsiadłam w samochód i skierowałam się do Duporth, żeby znaleźć jakąś restaurację.

Zatrzymałam się przed przystanią.

Zamówiłam rybę z frytkami i piwo.

Zjadłam kolację i wróciłam do domu.

Na wszelki wypadek zapaliłam wszystkie światła i rozejrzałam się dokładnie.

Wtedy zobaczyłam czekającą na mnie, opartą o swój rower, ten sam, który widziałam już w przedsionku domu Frederika, Ester Bolton.

*

- Witaj Hellen! Pomyślałam, że pewnie po tym wszystkim, co się stało, nie chcesz sama siedzieć w domu i przyszedłam - pośpieszyła z wyjaśnieniem, widząc moje zaskoczenie.

- To miło z twojej strony - wyraziłam wdzięczność.

- Frederic powiedział, że jeśli zechcesz, możesz przenieść się do nas, dopóki to się nie skończy.

- Podziękuj mu, ale chyba dam sobie radę - odparłam, zapraszając ją do środka.

- To straszne - powiedziała Ester, widząc na podłodze w salonie narysowane kredą kontury butów Grahama Newmana.

- Powoli zaczynam się przyzwyczajać - nadałam głosowi ba-

gatelizujący ton.

- Nie mówisz chyba tego poważnie? - na wszelki wypadek spojrziała na mnie uważnie.

- Oczywiście, że nie - musiałam wyjaśnić.

Zauważyłam, że Ester nigdy nie grzeszyła bystrością umysłu.

Wtedy, podczas rozmowy w ich domu, wkopała Frederika na całej linii, burząc jego obraz człowieka z zasadami.

- Napij się kawy? - zaproponowałam (nie mogła przecież wiedzieć, że otrułam Roberta).

I wtedy zorientowałam się, że wie to już z notesu inspektora morderca Glorii i Grahama Newmana.

- Dziękuję. Mam jeszcze trochę soku w bidonie - odmówiła.

- Frederic zawsze zarzuca mi, że wracając z roweru marnuję sok, zostawiając go na resztę dnia w bidonie.

Mówiąc to wyszła do przedsiionka po sok.

Postanowiłam więc zaparzyć kawę tylko dla siebie.

Wróciłam z nią do salonu, zabierając dodatkowo szklankę dla Ester.

- Dużo jeździsz na rowerze? - musiałam jakoś rozpocząć jej opiekę nade mną.

Wzruszyła ramionami niepewnie.

Poczekalam jeszcze chwilę zrozumiawszy, że musi mi to wystarczyć za odpowiedź.

Zdecydowałam się więc walnąć prosto z mostu.

- Znałaś Roberta jeszcze w Londynie, prawda? - strzeliłam.

Wreszcie poskutkowało.

Ester drgnęła w swoim fotelu. Nadal siedziała drobna i skurczona, ze wzrokiem wbitym w podłogę, jak poprzednio, ale teraz pojawiło się w niej wyczuwalne napięcie.

Zamilkłam, dając tym samym do zrozumienia, że teraz kolej na jej ruch.

- Powiedział ci o tym? - zapytała wreszcie cicho.

- Nie musiał - odparłam zgodnie z prawdą.

Popatrzyła na mnie zdziwiona i nagle jakby błysk zrozumienia przebiegł przez jej twarz.

- Oczywiście Lotta Keaton? - bardziej stwierdziła, niż zapytała. Potem niespodziewanie zaczęła mówić.

- Tak, to prawda. Zналиśmy się w Robertem w Londynie. To było dawno. Pomógł mi urządzić wystawę w Soho. Potem jednak uznał, że nic ze mnie, jako malarki, nie będzie i przestaliśmy się spotykać. Lubił łączyć przyjemne z pożytecznym, a ja nie byłam ani przyjemna, ani pożyteczna. W każdym razie okazałam się mało pożyteczna w charakterze kandydatki na kochankę i nieprzyjemna w roli artystki - uśmiechnęła się lekko do siebie. - On to rzecz jasna widział inaczej, chciał, abym była pożyteczna jako artystka i przyjemna... no wiesz... Nie widzieliśmy się długo, aż pewnego dnia wybrałam się do Londynu, już z Frederikiem i wpadliśmy na siebie zupełnie przypadkowo. Frederic jak zwykle udawał wielkiego bossa z Kornwalii i od razu chciał robić interesy w Londynie. Wtedy Robert zainteresował się Kornwalią. Udawał jeszcze większego bossa od Frederika, co akurat było prawdą i tak to się zaczęło. Frederic szybko zorientował się w czym rzecz i zaczął sprzedawać mnie Robertowi, ten zaś kupował mnie od Frederika. Miałam więc poniekąd czyste sumienie, widząc jak obaj się puszą przed sobą. Wówczas Robert nabył działkę w Porthpean, niemal naprzeciw naszego domu i zaczął budowę. Dzisiaj myślę, że zamierzał się popisać i że Frederic był mu niezbędny w roli czegoś w rodzaju stymulatora. Potem założył „St. Austell Herald” i wygrał wybory do rady St. Austell z naszego okręgu. Na dodatek zaprzyjaźnił się z Peterem Donovanem, który już po raz drugi wszedł w skład rady St. Austell.

Ester Bolton upiła łyk soku.

Nie przerywałam jej.

- Koniec końców, Frederic wyszedł na kompletnego głupka - podjęła na nowo. - Robert i Peter zaczęli na spółkę kombinować wokół odrolnienia gruntów w St. Austell, a Frederic nic z tego nie miał. W ogóle nie zyskał niczego na znajomości z Robertem, który powoli zaczynał grać w tym wszystkim pierwsze skrzypce. Peter został nawet dzięki Robertowi przewodniczącym komisji planowania przestrzennego, podczas gdy salon Frederika w Plymouth kulał coraz bardziej.

Zrobiła krótką przerwę, by ponownie napić się soku.

- Robert i Peter nie spieszyli się. Peter rozbudowywał swój ośrodek jeździecki, a Robert koncentrował się na własnych sprawach w Londynie. To doprowadzało Frederika do szału. Z ich stylu działania domyślał się, że musi chodzić o grubszą forszę. Wymusił wtedy na Chrisie Daltonie zaliczkę za porsche, bo odkupił od Lotty Keaton informację, która mogłaby, jak sam powiedział, pograżyć Chrisa na długie lata. Chyba chodziło o potrącenie tej dziewczynki z Duporth. Sprawa była głośna parę lat temu; sprawca zbiegł z miejsca wypadku. No więc zaproponował Chrisowi Daltonowi po okazjnej cenie wóz, którego Chris nie nabyłby nigdzie taniej i którego nawet nie zamierzał kupować. Chodziło o to, żeby z kolei Chris namówił na ten wóz Moirę, gdyż ta nigdy nie zgodziłaby się na kupno jeszcze jednego auta. To miała być, jak już powiedziałam, superokazja. Lotta Keaton, koniec końców, zarobiłaby na tym znacznie więcej niż na bezpośrednim podskubywaniu Chrisa Daltona, który każdy grosz musiał wyzebrywać od Moiry. Moira, oczywiście, nie miała pojęcia o niczym, bo gdyby wiedziała o wypadku Chrisa, pewnie załatwiłaby to na swój sposób. Nowy samochód stanowił tylko pretekst do wyłudzenia od niej pieniędzy w zamian za milczenie Frederika o wypadku Chrisa. Jak wspomniałam, Lotta też by z tego coś miała. Był to taki zgrabny szantażyk polegający na wymuszeniu kupna auta. Chris i Frederic, co dziwne, zaprzyjaźnili się wtedy ze sobą. Tak to przynajmniej na pierwszy rzut oka wyglądało. Wspólna tajemnica w jakiś przedziwny sposób ich zbliżyła, możliwe, że Chris pragnął przy okazji urwać coś z zaliczki dla siebie - w każdym razie miałyby samochód, który mógł zawsze sprzedać. Potem Frederic zgodził się pożyczyć sportowego mercedesa Chrisowi, a ten zabrał go na wyścigi i rozbił.

Ester Bolton mówiąc to uśmiechnęła się nieznacznie.

- Frederic okropnie się wówczas wściekł, gdyż auto było nieubezpieczone. Popłynął na jakieś trzydzieści tysięcy funtów i zwyczajnie krew go zalała, więc postanowił odbudować mercedesa za pieniądze z zaliczki na porsche'a. Zbiegło się to w wcześniejszym zacieśnieniu naszych kontaktów towarzyskich

z Daltonami, których skutkiem miało być wynajęcie Frederikowi posesji Moiry w Plymouth na nowy salon samochodowy. Miała to być spółka. Ojciec Moiry zostawił jej w spadku trochę nieruchomości rozsznanych po całej Kornwalii. Moira zawsze była trudnym dzieckiem, jakby to się teraz powiedziało, trochę się uczyła, trochę podróżowała, ale nigdy ani trochę nie pracowała. W sumie nie śmierziała groszem, chociaż zdążyła ze dwa czy trzy razy wyjść za mąż. Krótko mówiąc, Moira to była Moira i wielu facetów łąpało się na jej tytuł lady. Ów tytuł był w zasadzie przechodni i mąż dziedziczył go wraz z żoną. To znaczy odziedziczyłby, gdyby wytrwał w małżeństwie z Moirą do śmierci lorda Hailshama. Chris pojawił się więc na gotowe. Nie wiem, co widziała w nim Moira, być może to, że nie ucieknie jej nawet najszybszym wozem, w każdym razie poślubiła go. Jej skromny dochód z nieruchomości ojca wystarczał wszelako na wyścigi z Chrisem...

Kolejny uśmiezek oznajmił mi, że Ester musi popić swoje rewelacje sokiem.

- Tyle tylko, że Moira postanowiła nie darować tych trzydziestu tysięcy funtów i wycofała się ze spółki z Frederikiem. Uznała je za swoją stratę, zubożając Chrisa o porschea, którego rozbił nawet weń nie wsiadając. A ja...

Ester popatrzyła na mnie.

- A ja nadal malowałam obrazy. I nigdy nie byłam... kochanką twojego męża, Hellen. Nie zdążyłam nią być wtedy w Londynie i nie obchodziłam go już tutaj w Porthpean. Im wszystkim chodziło tylko o pieniądze. Rozumiesz? O władzę, jaką dają pieniądze na drugim człowiekiem. Dlatego wyjeżdżałam w świat swoich obrazów na rowerze... Tak...

Nagle podejrzenie wkradło się w moje myśli.

Sięgnęłam po jej szklanekę z sokiem.

Poczułam zapach alkoholu.

Ester Bolton była pijana.

Chciałam coś powiedzieć, ale zasnęła w fotelu nad trupio kredowym konturem stóp Grahama Newmana.

Za to ja nie spałam przez prawie całą noc, próbując przeniknąć sposób, w jaki można wynieść z szuflady pistolet,

nie dotykając go nawet. To musiało być bajecznie proste, zupełnie jak zamiana dywanu w odkurzacz.

*

Zbudził mnie dopiero odgłos zatraskiwanych drzwi wejściowych. Podniosłam się na poduszkach, nadstawiając uszu. Nie wiedziałam, czy zatrzaśnięcie drzwi oznacza, że ktoś wchodził, czy że wychodził. Przypomniały mi się magiczne sztuczki. Jak łatwo byłoby w tej sytuacji zasugerować jedną z tych możliwości, gdyby komuś na tym zależało.

Zerwałam się z łóżka i szybko zbiegłam na dół, przypomniawszy sobie o Ester Bolton śpiącej w fotelu.

Nie zastałam jednak w salonie nikogo.

Podeszłam do okna, aby sprawdzić, czy zobaczę przez nie Ester oddalającej się podjazdem na rowerze.

Nie było jej tam jednak.

Dałabym głowę, że słyszałam chrzęst opon na żwirze.

Człowiek zawsze dopowiada sobie to, czego spodziewa się dowiedzieć. Na tym również polegała iluzja. Kilka kresek na kartce papieru wywoływało nadmorski pejzaż lub profil czyjejś twarzy, nie przestając być w istocie liniami węgla na kratkowanej powierzchni wyrwanej z zeszytu.

Ester mogła obudzić się w środku nocy i wyjść cicho, żeby nie wrywać mnie ze snu. Szczęknięcie zamka w drzwiach nie oznaczało niczego. Sprawdziłam szybko pomieszczenia na dole. Były puste.

Powtarzała się sytuacja z wczorajszego dnia.

Jeśli ktoś wszedł, mógł być teraz już w ogrodzie, a nawet na górze w którejś z sypialni. Na przykład mojej sypialni! Minał mnie bez trudu, gdy przebiegałam hol albo był ukryty w kuchni lub łazience!

A jeżeli wychodził?

Wiedział, że spałam, miał okazję w tym czasie splądrować cały dom.

Znowu kuglarska sztuczka!

Gdyby jednak wszedł, starałby się zamknąć za sobą cicho drzwi. Dopiero wychodząc pozwolilby sobie na hałas.

Zmartwiałam, starając się nie oddychać.

Czyżby wszystko miało się powtórzyć?

Czyjego trupa tym razem zastanę w salonie?!

Postanowiłam nie ruszać się z miejsca.

Cokolwiek miało się zdarzyć, chciałam być przy tym obecna.

Wtedy zrozumiałam.

Gdy się nie ruszę, to mojego zwłoki zostaną odnalezione w salonie!

On przyszedł po mnie!

Zerwałam się z miejsca i tak jak stałam, w koszuli nocnej, wybiegłam przed dom.

Na dworze poczułam się bezpiecznie.

Tu, na zewnątrz nic nie mogło mi grozić.

Rozejrzałam się.

Znad pól unosiła się lekka mgła. Niebo było jeszcze szare, ale zapowiadał się bezchmurny dzień.

Przypomniałam sobie o Glorii.

Pewnie nie spodziewała się, że na plaży w sobotni poranek coś może jej zagrażać.

Oglądając się za siebie, wyszłam przed bramę.

Co mogłoby mi się stać na ulicy?

Musiałam wyglądać idiotycznie w koszuli nocnej i pantoflach.

Wówczas usłyszałam nadjeżdżający samochód.

Zdążyłam zaledwie uskoczyć na chodnik, gdy z piskiem opon przemknął obok mnie czerwony kabriolet.

To był Chris Dalton.

Nie miałam żadnych wątpliwości. Tylko on miał w okolicy taki samochód.

Mignął mi przed nosem i zniknął za zakrętem.

Odetchnęłam z ulgą. Niewiele brakowało, aby mnie przejechał. Nagle zdałam sobie sprawę z wagi swojego spostrzeżenia. Chris Dalton usiłował mnie zabić...

To nie mógł być przypadek.

Skąd bowiem wziął się samochód, akurat w tym miejscu i właśnie wtedy, gdy wybiegłam z domu?

Znowu usłyszałam odgłos silnika. Tym razem był niższy i

zbliżał się powoli.

Zza zakrętu wynurzył się tył jadącego do tyłu czerwonego kabrioletu.

Zmrużyłam oczy, patrząc pod słońce.

Za kierownicą siedziała Moira Dalton.

Po chwili zrównała się ze mną i zatrzymała.

- Boże! Hellen! - zawołała. - O mało co i bym cię przejechała!

Co ty tu robisz o tej porze?!

Zamurowało mnie.

- Ja? - zapytałam nieprzytomnie.

- No przecież nie ja!

Ciekawe, że właśnie o to samo chciałam ją zapytać; co robi tu tak wcześnie rano.

- Przestraszyłaś mnie - odpowiedziałam zamiast tego.

- Ty mnie też przestraszyłaś. Wyglądałaś jak jakaś zjawa we mgle - poinformowała.

- Spacerowałam - wyjaśniłam.

Moira obejrzała mnie sobie od stóp do głów.

- Spacerowałaś? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- A ty? - wreszcie odzyskałam równowagę. - Również wybrałaś się na spacer?

Moira wyłączyła silnik, którego pomruk zagłuszał nasze słowa.

- Lubię przejechać się o świcie - odparła, odwracając spojrzenie.

Za moich czasów zwykło się mawiać, że ktoś lubi się przelecieć, ale to słowo zmieniło już odtąd swoje znaczenie.

Wtedy zrozumiałam.

- Wracasz od doktora Hestona?

Widziałam, jak znieruchomiała, starając się nadać twarzy normalny wygląd. Jej rysy stężały, po czym nieoczekiwanie rozluźniły się, zamieniając w uśmiech. Trwało to jednak dobrą chwilę.

- A więc już wiesz - przyznała spokojnie. - Inspektor Travis czy Lotta Keaton?

- Ty sama - odparłam w nagłym przebłysku refleksu.

Uśmiechnęła się ponownie.

- Całkiem dobrze powiedziane - pochwaliła. - Chyba trafiłaś w sedno.

Zastanowiła się.

-I co teraz?

- Nic - odparłam szybko. - Może jeszcze zdążysz...

Posłała mi długie spojrzenie.

- Nie dbam o to. Już nie.

Położyła dłoń na gałce drążka zmiany biegów, obejmując ją silnym uchwytem, aż zbiełały jej palce.

- Już nie - powtórzyła.

Patrzyliśmy przez chwilę na siebie, nie odzywając się.

- Zmarzniesz... - zauważyła.

- Obie marzniemy od dawna - rzuciłam.

- Ano tak... - westchnęła z rezygnacją.

- Masz ochotę na drinka? - zaproponowałam.

Zamiast odpowiedzieć, włączyła silnik i podjechała łagodnie przez bramę na podjazd przed domem.

Tu poczekała na mnie, aż przyczłapię w pantoflach z ulicy.

- Zawsze oglądałam to na filmach - powiedziała po wejściu do salonu i spoglądając na to, co pozostało u jej stóp po Grahamie Newmanie.

- Czasem wydaje mi się, że gram w jakimś horrorze - podchwyciłam jej ton. - Na co masz ochotę? - zapytałam podchodząc do barku.

- Na ciebie, Hellen - usłyszałam i aż zatkało mnie.

Musiała zauważyć moją konsternację, bo zaraz wyjaśniła.

- Mam ochotę na twoje zwierzenia, Hellen. W końcu zaprosiłaś mnie tutaj, żebyśmy się sobie trochę wyplakały, czyż nie?

Nalałam po lampce brandy, nie ustosunkowując się do jej słów.

- Hellen nalała po kieliszku brandy, nie komentując wypowiedzi Moiry - zakpiła. - Czy tak ująłby to autor w powieści kryminalnej?

Usiadłyśmy naprzeciw siebie.

- Włóż w końcu jakiś szlafrok, a ja rozpalę w kominku - zaproponowała.

Postąpiłam zgodnie z jej radą.

Gdy wróciłam do salonu, ogień zaczął powoli się rozpalać.

- To od czego zaczynamy? - zapytała. - Od pierwszej zdrady? Skrzywiła się. - Nie, to byłoby nazbyt sentymentalne, prawda?

- Możemy rozpocząć od ostatniej zdrady. Musiałam odzyskać inicjatywę we własnym domu.

Patrzyła na mnie długo, nie podejmując tematu.

- Chyba cię nie doceniałam, Hellen - stwierdziła niespodziewanie i jednym haustem wypila swój kieliszek koniaku. - Czas na mnie.

Wstała i zdecydowanym krokiem podążyła do wyjścia.

- Odezwij się, gdy to wszystko się skończy - zawołała wsiadając do auta. Potem jeszcze odwróciła się i dodała: - Nie biegaj też w samej bieliźnie po ulicy we mgle, bo tutaj często nisko latają samoloty, a sama wiesz, jak to jest, taki samolot to sam na ciebie poleci. Mrugnęła do mnie okiem.

Odprowadziłam ją na podjazd i patrzyłam jak odjeżdża, wyrzucając spod kół pełno żwiru.

Wtedy usłyszałam za sobą szcęk zamka zatrzaszkujących się ponownie drzwi.

Mimo narzuconego na ramiona szlafroka przeszedł mnie dreszcz.

Rozdział IX

1.

Więc mógł to być przeciąg, pomyślałam, wchodząc z powrotem do domu, zwykły przeciąg.

Miałam ochotę na śniadanie i ponownie przypomniałam sobie o pustej lodówce. Czas już był najwyższy zrobić zakupy.

Tylko dlaczego przeciąg miałby zatrzaskiwać zamknięte drzwi, przyszło mi na myśl pod prysznicem. Chciałam jak najszybciej porozmawiać z inspektorem. Postanowiłam też, że zajdę do księgarni w St. Austell, by kupić podręcznik magii dla początkujących, taki sam, jaki dostałam przed laty. Na resztę

dnia nie miałam planów. Tym bardziej nie planowałam niczego na zbliżający się znowu weekend.

Uwielbiałam piątki, a był właśnie piątek. Wtem zorientowałam się, że to tej nocy, tydzień temu, wszystko się wydarzyło.

Pojechałam do Duporth, by najpierw coś zjeść.

Dzień rzeczywiście był piękny.

Zatrzymałam wóz przed tą samą restauracją, co poprzedniego wieczoru i zamówiłam taką samą rybę z frytkami. Z piwa zdecydowałam się tym razem zrezygnować.

Czekając na przyniesienie jedzenia wyjęłam telefon i zadzwoniłam do inspektora Travaisa.

- To pani? - chyba nie spodziewał się mnie.

- Chciałam się z panem spotkać - poinformowałam.

Zapytał, czy to coś ważnego, gdyż był już od godziny w drodze do Londynu.

Opowiedziałam mu więc przez telefon o wszystkim, co wydało mi się istotne, nawet o cichym popijaniu Ester Bolton.

Przyjął to do wiadomości i wbrew moim wcześniejszym obawom, nie wyśmiał

- Szkoda, że mi pan nie powiedział o wyjeździe do Londynu, pojechałabym z panem,

- Wątpię. Jadę pociągiem...

Boże, pomyślałam, o której on musiał wstać, żeby zdążyć na połączenie do Londynu!

Przyniesiono mi moją rybę z frytkami.

Pożegnałam się szybko i zaczęłam układać listę zakupów; chleb, masło, coś do chleba...

Szukając natchnienia kulinarnego zerknęłam przez okno i zobaczyłam przechodzącą Betty Donovan.

Wybiegłam, by ją zawołać.

- Zapraszam na drugie śniadanie - zaproponowałam.

Była bardziej zaskoczona moim widokiem niż usprawiedliwiłaby to pora i miejsce.

Po krótkiej chwili wahania przyjęła zaproszenie.

- Nie jesteś w szkole? - zapytałam, by od czegoś zacząć.

- Nie czułam się najlepiej. Odwołałam lekcje - odparła nie-

chętnie.

Przyjrzałam się jej i uznałam, że istotnie, nie wyglądała dobrze. Podkrążone oczy i napuchnięte powieki mogły świadczyć, że płakała.

- Paskudna sprawa z tym Grahamem Newmanem... - postanowiłam uderzyć frontalnie.

Jej ramiona zadrżały i do oczu napłynęły łzy.

- Aż tak go kochałaś? - poszłam za ciosem.

- To chyba nie twoja sprawa! - zachnęła się.

- Owszem, moja, skoro zabito go w moim domu - nie ustępowałam.

Widziałam, jak stara się opanować.

Wytarła oczy chusteczką.

Dałam jej czas na zebranie się w sobie.

- Podobno widziałas go? - jej usta otworzyły się i już pozostały otwarte w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Tak. To prawda. Niestety... - przyznałam.

- Ale dlaczego właśnie on?!

- Przypuszczalnie, tak twierdzi inspektor Travis, widział zabójcę mego męża...

- To co z tego?

- Mordercy usuwają świadków - poinformowałam tonem znawcy przedmiotu.

Zadrżała.

- Czy... czy już wiadomo...

- Kto to zrobił? - dokończyłam za nią.

Kiwnęła potakująco głową.

- Nie. Nie wiadomo.

Betty Donovan wyglądała tak, jakby to ją samą zamordowano.

- Zamówić ci coś do picia? - zaproponowałam, widząc jej stan.

- Nie, dziękuję - zaprzeczyła automatycznie.

- Każę przynieść małą brandy. Dobrze ci zrobi.

Zawołałam kelnera i poprosiłam o brandy dla niej.

- Graham o niczym ci nie wspominał? - zapytałam.

Zdawała się nie rozumieć, o co mi chodzi.

- Nie wspominał, że widział coś szczególnego tydzień temu?
- sprecyzowałam.

Wzruszyła bezradnie ramionami.

Tymczasem kelner postawił przed nią kieliszek.

- O niczym mi nie mówił - upiła szybko łyk.

Popatrzyła na mnie, jakby dopiero teraz mnie dostrzegła.

- On w ogóle nic nie mówił. Ta gazeta... - próbowała zebrać myśli -...ta gazeta była dla niego wszystkim. Ostatnio bardzo się zmienił. Zawsze pisywał jakieś wiersze, gdzieś je posyłał, udzielał się na forach internetowych, ale „St. Austell Herald” to było zupełnie coś innego. Przestał interesować się czymkolwiek poza pisaniem do niej. Traktował to śmiertelnie poważnie...

Odetchnęła gwałtownie po ostatnich słowach, które mimowolnie sprowadziły jej myśli z powrotem na własną tragedię.

Ponownie upiła łyk ze stojącego przed sobą kieliszka.

- On... on traktował to jak... jakąś misję. Uwierzył, że może coś zmienić. Mówił mi o tym. Powiedział, że odnalazł swoje powołanie... Że przez tyle lat marnował się w tej dziurze ucząc skakania przez jakiegoś głupiego kozła, a teraz czuł, że ma na coś wpływ. Rozumiesz? Wydawało mu się, że nagle stał się ważny. Godzinami rozprawiał o polityce i obiecywał, że wreszcie będzie miał pieniądze. Chciał mnie zabrać do Plymouth albo Bristolu i tam otworzyć własną gazetę. Mówił, że nie mam pojęcia, jaką władzę daje prasa i że już wkrótce się przekonam... To nie był ten sam Graham, którego znałam. Zrobił się pewny siebie, nadęty i miał wszystkich za nic. Napisał artykuł do „St. Austell Herald”, w którym ganił mojego Petera. Powiedziałam mu, że chyba postradał zmysły, ale on nie chciał mnie słuchać. Twierdził, że się w ten sposób uniezależni, to znaczy pisząc to i w końcu sam zacznie rozdawać karty...

Betty Donovan dopiła swoją brandy.

Westchnęłam w duchu nad głupotą Grahama Newmana, przypomniawszy sobie, co powiedział mi o nim przez telefon Robert - że zamknie „St. Austell Herald”, gdyż redaktor nie nadaje się do swojej pracy.

Nie trzeba było zresztą likwidować gazety, wystarczyło

znaleźć kogoś na miejsce Grahama Newmana, gdyż to nie dziennikarze okazywali się wpływowi, lecz ich wydawcy.

Wszyscy oni byli zawsze tacy sami, stwierdziłam, mając na myśli mężczyzn. Nieodmiennie koncentrowali się na sobie, przyznając łaskawie nam, kobietom, rolę publiczności.

Popatrzyłam ze smutkiem na Betty.

Nie żałowałam jej. Niemniej rozumiałam ją doskonale.

- Nie przejmuj się - pocieszyłam ją. - Policja znajdzie mordercę Grahama.

Znowu wzruszyła ramionami, jakby to ją wcale nie obchodziło.

Z zabójcą swego kochanka nie mogła przecież wyjechać do Plymouth czy Bristolu.

Zapłaciłam rachunek i pożegnałam się z Betty.

Musiałam wreszcie zrobić zakupy, by nie umrzeć z głodu (świetny sposób na kolejne morderstwo, czyż nie?).

2.

Gdy parę godzin później (zakupy nigdy nie trwają krótko, nawet gdy nie ma się pieniędzy, wtedy ciągną się jeszcze dłużej), a więc gdy parę godzin później domykałam już pełny bagażnik, usłyszałam męski głos wołający mnie po imieniu.

Był to Timothy Heston.

- Policja pytała mnie o morfinę! - zaczął bez zbędnych wstępów. - Zdradziłaś mnie, Hellen!

- A ty mnie zdradziłeś z Ester Bolton i Moirą Dalton - wypaliłam bez namysłu.

- Zobaczysz, przez ciebie odbiorą mi prawo wykonywania zawodu! - jęczał, puszczając mimo uszu moją uwagę.

- I bardzo dobrze zrobią! Obetną ci to prawo wraz z okazjami do wykorzystywania pacjentek. Musisz mieć cholernie małego, żeby go powiększać o swój dyplom - wygarnęłam mu.

- Tu wszyscy są moimi pacjentami!

- Dobieranie się do pacjentek jest niezgodne, o ile wiem, z etyką lekarską - nie ustępowałam.

- To z kim mam sypiać?! Mam szukać kobiety aż w Plymouth?!

- Czy ty w ogóle masz jakąś kobietę? - doznałam kolejnego nagłego olśnienia. - W twoim wieku już powinieneś jakąś mieć. Powinieneś mieć przynajmniej jedną żonę na rozkładzie i ze dwoje dzieci z nią - dodałam.

- To nie ja chciałem morfiny! - pominął to, co ode mnie usłyszał.

- To nie ty powiedziałaś, że mi jej nie sprzedasz!

- Zrobiłem to dla ciebie!

- A co zrobiłeś dla Ester i Moiry? - powoli się uspokajałam.

- Dałem im odrobinę szczęścia - oznajmił.

- W ramach wykonywanego zawodu? Przepisałeś im na receptce siebie? Jaką dawkę? Znieczulającą?

Przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

- Teraz zabiorą mi dyplom - wrócił do tematu żalonym głosem. - Travis mi tego nie odpuści. Leczyłem jego siostrę.

Roześmiałam się głośno.

- Leczyłeś? I co? Wyleczyłeś? Z czego, jeśli można zapytać?

Poczerwieniał.

- To nie jest powód do żartów - oznajmił grobowo.

- No to już po tobie - ucieszyłam się, widząc jego minę.

- Mogłabyś odwołać zeznania... - zaproponował nieśmiało.

- W zamian za co?

- Za dwadzieścia tysięcy funtów...

- Dwadzieścia tysięcy to kosztowało zasadzenie drzewek w moim ogrodzie.

- OK, trzydzieści, nie mam więcej.

- Niech będzie, ale opowiesz mi o Ester i Moirze.

Rumieniec nie zniknął z jego twarzy.

- Tu nie ma nic do opowiadania! Frederic tłukł Ester przy każdej okazji. Nazywał ją londyńską dziwką twojego męża i raz nawet posunął się do tego, że... że kazał jej... zjeść farby do malowania. Wtedy dokonałem obdukcji. Bądź pewna, nieźle oberwała, mało jej nie zabił.

- A Moira?

- Moira? - powtórzył. - Cóż... Popatrzył na mnie niepewnie. -

Moira nie mogła mieć dzieci. Odkryłem, że miała kilka skrobanek, a potem już nic się nie dało z tym zrobić. Nie powiedziałem jej tego... Moira myślała, że to z powodu Chrisa.

- Obiecałeś Moirze dziecko?!

- Cuda się zdarzają...

- Co z Ester, cudowny lekarzu? Boltonowie też nie mają dziecka.

- Mają.

Zaniemówiłam.

- To znaczy Ester ma - poprawił się.

Straszliwe przeczucie sprawiło, że nie byłam w stanie wydobyć z siebie nadal głosu.

Popatrzyłam tylko na niego jak na upiora.

- Nie z twoim mężem - zrozumiał, o co mi chodzi. - Nie musisz się martwić. To nie twój problem.

- Nie mój?

Wtedy zrozumiałam.

- Ester ma z tobą dziecko?

Roześmiał się i nieoczekiwanie odprężył.

- Nie ze mną.

- Więc z kim?

- Nie wiem. To stara historia. Frederic kazał jej odesłać chłopca do internatu.

- Jak to do internatu?

- A co miała zrobić? Tułać się po świecie z dzieckiem, nie mając na utrzymanie? Wymyśliła sobie, że będzie malarką, tyle tylko, że nie potrafi malować. Nie ma za grosz talentu. Nie potrafiłaby nawet pomalować drzwi do obory. Frederic ją przygarnął, bo potrzebował kogoś słabszego od siebie. Normalna sprawa.

- Normalna? I co dalej?

- Ester mściła się na Frederiku. Zaczęła pić. Potem spotkała mnie. O czym tu jeszcze mówić?

- Dlaczego oszukiwałeś Moirę?

- Bo była bogata.

Nie, to przechodziło wszystkie moje wyobrażenia.

- Moira płaciła ci?

- Tylko za leczenie...

- Jakie leczenie, skoro była bezpłodna?!

- Łatwo ci mówić. Przyjechałaś sobie z Londynu, w otoczeniu gwiazd telewizyjnych, jako żona milionera zesłana na wygnanie. Czy myślisz, że nikt się nie zorientował? Cóż możesz wiedzieć o życiu na prowincji. Nie jesteśmy idiotami - zawahał się - chociaż żyjemy tu jak idioci. Liżemy czekoladę przez szybę telewizora, ale dobrze wiemy, jak się ją je. Mamy takie same potrzeby, lecz mniejsze możliwości. Nasza arystokracja krzyżuje się ze sobą wydając na świat kretyńców pokroju lorda Hailshama, ojca Moiry. Niedługo zaczniemy wszyscy żyć ze swoimi siostrami, matkami, córkami, rodząc całe rzesze genetycznych niedołęgów. Medycyna społeczna zna takie przypadki. W ostateczności pozostaną nam jeszcze kozy i owce. Lecz i ich już tu nie ma. Są tylko emigranci. Chris Dalton kocha na przykład swoje samochody. Więc Moira rodzi mu te samochody... Ale co ty możesz o tym wiedzieć?

Milczałam.

- Byłaś samotna i chciałaś morfiny - zmienił temat - a teraz ten cały Travis ugotuje mnie żywcem. Może jestem kanalią, lecz do niedawna uważałaś mnie za coś w rodzaju wybawienia, prawda? Leczę szkarlatynę, koklusz i przeziębienia. Żółtaczkę odsyłam już do szpitala. Niosę pociechę bogobojnym mieszkańcom St. Austell i okolic, gdy złapią trypra podczas zarzucania swoich wędek na plaży. Nie rób więc takich zdziwionych oczu, bo lekarz powinien zajmować się życiem, a to życie tutaj bardziej przypomina śmierć.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Włożyłam klucz do stacyjki i odjechałam bez słowa.

*

Nie zajechałam jednak daleko.

Tym razem był to Peter Donovan.

W bryczesach i kaszkiecie, stał obok swojego land rovera i machał mi już z oddali ręką na powitanie.

Musiałam się zatrzymać.

- Jak się masz Hellen! - podbiegł do mojego auta.

- Witaj Peter.
- Straszna historia z tym Grahamem Newmanem - zaczął.
- Betty jest roztrzęsiona...
- Doprawdy? - nie miałam pojęcia jak właściwie zareagować.
- Wiem, wiem, co się o tym wszystkim mówi - pospieszył, wyręczając mnie z wybrnięcia z sytuacji. - Ale to są jakieś bzdury

- dodał. - Betty była koleżanką Grahama, nic dziwnego, że jego śmierć ją poruszyła. W końcu nie żyjemy na antypodach, jesteśmy nowocześni, to zrozumiałe więc, że oboje mieli sobie wiele do powiedzenia. To jeszcze niczego nie oznacza. Ludzie najchętniej uczyniliby z igły widły, byleby tylko zaspokoić ciekawość. Graham był równym facetem, znałem go, chociaż ostatnio jakby... no cóż, jakby trochę się od nas odciął.

Peter Donovan mówił to wszystko stojąc przy otwartej szybie mojego auta.

- Myślę, że był przepracowany, łącząc zajęcia w szkole z redagowaniem „St. Austell Herald”. Ale to się zdarza. Oboje z Betty bardzo go lubiliśmy...

Przerwał, czekając na moją reakcję.

Popatrzył na mnie badawczo i podjął na nowo.

- Wybacz, że nie odzywaliśmy się do ciebie po tym wszystkim (ciekawość eufemizm, którym traktowano mnie już nie po raz pierwszy, mając na myśli śmierć Roberta), ale wiesz jak to jest; człowiek zagoniony nad związaniem końca z końcem zapomina o bożym świecie.

Zmitygował się nagle.

- To znaczy, nie zapomina. Wiem, zabrzmiało to głupio - poprawił się szybko - lecz wiesz dobrze, co mam na myśli. Wszyscy głupiejemy od tego tempa.

- Wszyscy tępimy się od tej głupoty - wpadłam mu w słowo złośliwie, gdyż nic a nic nie obchodziły mnie jego wywody.

Po moich słowach zamilkł gwałtownie, jak rażony piorunem.

Patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, straciwszy, jak by to rzekł Roger Cavendish, werbalny grunt pod nogami.

- No właśnie... - wydukał.

Przyglądałam mu się z rozbawieniem.

Musiałoby go deprimować jeszcze bardziej.

- To znaczy... chciałem powiedzieć, że tempo... no, że to jest... głupie... że człowiek, rozumiesz, czasem nie wie, co ma o tym myśleć, podczas gdy obowiązki zmuszają go do nieustannej gonitwy - odzyskiwał powoli rezon - i zapomina o najważniejszym, to znaczy, nie zapomina, ale gdzieś mu to umyka, zupełnie jak rocznica własnego ślubu - zakończył frazę ewidentnym sukcesem.

Byłam zdecydowana perfidnie wykorzystać techniki erystyczne Schopenhauera (ponownie dzięki Robercie). Milczałam.

- No dobrze, może Betty rzeczywiście zbłądziła - usłyszałam w nagrodę - ale któż z nas pozostaje bez winy (zapachniało kółkiem parafialnym), nie moją rzeczą jest to oceniać...

- Słusznie. Niech najpierw ciśnie kamieniem ten bez winy - pomogłam mu.

Skutek był jednak odwrotny.

Peter Donovan się zaciął.

Uznał, że drwie sobie z niego, podczas gdy to on zamierzał zadrwić sobie ze mnie opowiadając dyrdymały o swoim życiu intymnym z Betty i Grahamem Newmanem.

Pokiwałam mu ręką w pół słowa i odjechałam szczęśliwa, że wyrwałam się spod tego masażu.

Wtedy dopadła mnie, nieomal kładąc się ma maskę, Lady Makbet, Klara Heller.

- Och Hellen, zamordowali w twoim domu tego nieszczęsnego Grahama Newmana! - zawołała podniecona.

- No właśnie - przyznałam z rezygnacją.

- Taki porządny człowiek. Prawdziwy dżentelmen - utyskiwała.

- Nadawałby się lepiej na Makbeta od sierżanta Tallowa - stwierdziłam.

- A tak, z pewnością - przyznała mi rację, posyłając badawcze spojrzenie. - Chłopak robił karierę, czyż nie?

- Ale jej nie zrobił, prawda?

- Kazał mi być cicho, gdy pisał.

- Widocznie cicho pisał.

- Niemniej teraz o nim głośno.

- Nawet za głośno.
- Ta biedna Donovan też nie ukrywa żalu...
- Ona w ogóle niczego nie ukrywa.

- To też prawda. Przychodziła do niego do redakcji...

Słowo redakcja Klara Heller wymówiła z nabożną czcią, jakby to była co najmniej katedra w Canterbury, a nie jej pokój na poddaszu.

- I on ją redagował?

- Jak to redagował?

- No skoro przychodziła do redakcji, to tak samo jak tekst, który poddaje się redakcji, trzeba go zredagować.

- A tak, rzeczywiście, nie pomyślałam o tym - przyznała.

Potem spojrzała na mnie z wyrazem twarzy, który niegdyś starzy redaktorzy nazwali filuternym i uśmiechnęła się znacząco.

- Oj redagował ją, redagował... - potwierdziła. - Redagował tak, że nie wiadomo jakby na to jej mąż zareagował - zrymowała.

- Redagował też Lottę Keaton.

- Co proszę?! - wydało mi się, że się przesłyszałam.

- A tak! Ją też - powtórzyła.

- Przecież Lotta mogłaby być jego matką!

- Dlatego widocznie słuchał uważnie matczynych rad...

Nie mogłam uwierzyć.

- Stary komandor miał słaby słuch, niewiele do niego docierało... - pośpieszyła z pomocą Klara Heller.

- A majtek Newman słuchał jej uważnie?

- Nawet bez majtek - roześmiała się.

Byłam zdruzgotana.

Pożegnałam się z Lady Makbet, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w domu.

3.

Inspektor Travis zastał mnie przy kolacji.

- Pewnie znowu nic pan nie jadł? - powitałam go w progu z

najlepszą intencją, ale wyszło niezręcznie, jakbym zarzucała mu, że przychodzi do mnie się najeść.

Widocznie tak to odebrał, bo zaczął się sumitować.

- Ja naprawdę na chwilę, proszę wybaczyć to najście.

- To ja przepraszam, głupio mi się wyrwało. Powodowała mną tylko troska o pana.

Zaprosiłam go do salonu.

- Kawą pana też nie częstuję... - nie wiedziałam jak zgrabnie dokończyć.

- Nie ma potrzeby, już dość dzisiaj jej wypilem - nie złapał zartu, najwyraźniej był czymś zaaferowany.

Przypomniałam sobie o jego wyjeździe do Londynu.

- No właśnie, udało się panu czegoś dowiedzieć?

Usiadł na fotelu nie zdejmując płaszcza.

- Po tym, jak mój notes dostał się w niepowołane ręce, trzeba było się spieszyć. Scotland Yard uznał to zresztą za spore zaniedbanie.

- Chyba nie musiał pan się do tego przed nimi przyznawać?

- byłam zdumiona.

Pokiwał melancholijnie głową.

- Niestety, nie miałem innego wyboru. Zamierzałem już wcześniej poprosić Yard o sprawdzenie kilku rzeczy, co zazwyczaj trochę trwa (No proszę, znowu zestawienie głosek blisko brzmiących, nic jednak nie poradzę, że ludzie tak naprawdę mówią).

- Musiałem więc przyznać się do całej tej historii z notesem, żeby uzasadnić pośpiech. Zabójca mógł się czegoś domyślać.

- Zażądał pan od Scotland Yardu czegoś niezwykłego? - swoim zwyczajem niepotrzebnie się odezwałam.

- Chodziło mi o odrywanie ludzi od planowanych zajęć - wyjaśnił spokojnie.

- No i co?

- Przekonamy się - odparł enigmatycznie.

Zaproponowałam drinka.

- Może pan pić spokojnie - uprzedziłam. - Mąż nie pijał alkoholu w stanie czystym. Zwykle dolewał go sobie do kawy, dlatego nie mogłam zatruć jego kieliszka, bo takiego nie było.

Popatrzył na mnie uważnie i długo nie spuszczał wzroku, co uznałam za karę za swoje wygłupy.

Nalałam dwa kieliszki brandy i postawiłam na stole.

- Chciałbym panią prosić, żeby pozwoliła mi pani ponownie przeszukać dom - powiedział nagle.

- Ponownie? - powtórzyłam zaskoczona. - Ależ nie mam nic przeciwko temu. Proszę bardzo, choćby zaraz - ofiarowałam się.

- Tak byłoby rzeczywiście najlepiej - przyznał. - Pozwoli pani, że wezwę ekipę techników? - kuł żelazo póki było gorące.

Pozwoliłam.

- Co spodziewa się pan znaleźć? - chciałam tylko wiedzieć.

Rozłożył ręce w odpowiedzi.

- Zobaczymy...

- Skoro nie znalazł pan za pierwszym razem... - próbowałam coś od niego wyciągnąć.

- Inaczej się szuka wiedząc, co chce się znaleźć - wyjaśnił.

- Czego zatem zamierza pan szukać? - wydobywałam to z niego jak jakąś gumę spod serca.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał.

No nie! Teraz to już zupełnie zbił mnie z tropu.

Dostrzegł moje zaskoczenie, bo zaczął tłumaczyć.

- Jeśli ktoś na przykład zginął w górach na skutek rozgięcia się karabinka lub zerwania liny asekuracyjnej, nie szuka się od razu noża, pilnika czy nożyc do cięcia blachy. Zaczyna się to robić dopiero wtedy, gdy wyniki oględzin laboratoryjnych pozwolą ustalić, że lina została przecięta albo karabinek podpiłowany.

- Będzie pan szukał nożyc do cięcia blachy? - nie wytrzymałam.

- Owszem. Czegoś, co mogłoby być nożycami do cięcia blachy. Dlatego nie wiem, czego szukam, ale wiem dlaczego, a to już sporo, prawda?

Nie byłam tego wcale taka znowu pewna.

- I co, gdy już pan znajdzie takiego zastępcę nożyc?

- Wówczas potwierdzą się moje przypuszczenia związane ze

sposobem dokonania zbrodni - oznajmił bez pośpiechu.

- A więc jednak nie motyw, ale sposób zdemaskuje mordercę?

- ucieszyłam się.

Przytaknął ruchem głowy.

Wtedy wreszcie dotarło do mnie.

- Pan już pewnie wie, kto nim jest?

- Wiem tylko kto mógłby nim być - odparł. - To jednak za mało.

- Ale już pan przynajmniej wie, że to nie ja? - upewniałam się.

- Niestety. Tego również nie mogę być na razie pewny - wylał kubał zimnej wody na moją głowę.

Piliśmy brandy w milczeniu.

Po chwili przyjechali technicy policyjni z St. Austell.

*

Z mężczyznami jest tak zawsze, lubią mieć swoje tajemnice. A mówi się, że to my, kobiety, nigdy nie stawiamy spraw jasno.

Niestety, nie udało mi się podsłuchać, o czym szeptali między sobą inspektor i technicy. Staralam się podglądać, co robią, ale odniosłam wrażenie, że niczego nie robili poza bałaganem. Badali kwiaty w całym domu, wyciągnęli mi wszystko z szafek kuchennych, sprawdzili komórkę na narzędzia i garaż. Zaglądali w każdy kąt i pobierali próbki z najprzedeziwniejszych przedmiotów.

Byli tak zaaferowani, że nawet nie reagowali na moje uwagi, którymi chciałam im dopomóc.

Oczywiście, po wykładzie inspektora na temat sposobów odnajdywania igły w stogu siana, nie miałam odwagi o nic pytać. Lecz przecież gdyby mi powiedzieli od razu, czego szukają, pewnie wiedziałabym, gdzie to jest. Przynajmniej bym się tego domyślała.

Na przykład takie nożyce do cięcia metalu, wystarczyło o nie zapytać i odpowiedziałabym, że mogą być wszędzie - na przykład w garażu lub komórce, albo w ogrodzie, ostatecznie w którejś z szuflad w kuchni... O ile rzecz jasna w ogóle były w

domu.

Faceci to są jednak faceci, do wszystkiego muszą dojść sami. Samcza duma nie pozwalała im na to, żeby kobieta odkryła za nich mordercę. Szukanie mordercy należało do męskich sportów, tak samo jak włamania do banków, napady z bronią w rękę i naprawa upadłych systemów operacyjnych w komputerach.

Na rozpedzonych mężczyzn nie było sposobu, by ich zatrzymać, zupełnie jak na wściekłe kobiety warczące o północy przy drzwiach pubu.

I czego oni tak zawzięcie szukali, skoro już raz tego nie znaleźli? A tak, prawda, teraz już wiedzieli, czego szukają, przypomniałam sobie, tylko nie mieli pojęcia, co to jest. To było całkiem dla nich typowe, uganiali się na przykład za wielką miłością, zaczepiając każdą dziewczynę na ulicy, bo nie znali rysopisu tej swojej miłości.

Zdawali sobie sprawę, że musi to być koniecznie długonoga blondynka z biustem jak dwie piłki lekarskie, a potem żenili się z krótkonogimi farbowanymi brunetkami, przed którymi uciekali, by postawić kije przy piłkach golfowych.

Postanowiłam nalać sobie jeszcze jeden kieliszek brandy.

Tymczasem technicy policyjni zaglądali mi nawet pod dywan, co w zasadzie mogłabym uznać za prowokującą impertynencję, gdyż byłoby to miejsce nad wyraz wstydlive, gdyby nie fakt, że sprzątaniami w domu zajmowała się Gloria.

Tyle tylko, że Gloria nie zdążyła już niczego posprzątać ani ewentualnie zamieść pod dywan.

Wtedy zrozumiałam.

Od czasu śmierci Roberta nikt w domu nie sprzątał.

Nikt nie zmywał odtąd naczyń ani nie zmieniał wody kwiatom. Technicy inspektora Travaisa zaledwie przetarli wilgotną policyjną szmatką ślady krwi (niewiele ich było) na wezglowiu fotela, w którym zastali Grahama Newmana.

Ciekawe, czy byli na tyle bystrzy, by sprawdzić, czy to rzeczywiście jego krew. A jeśli morderca uderzył się w palec?

Nie było w tym nic śmiesznego. Sama kiedyś otwierając drzwiczki samochodu rozciąłam sobie ich górną krawędzią czo-

ło, bo stanęłam za blisko. Robert też niejednokrotnie, wbijając gwóźdź, wałnął się młotkiem w palec. Poniekąd nawet częściej bił się w ten palec, niż wbijał gwóźdź.

Wszystko to nie miało najmniejszego sensu, tak samo jak przeszukiwanie mojego domu.

- Skończyliśmy - usłyszałam nagle głos inspektora Travisa.

Znowu mnie zaskoczył, wyrrywając ze znużonego procesu dedukcji.

Popatrzyłam na niego trochę chyba rozkojarzona.

- Skończyliśmy - powtórzył. - Rano będziemy już coś, być może, wiedzieć.

- I co? Znaleźliście nożyce do cięcia blachy? - jego słowa przywróciły mnie do rzeczywistości.

- To się dopiero okaże.

I to był już koniec dziewiątego rozdziału moich pozagrobowych zmagania z Robertem.

Rozdział X

1.

Mogłam już wyznaczyć datę pogrzebu Roberta. Ale najpierw pochowaliśmy Głorię i Grahama Newmana. Na te dwie uroczystości przyszło więcej ludzi, niż się spodziewałam. Niemal pół Duporth i sporo osób z Charlestown, Carlyon Bay, a nawet kilka z St. Austell. Okazuje się, że cicha, skromna Gloria nie była wcale aż taka anonimowa. Możliwe też, że okoliczności jej śmierci, o których wieść rozniosła się po okolicy, ściągnęły dodatkowo gapiów, faktem bowiem było, że w tłumie odprowadzającym Głorię w jej ostatniej drodze przeważały kobiety w podobnym jak ona sama podeszłym wieku, mające czas na stawienie się na cmentarzu przed południem. Grahama Newmana żegnali z kolei jego uczniowie, koledzy nauczyciele oraz delegacja samorządu St. Austell.

Jeśli chodzi o Roberta, już wcześniej zdecydowałam, że

pochowam go na miejscu, tam, gdzie zastała go śmierć. Na dzień pogrzebu zaplanowałam piątek, by nikt nie miał problemu ze znalezieniem czasu na wzięcie udziału w ceremonii, tym bardziej że spodziewałam się wielu osób z Londynu.

Od rana lało jak z cebra i wiał silny, porywisty wiatr wyrywający parasole z rąk, zdzierający paniom kapelusze z głów, wciskający się pod płaszcze i wyciskający z oczu łzy.

Na moją prośbę słowo o zmarłym wygłosił nad grobem Roger Cavendish, przywołując postać Roberta jako opiekuna artystów i mecenasa sztuki, któremu wszyscy zawdzięczaliśmy tak wiele. Mówił o wielkoduszności zmarłego i jego wrażliwości, porównując do Medyceuszy, na co stojąca za moimi plecami Brenda szepnęła, że tym samym Roger nie omieszkał postawić się w jednym rzędzie z Michałem Aniołem. Powiedziała to prawdopodobnie do Henry'ego Osmonda, który stał obok niej, ale wiatr doniósł mi jej słowa.

Roger Cavendish przemawiał jasnym, mocnym głosem, moknąc bez parasola w ulewie, wyprostowany i nieugięty na wietrze, niczym nie pierwszej już młodości dąb, którego mocne jeszcze konary unosiły duszę przyjaciela do nieba i w którego pokręconych, mrocznych korzeniach ciało Roberta miało spocząć na wieki.

Dusza Roberta, ciężka od wody, szybowiała więc coraz wyżej i wyżej, w miarę jak Roger Cavendish wspinał się na kolejne stopnie metafor. Przypominało to bardziej monumentalny start bombowca, wymagający długiego rozbiegu niż lekki lot szybowca zwolnionego z holu pięćdziesięcioletniego z górą życia.

W miarę jak Roger Cavendish odrywał się od ziemi, nabierając wysokości (można odpiąć pasy i zacząć palić), woda w wykopie pod trumnę Roberta zbliżała się do stanu alarmowego grożąc, że doczesny kadłub mojego męża zamieni się najpierw w łódź podwodną, zanim przysypie go ziemia, od której poderwała się tak mozolnie wraz z Rogerem Cavendishem jego dusza.

Ostatnie słowo Rogera zawisło w powietrzu niczym nieprzy-

tomny spadochroniarz na wietrze mającym za chwilę znieść je w nagłym porywie prądu zstępującego prosto w objęcia torfowisk.

Trumna zawierająca pokrojone lancetem koronera szczątki Roberta zaczęła zanurzać się w ziemi. Osiadła z cichym pluskiem na dnie wykopu, a ja byłam pierwszą, która cisnęła na nią garść gliny i drobnych kamieni.

Za moim przykładem poszli inni. Zasypywali ją swoimi garściami żwiru, gdyż zapewne byli bez winy, z wyjątkiem mordercy.

Wśród żegnających dostrzegłam Geraldine, Mary Bedford i Sarę Rawlins. Przyszli też wszyscy nasi sąsiedzi, a także inspektor Travis, sierżant Tallow, doktor Heston i Klara Heller. Widziałam również pracowników Roberta oraz kilka twarzy znanych mi z telewizji, głównie muzyków. Przez moment mignęła mi także jasna czupryna Dereka Warwicka.

Potem zaczęto składać mi kondolencje.

- Trzymaj się Hellen - powiedział Roger Cavendish, nie nadmieniając jednak, czego mam się trzymać. Może miał na myśli, że dobrze się trzymam jak na swój wiek i mam tak trzymać.

Pocałował mnie w policzek, co wiedziona nastrojem chwili potraktowałam symbolicznie, jako właśnie policzek.

- Nie zapomnimy o sobie, prawda? - to była z kolei Brenda (no jasne, gdzieżbym mogła o niej zapomnieć).

Uścisnęła mi rękę i ustąpiła ostrożnie miejsca komuś, uważając, by jej szpilki nie pokłuły za głęboko cmentarnej gliny pod którą już spoczywał Robert.

Ostatnia podeszła Geraldine. Nie powiedziała na szczęście nic. Podobnie jak wszyscy, miała mokrą twarz i być może nawet płakała.

Grabarze zasypali sprawnie dół, później położono na wierzchu wieńce i kwiaty.

Poczułam, że tam pod nimi został również kawałek mnie samej.

Cokolwiek bowiem się stało, kochałam Roberta na swój sposób, gdyż nie da się wytrzymać dwudziestu pięciu lat z kimś, jeśli nie nauczy się go kochać na śmierć i życie.

Wtedy jednak, tam, na cmentarzu, nie byłam pewna, czy to ja go zabiłam, czy on mnie pozbawił życia.

Tak czy owak, mogliśmy wrócić do domu.

*

Poprosiłam Rogera, aby rozpałił w kominkach. Wszyscy bowiem zmarzliśmy na kość.

Boltonowie, Keatonowie i Daltonowie obsiedli salon, sącząc rozgrzewające drinki. Brenda, Mary, Geraldine i Sara odgrzewały w kuchni to, co przygotowałam wcześniej. Pomagał im doktor Heston.

Zaprosiłam też inspektora Tralisa i sierżanta Tallowa.

Henry Osmond brzdąkał coś na gitarze, starając się ją nastroić po dłuższym czasie nieużywania.

Mijały dokładnie dwa tygodnie od śmierci Roberta.

- Zaraz będzie ciepło - oznajmił zadowolony z siebie Roger.

- Zaraz wszystkim nam się stanie gorąco - podjęła Lotta Keaton. - Przecież jesteśmy w tym samym składzie, co wtedy, czyż nie?

Popatrzyła na otaczające ją twarze.

Nikt jej jednak nie odpowiedział.

- Co tak milczycie? - wydawała się być w doskonałym nastroju. - Przecież tak robiła Agatha Christie... Kazała Herkulesowi Poirot zbierać uczestników dramatu w jednym miejscu, by wyłonić z nich mordercę...

Spojrzeliliśmy po sobie bez słowa.

- To nie jest miejsce ani czas do żartów - odezwał się w końcu Frederic Bolton.

- No właśnie Lotto - poparł go Chris Dalton.

- Ależ ja wcale nie żartuję... - urażona Lotta Keaton wyprostowała się w swoim fotelu.

- Zapominasz, że nie ma nas tu wszystkich - napomniał ją Frederic. - Nie ma z nami Roberta. Doprawdy, nie rozumiem...

- Ofiarę reprezentuje inspektor Travis! - Lotta była pewna swego, nie dopuściwszy go do głosu.

- Brakuje Glorii... - odezwała się cicho Ester Bolton.

- A ja myślę, że biedna Gloria tu z nami dzisiaj jest -

stwierdziła z mocą Lotta. - Jest i patrzy na nas... i widzi swojego zabójcę...

- Jeśli zabójca znajduje się wśród nas - postanowiłam zabrać głos i przerwać chłodno tę przykrą wymianę zdań.

- Jest, jest tutaj - Lotta musiała mieć, jak zwykle, ostatnie słowo. - Musi tu być, bo nikogo poza nami tu więcej wtedy nie było, prawda inspektorze?

Popatrzyła wymownie na Marka Trvisa, czekając na potwierdzenie swoich słów.

Inspektor zdawał się jednak jej nie słyszeć. Wydobył z paczki papierosa i swoim zwyczajem obracał go w palcach.

Dopiero Brenda wybawiła policjanta z kłopotu oznajmiając, że stół w jadalni został już nakryty.

Po jej słowach zaczęliśmy się powoli podnosić i przechodzić do jadalni.

- Dokładnie tak samo, jak wtedy... - mruknęła Lotta przysuwając sobie krzesło.

- Tyle tylko, że nie będzie ogni sztucznych - zauważyła cierpko Moira Dalton.

- Ale i tak nie ominą nas fajerwerki - Roger Cavendish z powrotem stawał się sobą.

- Nie ma obawy, zimne ognie nie parzą - Brenda, jak zwykle, zabrała się do sekundowaniu mu.

- Moglibyście chociaż dzisiaj dać spokój - odezwała się Geraldine.

- Ty już sobie, zdaje się, dałaś spokój, nieprawdaż? - Brenda rzuciła się na łatwą zdobycz.

- Skoro już o spokoju mowa - wpadła im w słowo Mary Bedford - to sądzę, że Robert nie zazna spokoju tak długo, jak długo jego morderca będzie na wolności.

- Będzie chodził po nocach i straszył nieletnie kandydatki na gwiazdy muzyki rozrywkowej - pośpieszył z pomocą Brendzie Roger.

- Nie, doprawdy, to było niestosowne, Roger - zrugła go Sara Rawlins. - Uważam, że posuwasz się za daleko!

- No, skoro o posuwaniu gwiazd mowa... - Roger już miał dodać coś wyjątkowo paskudnego, ale przerwała mu Ester Bolton.

- Donovanowie znowu się spóźniają...

Na dźwięk jej słów Lotta Keaton odstawiała kieliszek brandy.

- A nie mówiłam? Wszystko jest tak samo jak wtedy! - zawołała z przekonaniem.

- Jeśli tak, to ktoś będzie musiał dzisiaj umrzeć... - Cavendish nie zwlekał z komentarzem.

Jeszcze nie przebrzmiał jego głos, gdy weszli Peter i Betty Donovanowie.

- Wybacz Hellen, jak zwykle kłopoty - usprawiedliwił się Peter.

- Właśnie o was mówiliśmy - Roger przyjął na siebie rolę gospodarza. - Pani Keaton wspomniała, że cała sytuacja się powtarza: wszyscy goście w tym domu oraz państwa spóźnienie. Niektórzy czekają nawet na sztuczne ognie, a ja zauważyłem tylko, że jeśli okoliczności sprzed dwóch tygodni powtarzają się, to ktoś powinien dzisiaj umrzeć...

Donovan rozejrzał się po siedzących przy stole, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- Jeśli się nie zamkniesz Roger, to ja osobiście cię zabiję - usłyszeliśmy nagle głos Henry ego Osmonda.

Po jego wypowiedzi zrobiło się cicho.

- Tak czy owak, inspektor Travis zaraz powie nam kto zabił Roberta i to będzie wyrok śmierci dla zabójcy - skorzystała z okazji Lotta Keaton. - W ten sposób jedno z nas nie wróci dzisiaj do domu...

Uwaga ta zrobiła na nas wrażenie.

Zajęliśmy się w milczeniu jedzeniem.

- Nie wróci albo wróci... - dopiero po dłuższej chwili podjęła cicho Brenda. - Dzisiaj już nie wiesz się morderców.

- A szkoda! - Lotta Keaton nie kazała na siebie czekać. - Oko za oko! - dodała.

- A miłość za pieniądze - nie wytrzymał Chris Dalton.

- Oczywiście miłość bliźniego... - parsknęła Moira.

- Będziesz musiał Henry zabić też pana Chrisa Daltona - ucieszył się Roger.

- Wszystkich przyjdzie ci zabić - Brenda znowu czuwała w pobliżu Rogera - a na końcu popełnisz samobójstwo.

- Samobójstwo jest karalne, pamiętaj Henry! - Cavendish zdawał się tylko na to czekać. - Zostaniesz pochowany pod płótem bez należytych sakramentów, a sprzedaż twoich płyt wzrośnie, co podważy twoje zaufanie do samego siebie jako artysty niedocenianego.

- Bardzo dobrze, Roger, kochanie - zawtórowała mu Brenda.

- Popatrz, nawet nie podniósł tyłka z krzesła, żeby cię zamordować. Cały Henry! Nie chce być pochowany pod płótem. No bo co mu z tego, że jego sprzedaż wzrośnie, skoro skorzysta na tym tylko Hellen.

- Uważam, że Hellen powinna zabić Henryego pozorując jego samobójstwo - przyznał jej rację Roger. - Śmierć Henryego będzie lepszym interesem niż jego życie.

No i znowu zaczęło się.

- Dobry Henry to martwy Henry!

- Właśnie! Powiem więcej, martwy Henry jest najlepszy. Dopiero po śmierci objawi nam się jego talent.

- Będzie to talent pośmiertny, za który dostanie Krzyż Wiktorii.

- Co najwyżej krzyżyk na drogę.

- Nową drogę życia po śmierci.

- Szkoda, że Henry żyje i nawet śpiewa.

- A jak cienko śpiewa!

Przysłuchiwaliśmy się temu zenującemu widowisku w milczeniu.

Nie przerywałam go, gdyż znałam, niestety, Henryego i wiedziałam, że nie wstanie i nie uciszy Rogera, który po ostatniej kwestii Brendy zastanawiał się z widoczną lubością nad dalszym ciągiem zabawy.

Tę krótką chwilę namysłu z jego strony wykorzystała Lotta Keaton.

- Tak czy owak, jedno z nas nie wróci dzisiaj do domu... - powtórzyła w ciszy. Podniosła oczy znad swojego talerza i ogarnęła wzrokiem nas wszystkich. - Prawda inspektorze Travis? Pan już przecież wie, kto jest mordercą. Inaczej nie zabierałby pan ze sobą w charakterze prawniczej przyzwoitki swojego sierżanta...

2.

Nasze spojrzenia utkwiliśmy w siedzącym na końcu stołu inspektorze.

Wyrwany z zamyślenia zrozumiał, że o niego chodzi.

Odsunął krzesło i wstał powoli, trochę teatralnie (powinien się poderwać doczekawszy swoich pięciu minut, jeśli Lotta Keaton nie myliła się, a jak nauczyły mnie ostatnie dni, rzadko chyba jej się to zdarzało).

Potem, jakby zmieniawszy zamiar, usiadł ponownie (pewnie chciał ująć mordercę w salonie, ale oceniwszy sytuację uznał, że w jadalni, przy wspólnym stole, jego wyobrażenie o wymogach dramatu spełni się równie dobrze, o ile nawet nie lepiej).

- Jak to się nazywało? - usłyszeliśmy na stołem stentorowy głos Rogera Cavendisha. - Zaproszenie na egzekucję?

- Rosyjska powieść Władimira Nabokova opublikowana w odcinkach w Paryżu w 1935 roku - wyrecytowała Brenda tonem narratora przypisu.

- No właśnie... - odezwał się inspektor, szukając zgrabnego sposobu nawiązania do ich wypowiedzi. - Dobrze to pan ujął

- zwrócił się do Cavendisha - zaproszenie na egzekucję. Przerwał, by znowu podjąć po chwili. - Nie znam się na protokole dokonywania egzekucji, gdyż tych, jak już zauważyła pani Blake, nie wykonuje się w naszym kraju... Nie wiem więc, czy zaproszenie powinien wystosować kat czy ofiara... Ale jestem tylko prowincjonalnym policjantem - Mark Travis szukał natchnienia. - Mimo to udało mi się policzyć do dwóch...

Roger Cavendish zrobił zawiedzioną minę.

- Do dwóch? Czyli do kata i ofiary? A mówi się, że ktoś potrafi przynajmniej zliczyć do trzech.

- To prawda. Ale panu, panie Cavendish, wystarczyło policzyć do dwóch.

- Dwóch?

- Owszem. Do dwóch pistoletów.

Słowa inspektora sprawiły, że zamarliśmy słuchając.

- Pański problem - ciągnął nie spuszczać oka z Rogera - polegał na tym, w jaki sposób wydobyć niepostrzeżenie z szuflady pani Hellen Plath jej własny pistolet i następnie odłożyć go na dawne miejsce. Sam strzał do Roberta Platha był już drobnostką, prawda?

Popatrzyliśmy na Rogera, jakbyśmy byli na korcie tenisowym, wszystkie głowy skierowały się w jego stronę.

- Taka magiczna sztuczka, panie Cavendish - mówił dalej inspektor. - Nabył pan identyczny pistolet na własne nazwisko i odpowiednio wcześniej zamienił pan go na egzemplarz pani Plath. Nie wiem, może tydzień przedtem, może dwa. Gdy pani Plath pokazywała Laurze Gordon swój pistolet schowany w szufladzie komody we własnej sypialni, pokazywała w istocie pański pistolet. Nikt, nawet ona sama nie była w stanie wynieść go stamtąd i strzelić do swojego męża. Albo pan przedobrzył, albo nie spodziewał się, że obsługa firmy cateringowej zaświadczy, że nikt poza wymienionymi przeze mnie paniami nie odwiedzał pokoi na piętrze. Ponowna zamiana broni, kiedy zaczął się rozgardiasz związany z odkryciem zbrodni, nie stanowiła już problemu. Któż odkryłby, że wchodzą w grę dwa pistolety? Dlatego kupił pan broń legalnie, rejestrując ją na siebie. Tak pan to sprytnie wymyślił, że pani Plath zamierzała poszukać podręcznika do sztuki iluzji, a w nim odpowiedzi na tę zagadkę. Przyznam, że i mnie to przyszło do głowy. Skoro istniało więc pytanie, musiała znaleźć się odpowiedź. Potem zaś, jeśli już wiedziało się, że chodzi o zamianę pistoletów, wystarczyło tylko poszukać drugiego właściciela.

- To żaden dowód - Roger Cavendish wzruszył ramionami.

- Pewnie tysiące ludzi mają taki sam pistolet. Pańskie odwołania do magii sugerują mistycyzm, podczas gdy czasy Inkwizycji dawno przebrzmiały... Na szczęście żyjemy w racjonalnej epoce wniosków naukowych, w której szkiełko i oko... zresztą nieważne, nie będę pana zanudzał cytatami, w tej epoce otóż ważne są odciski palców, ślady DNA i tym podobne materiały dowodowe.

- Słusznie. Ma pan całkowitą rację. Rzeczywiście, tak jak się pan spodziewał, na pistolecie pani Plath znaleźliśmy wyłącznie

ślady jej odcisków palców, rozmazane przez coś, co mogło być na przykład serwetką. Dziwna niekonsekwencja, prawda? No bo albo się zaciera ślady linii papilarnych, albo je zostawia. Pan postanowił zostawić ślady pani Plath i nie zostawić własnych. Dlatego użył pan czegoś, przez co trzymał pan broń i to coś rozmazało odciski pani Plath. Zresztą czyje inne odciski palców miałyby się znajdować na tym pistolecie, jak nie jego właścicielki. Rzecz tylko w tym, że na pańskim własnym pistolecie, którego przecież, zgodnie w niewypowiedzianą przez pana sugestią, nie zamienił pan na pistolet pani Plath, również, poza oczywiście pańskimi, widnieją jej odciski palców. Czy może to pan jakoś wytłumaczyć?

- Sprawdzaliście mój pistolet? Zrobiliście rewizję w moim domu?! Kiedy? - Roger Cavendish nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- To śmieszne. Powiódł wzrokiem po zebranych, jakby szukając u nas potwierdzenia. - Pewnie chwaliłem się bronią przed Hellen i wtedy jej dotykała - kazał czekać na swoją odpowiedź dłuższą chwilę.

- Cóż, to możliwe. Pański głos przeciwko głosowi pani Hellen, która pewnie temu zaprzeczy. Zastanawia mnie tylko, że spośród tysięcy, jak sam pan to określił, posiadaczy takiej samej broni, jedynie pan brał udział w przyjęciu.

- To zaledwie poszlaka.

- To prawda. Ale nie zgadzam się ze słowem zaledwie. To bardzo mocna poszlaka, panie Cavendish.

- Niemniej tylko poszlaka.

- Może ma pan rację. Dlatego zastanowiło mnie, dlaczego w tej samej niemal chwili, w której zgasło światło, wypaliły ognie sztuczne.

-I co pan wydedukował, Watsonie? Przecież to ja niechcący je odpaliłem, o czym wiedzą wszyscy - spokojny dotąd głos Rogera nieznacznie się podniósł.

- Gdyby tak było, nie miałby pan czasu dokonać spięcia w transformatorze.

- Słusznie inspektorze! No właśnie! Skoro to ja zwolniłem race, nie miałem czasu zrobić nic więcej. Serdeczne dzięki za

obronę! Nie doceniałem pańskiej inteligencji.

- Ale jeśli to pan doprowadził do spięcia, to znaczy, że ktoś zupełnie inny odpalił race.

- Rozumuje pan bezbłędnie, lecz to tylko hipoteza.

- Jedynie pani Blake pomagała panu przy sztucznych ogniach.

- Ktoś musiał.

- Tylko ona wiedziała, w jaki sposób zwolnić mechanizm spustowy. Gdy pobiegł pan do skrzynki transformatorowej, skorzystała z okazji, by odpalić race i odwrócić uwagę wszystkich od zapowiadanego przez ofiarę oświadczenia. Nie może pan tego potwierdzić, gdyż stałoby się jasne, że nie było pana tam, gdzie powinien pan w tym momencie być. Także pani Blake nie przyzna, że pana tam nie było, bo musiałaby jednocześnie stwierdzić, iż wie to stąd, że sama była przy racach.

- No to w czym problem? Niechcąc kryjemy się wzajemnie. Nie ma pan szans. Po co zresztą miałyby odpalać te ognie?

- Żeby dodać do filizanki Roberta Platha morfiny.

- Morfiny? Po co? - Roger Cavendish po raz drugi nie był w stanie zapanować nad swoim zaskoczeniem.

- Aby go otruć.

- Inspektora trzymają się żarty, Roger - odezwała się Brenda, podczas gdy nasze spojrzenia powędrowały w jej kierunku. - Potrzebuje dwóch morderców do wyjaśnienia jednej zbrodni.

- Rzeczywiście. Bo zbrodnia była tylko jedna - zauważył Travis, niezrażony jej drwiną. - Ofiara zmarła na skutek zatrucia morfiną. Gdy do niej strzelano, już nie żyła. Sekcja zwłok wykazała to w sposób niezbity, posługując się, jak chciał tego pan Cavendish, mędrca szkiełkiem i okiem.

Zapadła cisza.

Roger i Brenda wymienili między sobą krótkie spojrzenia.

- Przyznaję, że nie do końca są jasne dla mnie państwa motywy - przerwał milczenie inspektor. - Ale jeśli już mowa o żartach, to zabawne wydaje mi się to szczególne nieporozumienie, które w całej tej sprawie od początku państwu towarzyszy. Najpierw, nie wiedząc o tym,

oszukiwaliście się wzajemnie w waszej firmie, realizując własne zlecenia bez wiedzy współnika, potem każde z was zaplanowało na własną rękę zbrodnię, a później, już w trakcie jej realizacji, dawaliście sobie niechcący alibi, gdyż w przeciwnym razie musielibyście przyznać się do popełnionego czynu.

Gdy to mówił, patrzyliśmy na przemian to na Brendę, to na Rogera. Ich twarze nie wyrażały niczego, skrywając jednak pod maską udanej obojętności napięcie.

- Prawdopodobnie Robert Plath zamierzał poinformować was o tych wzajemnych oszustwach, chociaż doprawdy nie wiem, jakie to mogło mieć dla was znaczenie. Przypuszczam, że niezachwiana uczciwość w rozliczeniach pomiędzy wami, to znaczy między panią, pani Blake i panem, panie Cavendish, wydawała wam się, by tak to określić, ekscytująca, było w tym zapewne coś z zaufania do siebie dwóch drapieźników. Chyba głupio byłoby wam odkryć w podziwianym partnerze małego złodziejzka? By nie dopuścić do tego, woleliście już zostać mordercami. Swoiście pojmovane poczucie honoru podpowiedziało wam to rozwiązanie. Byłoby ono w waszym stylu. Gdy odkryłem państwa kombinacje, a właściwie gdy zrobiła to pani Plath, skojarzyłem dwa identyczne motywy z jedną zbrodnią. Ofiara pragnęła powiedzieć pani Blake, że ta jest notorycznie oszukiwana przez Rogera Cavendisha, jednocześnie chciała też poinformować tego ostatniego, że oszukuje go współniczka. Miały to być dwie krótkie rozmowy na osobności, zmierzające do zerwania współpracy z agencją Graphicus, która z kolei oszukiwała samego denata.

Inspektor zrobił pauzę, by sprawdzić, jakie wrażenie wywołały na Brendzie i Rogerze jego słowa. Nie doczekawszy się z ich strony reakcji mówił dalej, patrząc na nas.

- Oba plany zbrodni były bardzo misterne. Zakładały odwrócenie uwagi zawodami balonowymi i pokazem sztucznych ogni. Tę pierwszą okazję pragnął wykorzystać pan Cavendish, drugą wybrała pani Blake. To zresztą zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę okoliczności. Pokaz sztucznych ogni zmuszał wszystkich do wyjścia z domu do ogrodu i trudno byłoby wówczas kogokolwiek zastrzelić w takiej grupie osób. Tym bardziej że

wielu z gości patrzyłoby na organizatora pokazu, Rogera Cavendisha, ot choćby po to, żeby sprawdzić, co robi i czy jeszcze można się spodziewać z jego strony dalszego ciągu widowiska. Ta z kolei okoliczność okazywała się szczególnie korzystna dla pani Blake. Nikt i tak nie zauważyłby jej zniknięcia z powrotem w domu, gdzie bez przeszkód mogła zatruć kawę Roberta Platha. Roger Cavendish czekał na inną okazję; kiedy wszyscy ponownie opuszczą dom, tym razem już po ciemku, by zdobywać w ogrodzie trofea balonowe. Nalegał nawet, aby doszło zarówno do pokazu, jak i zwłaszcza zawodów, mimo mokrej ziemi w ogrodzie. Zaraz po przyjeździe powiedział pani Plath, że nie po to wszystko przygotował, żeby odwołać zabawę. Niestety, pan Plath postanowił zaburzyć plan przyjęcia, oznajmiając poprzez żonę, iż zamierza wygłosić coś w rodzaju oświadczenia. Musiał już wcześniej bowiem powiadomić Brendę Blake i Rogera Cavendisha, każdego z nich z osobna, że wyjawi ich tajemnice. Oboje więc zdecydowali się do tego nie dopuścić, przygotowując zbrodnię, a właściwie dwie zbrodnie. Teraz zaś, jak im się wydawało, nie mieli innego wyjścia, jak tylko przyspieszyć wprowadzenie swoich zamiarów w czyn. To naprawdę wyjątkowo zgodnie myśląca para. Skoro już cały plan przyjęcia został zmieniony, Roger Cavendish zdecydował się na wymuszenie zabawy w przekłuwanie balonów. Wpadł na iście szatański pomysł. Wziął z pustego jeszcze gabinetu pogrzebacz należący do kompletu kominkowego i poszedł z nim do ogrodu, by dokonać spięcia w instalacji elektrycznej. Po drodze zabrał klucz do skrzynki transformatorowej z przedsionka, następnie wyłamał z otwartej skrzynki zabezpieczenia złączy kabli i cisnął na nie pogrzebacz. Jego pomysł wydał mu się wręcz genialny, zważywszy na to, że pogrzebacz z natury swej rzeczy i tak miał już na sobie ślady spalenizny. Odłożenie pogrzebacza i klucza w ciemnościach nie stanowiło z kolei żadnego kłopotu. Łatwiej bowiem było go wnieść z powrotem, niż wynieść w blasku oświetlonego domu. Lecz i to nie stanowiło w gruncie rzeczy większego ryzyka. Ktoś bowiem przyłapany z pogrzebaczem w pobliżu kominka nie wzbudziłby niczyich podejrzeń i miałby

jeszcze czas się wycofać.

- To jakiś nonsens! - przerwał inspektorowi słuchający dotąd tego w milczeniu Roger. - Wierutna bzdura! - powtórzył. - Sama Hellen powiedziała panu, że nie potrafiłbym nawet gwoźdźcia przybić, a co dopiero spowodować spięcie w transformatorze! Jestem artystą grafikiem! Nie znam się na instalacjach elektrycznych! Każdy może to poświadczyć!

- To nieprawda, panie Cavendish - inspektor tylko smutno się uśmiechnął. - Jak każdy twórca ma pan zwyczaj przechowywania swojego dorobku. Jego przejrzenie podczas rewizji było bardzo pouczające, nawet dla mnie. Pan niejednokrotnie projektował już materiały reklamowe dla firm zajmujących się instalacjami elektrycznymi, a wśród nich także dla producenta skrzynek transformatorowych. Znał pan ich budowę równie dobrze, jak wszyscy, którzy się nimi zajmują. Poprosiłem o ekspertyzę policyjnych grafików komputerowych i stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że schematy techniczne transformatorów w pańskich folderach nie były skanami oryginałów, gdyż takie nie nadawałyby się do perfekcyjnego druku, lecz ich wiernym odwzorowaniem w postaci grafiki wektorowej wykonanym przez pana osobiście z pomocą odpowiedniego programu.

- Takie odwzorowania zlecaliśmy grafikom, oszczędzając czas projektanta!

- Takie, być może owszem, ale nie akurat te, o których mowa. Sprawdziłem w rachunkach Graphicusa. Rzeczywiście, ze względu na oszczędności, lecz nie czasu, tylko pieniędzy, gdyż kondycja państwa firmy nie była najlepsza, wykonał pan je samodzielnie.

- Nie zawsze robiliśmy to na rachunek... - wtrącił Roger z udaną skruchą.

- Sądzi pan, że znajdzie kogoś, kto się przyzna do tych rysunków?

- To jasne, że nikt się nie przyzna z uwagi na konsekwencje podatkowe! I pan o tym doskonale wie! To spiszek!

- Nie miałem na myśli przyszłych kłopotów z urzędem skarbowym. Gdy chodzi o dowód w morderstwie, kara za

nieujawniony dochód nie jest istotna.

- To żaden dowód, tylko kolejna poszlaka!

- Tak, ma pan rację, kolejna poszlaka - inspektor mówił cichym, spokojnym głosem. - Przejdźmy jednak do owego wieczoru, kiedy zostało popełnione morderstwo. Gdy pobiegł pan do transformatora, w pewnym sensie to samo uczyniła pani Blake, skierowawszy się ku czekającym w tylnej części ogrodu racom. Zapewne chciała namówić pana do ich natychmiastowego odpalenia. Tymczasem, ku jej zdziwieniu, nie zastała pana przy nich.

Szarpnęła za linkę wywołującą zapłon. Była przy tym tak zdeterminowana, że nie zwróciła nawet uwagi, iż wkrótce przedtem w całym domu zgasło światło. Przypuszczam, że oboje państwo byliście zaskoczeni tym, co się stało.

Inspektor popatrzył wymownie na Brendę i Rogera.

- Nigdy pan tego nie udowodni - powiedziała chłodno Brenda. - Każdy mógł pociągnąć za linkę i każdy mógł dokonać spięcia.

- Niemniej wiedziała pani, która to linka? Tylko pani pomagała panu Cavendishowi w ogrodzie.

- Jeśli nawet, to jeszcze żaden dowód.

Inspektor nie wytrzymał i zapalił papierosa, rozglądając się za popielniczką.

- Wie pani, co panią zdemaskowało? - zapytał puszczając jej uwagę mimo uszu.

- Jestem tego bardzo ciekawa!

- Temperatura kawy.

- Co takiego?

- Temperatura kawy - powtórzył. - Wszyscy po powrocie z ogrodu narzekali na zimną kawę, która już nie nadawała się do picia.

- I co z tego?

- Ano to, że tylko Robert Plath stwierdził, że jego kawa jest jeszcze całkiem ciepła.

Brenda przesunęła kieliszek obok swojego talerza.

- Tak, tak. Wzięła to pani pod uwagę przygotowując swój plan. Wylała pani tuż przed końcem widowiska kawę pana

Roberta i wlała do niej uprzednio przygotowaną przez siebie kawę z termosu. Ta kawa zawierała śmiertelną dawkę morfiny. Termos był zresztą pani niezbędny również z tego powodu, że założenie rękawiczek, otwarcie pięciu ampulek morfiny, wytrząśnięcie ich niemal kropla po kropli do filiżanki, ukrycie pustych fiolek i wreszcie schowanie rękawiczek zajęłoby pani niebezpiecznie dużo czasu. Filiżanka ofiary mogła być po za tym pełna, musiałyby pani część jej zawartości odlać i to nie wiadomo jak dużą część, gdyż nie wiedziałyby pani, ile miejsca w filiżance zajmie kilka ampulek. Termos rozwiązywał ten problem, jednocześnie załatwiając kwestię temperatury. Musiała pani bowiem mieć przygotowaną zatrutą kawę odpowiednio wcześniej. Przez ten czas kawa z kolei by wystygła.

- Jak pan to udowodni? - Brenda bawiła się swoim kieliszkiem.

- Technicy policyjni znaleźli ślady kawy w doniczce na parapecie okna gabinetu ofiary.

- Gratuluję! Hellen wylała tam kiedyś pewnie kawę, która podobno pomaga roślinom.

- Nie, to nie pani Plath ją tam wylała, tylko pani. Wylała pani kawę przyniesioną do gabinetu przed pokazem sztucznych ogni. Bo widzi pani, ta kawa również miała w sobie morfinę i stąd wiemy, że była to ta kawa podana przez panią Plath. To ją miał wypić mąż pani Plath, ale nie zdążył. Przeszkodziła mu w tym pani sama, wylewając zatrutą kawę i nalewając w jej miejsce do filiżanki własną, jeszcze ciepłą i również zatrutą. Powtarzam, kawa w doniczce była zatruta!

Widziałam oczy wszystkich utkwione we mnie w niemym oczekiwaniu.

- To prawda. Chciałam zabić Roberta - powiedziałam zachrypniętym głosem.

Brenda roześmiała się nagle histerycznie.

- Podczas przeszukania w pani domu znaleźliśmy starannie umyty termos - powiedział inspektor, nie zwracając uwagi na jej wybuch. - Zapomniała pani tylko, jak zazwyczaj to bywa, umyć korka. Korek zaś ma to do siebie, że wchłania wszystko.

Odkryliśmy na nim ślady morfiny w stężeniu, które powaliłoby nawet konia...

Kieliszek w dłoniach Brendy przewrócił się, wino wylało się na obrus.

- Pomyślałem o tym, gdy pani Plath opowiedziała mi o bidonie Ester Bolton wypełnionym alkoholem i narzekaniu pana Cavendisha na zimną kawę, którą wylał na grządki w ogrodzie. Znalezienie dowodu nie było i tym razem wcale trudne. Ale wróćmy do owego wieczoru. Zauważywszy kiedyś morfinę w apteczce pani Plath, nie miała pani pewności, czy jeszcze ją tam zastanie, gdy zechce z niej skorzystać w dniu morderstwa. Domyśliła się pani jednak pochodzenia narkotyku. Obecny tu doktor Heston przyzna zapewne, że również pani go sprzedał. Odkryliśmy te ampułki w pani domu. Przyniosła je pani z powrotem, gdyż okazały się niepotrzebne.

Timothy Heston chrząknął wiercąc się na swym krześle.

- Ale przecież Robert Plath był dopiero pierwszą ofiarą... - inspektor zawiesił głos. - Interesuje mnie, kto zabił Głorię. Pan, panie Cavendish? Bo zauważyła pana przy manipulacjach wokół transformatora? A może pani, pani Blake? Bo widziała, jak nalewa pani kawę do termosu? Które z was zabiło Głorię, a potem Grahama Newmana?

3.

W grobowej ciszy, jaka zapadła po słowach inspektora, słyszeliśmy krople deszczu uderzające o okap nad drzwiami holu.

Spoglądaliśmy na siebie wzajemnie nie próbując nawet wydobyć głosu.

- No dobrze - przerwał ciszę inspektor, spoglądając na zegarek. - Głorię i Grahama Newmana zatłuczono, bo pan, panie Cavendish, nie miał już pistoletu Hellen Plath, a pani, pani Blake, nie chciała skorzystać ponownie z trucizny, gdyż byłoby to trudne do wykonania na plaży podczas krótkiego spaceru, a w domu zbyt niebezpieczne. Które zatem z państwa okazało się

na tyle zdeterminowanym, by zabić najpierw Głorię, a potem Grahama Newmana?

Brenda Blake i Roger Cavendish ponownie wymienili między sobą szybkie spojrzenia.

- Muszę przyznać, że macie państwo równe szanse w tym wyścigu, który toczycie między sobą. Pan Cavendish, wygadany, błyskotliwy, bez trudu namówiłby Głorię na nadmorski spacer pod byle pretekstem. Ale Gloria łatwiej zaufałaby kobiecie...

- Przez cały czas nie opuszczałam Hellen - odezwała się Brenda.

- A pan, panie Cavendish? Czyż nie rozstał się pan z panią Geraldine i panem Osmondem podczas wycieczki do Duporth?

- To co? Nawet jeśli tak było, to jeszcze żaden dowód. Miałem szukać Głorii po całym Duporth z łomem w rękę?

- No właśnie - przyznał inspektor. - Powiedziała pani - zwrócił się do Brendy - że nie opuszczała pani Plath przez cały ten czas. Jaki właściwie czas miała pani na myśli? Ten, kiedy Hellen Plath spała?

Popatrzył po nas.

- Pan Cavendish musiałby się zasadzić na Głorię na jedynej drodze prowadzącej z Duporth do Porthpean. Rzecz tylko w tym, że wcale nie była to jedyna droga, z której mogła skorzystać Gloria. Któż zaręczyłby, że zamiast pójść prosto z domu do Porthpean nie zamierzała jeszcze odwiedzić Charlestown? W identyczny sposób mineliśmy się z panią Plath w dniu zabójstwa Grahama Newmana. Może więc tak, a może nie. Pan Cavendish jest inteligentnym człowiekiem, domyśliłby się, że czatowanie o przypadkowej porze w mimo wszystko przypadkowym miejscu nie ma najmniejszego sensu.

- No właśnie! - zawołał Roger.

- Zabójca musiał rozegrać tę sprawę inaczej. Gloria sama przysłała po swoją śmierć. Otworzyła drzwi domu państwa Plath i natknęła się na Brendę Blake informującą ją, że pani Plath śpi zmęczona po przeżytej tragedii, zatem nie należy jej budzić. To musiała być wielka nowina dla Głorii, która poprzedniego dnia skończyła pracę, gdy pan Plath jeszcze żył. Chętnie zgodziła się na spacer, by wszystkiego się dowiedzieć z

pierwszej niejako ręki. Prawda, pani Blake? Przyrządziła pani śniadanie jeszcze przed pojawieniem się Glorii. Dlaczego? Nie chciało się pani pospać dłużej po takiej nocy? Potem, jak sama to pani określiła, wygoniła wszystkich. W rzeczywistości chodziło pani o to, by nie mieć świadków nadejścia Glorii. Pani Plath zbudziła się tego dnia późno, niemal przed samym obiadem i zastała w kuchni, poza panią, schludnego Dereka Warwicka, który dopiero o tej porze zmywał naczynia po śniadaniu. Nawiasem mówiąc, dlaczego nie uczynił tego od razu?

- Przecież to bez sensu! Pozostawał jeszcze właśnie Derek i on byłby świadkiem pojawienia się Glorii.

- No właśnie. Dlaczego Derek Warwick pani nie przeszkodził swoją obecnością? A może tak naprawdę wcale go nie było, gdy przysła Gloria?

- Po co miałabym zabijać Głorię wiedząc już, że Robert został zastrzelony?! To nedorzeczne. Cóż mogłabym na tym zyskać?

- Dla pewności. Wiedziała pani, że sekcja i tak wykaże w organizmie ofiary obecność morfiny i że jeśli nawet Gloria nie skojarzy tego z termosem w pani rękach, który pechowo dla siebie zauważyła, to ktoś inny zrobi to za nią po jej przesłuchaniu. Skoro pomyślała pani o temperaturze kawy, policja również mogła na to wpaść. W najlepszym razie groził pani zarzut usiłowania zabójstwa, a co, jeśli okazałoby się, że ofiara mimo wszystko nie została zastrzelona? Pan Cavendish mógł przecież w pośpiechu nie dostrzec w samym wyłącznie świetle kominka, że ktoś go uprzedził. Tak też zresztą się stało. Wiedziała pani dobrze, że morfina w dawce, jakiej pani użyła, działa niemal błyskawicznie.

- Nie ma pan żadnych dowodów!

- To prawda, pewnie nigdy się nie dowiemy, co zdołała zobaczyć Gloria tamtej nocy. Jedno wszelako jest pewne: to, że zginęła dowodzi, że jednak coś widziała. I był to zapewne termos, a kawę do niego parzyła pani już na miejscu, gdyż przywieziona z Londynu zdążyłaby wystygnąć. Jak tak inteligentna osoba jak pani nie przewidziała podobnego ryzyka? Czy wysłała pani najpierw Głorię po coś, by zostać w

kuchni sama, a Gloria niespodziewanie wróciła? Domyślam się, że ampułki z trucizną otwierała pani w toalecie, bo tylko tam nikt nie mógł pani zdemaskować. Puste wyrzuciła pani do kosza na śmiecie właśnie tam, podobnie zresztą jak pani Plath. Ale tego akurat nie mogła pani przewidzieć. Wpadłyście na ten sam pomysł. Od razu zastanowiło mnie, dlaczego znaleźliśmy w koszu aż dziesięć pustych ampulek, zamiast pięciu, których zawartość w ciele Roberta Platha wykazała sekcja zwłok. Stąd moje pytania do pani Plath o liczbę ampulek w apteczce. Myli się pani jednak twierdząc, że nie mam dowodów na to, iż zabiła pani Glorię.

Zawiesił głos.

- Mam dowód w postaci pana Dereka Warwicka...

Teraz dla odmiany spojrzeliśmy wszyscy na Dereka.

- Derek pomagał przy śniadaniu - zauważyła Brenda. - Wiedziałby, że wychodzę w Glorię.

- Otóż nie, bo i on wyszedł i doskonale pani o tym wiedziała. Znowu powtarza się ten sam wzór. Oboje nie mogliście przyznać, że nie było was w domu, bo musielibyście jednocześnie przyznać, po co wychodziliście. Doskonałe alibi. Pan Warwick poszedł sprawdzić, jak działa jego kanał przemytniczy, a pani, żeby zabić Glorię. Pani pech polegał jednak na tym, że udała się pani z Glorią dokładnie w to samo miejsce, gdzie czekał już Derek Warwick. Wróciliście po sobie jedno po drugim i dopiero wówczas pan Warwick zabrał się za mycie naczyń po śniadaniu.

Brenda milczała.

- Derek Warwick widział panią na plaży z Glorią, gdyż sam tam był. Nie mógł mi jednak powiedzieć, co widział, bo musiałby się przyznać do tego, co robił na plaży. Czy tak to się odbyło, panie Warwick?

Wywołany do odpowiedzi żeglarz skinął tylko potwierdzająco głową.

- Otruła pani Roberta Platha i zabiła Glorię. A pan, panie Cavendish? Dlaczego zabił pan Grahama Newmana?

Roger, wyrwany z zamyślenia, wlepił w inspektora zdumione spojrzenie.

- Tak, pan, panie Cavendish - powtórzył Mark Travis. - Już wiedział pan jak zginęła Gloria, sam Graham Newman o tym doniósł w „St. Austell Herald”. Nie dodał tylko, że widział pana, w noc morderstwa Roberta Platha, majstrującego przy transformatorze. Postanowił pan zabić go w taki sam sposób, w jaki zrobiła to pani Blake pozbawiając życia Glorię. Pomyślał pan, że zabójstwo Grahama Newmana zostanie dzięki temu przypisane mordercy gosposi państwa Plath. Koroner oświadczył na podstawie oględzin zwłok Grahama Newmana, że morderca zaczął nabierać wprawy w uśmiercaniu poprzez walenie tępym narzędziem w kark ofiary. Nie wziął jednak pod uwagę tego, że za pierwszym razem była to kobieta, a za drugim znacznie od niej silniejszy mężczyzna. Gloria kopała w konwulsjach bita w kark lekkim, bo wyschniętym kołnarem. Uderzała ją zresztą słaba kobieta. Pan tymczasem jest postawnym, krzepkim mężczyzną. Nawet cieńsza tkanka tłuszczowa u Grahama Newmana ułatwiła panu zadanie. Gruby kark Glorii bronił ją znacznie dłużej. Uderzył pan parę razy i miał pewność, że Graham Newman nie żyje. Pani Blake musiała bić bez opamiętania, raz za razem...

- Czy pan Derek Warwick widział też może, jak zabijam Grahama Newmana? - zapytał uszczypliwie Roger.

- Niestety, nie widział. Umówił się w tym czasie na sprawdzian kanału przerzutowego z Frederikiem Boltonem, który przecież nosił się z zamiarem kupna własnego jachtu. I to Frederic Bolton widział pana wchodzącego do domu państwa Plath w dniu popełnienia morderstwa na Grahamie Newmanie. Lecz także i on nie mógł tego potwierdzić nie przyznając się jednocześnie do udziału w próbie przemytu.

- Ale mówił pan, że to morderca Glorii posłużył się jej kluczem do mojego domu, by wejść na spotkanie z Grahamem Newmanem? - przypomniałam, zwracając się do inspektora.

- Bo tak myślałem. Wydawało się to logiczne. Dopóki nie opowiedziała mi pani o spotkaniu z Frederikiem Boltonem i o jego zabłoconych butach. Pamięta pani? Wybiegłem wtedy nagle, by ratować pana Boltona przed śmiercią z rąk zabójcy Grahama Newmana. Zrozumiałem bowiem, że jeśli istniała

choćby niewielka szansa na to, że pan Bolton widział kogoś przy pani domu, to taki sam stopień prawdopodobieństwa dotyczył tego, że ów ktoś, morderca Grahama Newmana, dostrzegł Frederika Boltona. To skłoniło zresztą w końcu Frederika Boltona do złożenia odpowiedniego zeznania w tej sprawie, gdyż i on zrozumiał, że morderca Grahama Newmana stanowi dla niego zagrożenie. Roger Cavendish nie posłużył się kluczami Glorii, bo to nie on ją zabił, nie mógł zatem też zabrać jej kluczy. Było tak, jak pani przypuszczała, to pani sama zostawiła mu dom otwarty. Niemniej faktem jest, że nie znaleźliśmy przy pani gosposi kluczy. Odnalazły się w jej domu. Zwyczajnie zapomniała ich tego dnia. Skoro już jednak o kluczach mowa...

Inspektor zwrócił się do Rogera Cavendisha.

- Na kluczu do kół, należącym do kompletu z samochodu pani Plath, natrafiliśmy na ślady krwi Grahama Newmana, choć sam klucz nosił tylko odciski palców pani Plath, lecz i tym razem zniekształcone. Po raz drugi, tak samo jak w przypadku pistoletu, zadbał pan o ich nieusuwanie. Pan się powtarza, panie Cavendish! To zresztą ciekawe, jak skojarzenia słowne narzucają nam czasem sposób myślenia. Sądzę, że udając się na spotkanie z Grahamem Newmanem zastanawiał się pan po drodze, jak otworzyć sobie drzwi domu państwa Plath, biorąc pod uwagę, że może je pan zastać zamknięte pod nieobecność gospodyni. Myślał pan o kluczu i to podsunęło panu pomysł na narzędzie zbrodni. Szczęście panu sprzyjało. Akurat pani Plath wróciła samochodem po mój płaszcz. Wtedy wyjął pan klucz. Podrzucił zaś go z powrotem następnego dnia rano, po wyjściu Ester Bolton. Przypuszczam, że zastawszy na miejscu panią Plath i tak zabrałby pan ten klucz, by skorzystać z niego gdzie indziej, przy następnej okazji, a potem podrzucić do bagażnika.

- To są nadal wyłącznie poszlaki - usłyszeliśmy słumiony głos Rogera.

- Nie, proszę pana. Pańskie odciski palców odkryliśmy na klapie bagażnika samochodu pani Plath. Oczywiście nie świadczyłyby o niczym, gdyby nie to, że pani Plath skorzystała z myjni wracając do Porthpean po wizycie w Londynie. Było to już

po pana wyjeździe z Porthpean i przed ponownym pojawieniem się dopiero na pogrzebie.

- Człowiek nigdy nie wie, co się mu w życiu przyda - skwitowała Lotta Keaton.

- Człowiek może nie, ale ty, Lotto, na pewno - dogryzł jej Chris Dalton.

*

Wiele dni upłynęło od tamtych dni (wybacz Robercie błąd stylistyczny). Roger i Brenda zostali skazani na dożywocie, z prawem warunkowego zwolnienia po dwudziestu pięciu latach.

Derek Warwick wywinął się oskarżeniu o przemyt, lecz jego kariera została raz na zawsze złamana. Podobno wozi teraz wielkim katamaranem turystów po Karaibach i powodzi mu się, skądinąd, świetnie. Ma dość słońca, piaszczystych, białych plaż i dziewcząt wszelkich kolorów, i jeszcze mu za to płacą.

Tylko Frederikowi Boltonowi się nie udało, mimo że uniknął kary za próbę przemytu. Po tym, jak wycofałam udziały z jego drugiego salonu samochodowego w Plymouth, Ester poprosiła go o rozwód i teraz mieszka gdzieś wraz z synem, a Frederic sprzedał dom w Porthpean i kupił mały jacht, po czym wszelki słuch o nim zaginął.

Peter Donovan stracił mandat w radzie St. Austell, pozbył się ośrodka jeździeckiego i podobno przeniósł się wraz z Betty do Szkocji, gdzie otworzył nowy ośrodek hipiczny.

Chris Dalton został w końcu mistrzem Wielkiej Brytanii w wyścigach samochodowych amatorów, co otworzyło mu drogę do pracy w roli menedżera jednego z mniej liczących się zespołów zawodowych. Ostatni raz widziano go wraz z Moirą podczas wyścigów w Monte Carlo, spali w wynajętej przyczepie kempingowej u stóp pałacu księcia Rainiera - widocznie Lotta Keaton uznała, że nie warto wspominać o jego wypadku inspektorowi lub raczej warto nie wspominać o niczym policji.

Ona sama wraz z komandorem Keatonem nadal mieszka w Porthpean. Uprawiają ogródek ciesząc się dobrym zdrowiem. Podobno komandor, popierany cicho przez żonę, zastanawia się, czy nie awansować na admirała.

Doktor Heston utracił prawo wykonywania zawodu, uniknął jednak więzienia. Wyemigrował do Papui-Nowej Gwinei, gdzie uczy się szamańskich praktyk kontaktu z duchami.

Natomiast Klara Heller - Lady Makbet - otworzyła własną gazetę w St. Austell, nazwawszy ją „St. Austell Tribune” i kandyduje do rady miasta jako niezależna.

Geraldine Osborn znikła w tłumie innych sekretarek. Ktoś widział ją kiedyś w Glasgow, ale to nic pewnego.

Mary Bedford nadal święci triumfy na scenach Europy i podobno przymierza się do zrobienia kariery w Stanach.

Henry Osmond otworzył własną niewielką restaurację w Londynie, która cieszy się, jak mi wiadomo, niemałym powodzeniem.

Za to Sara Rawlins zrezygnowała z kariery scenicznej wychodząc za mąż za producenta mebli z Liverpoolu i urodziła mu już drugie dziecko.

Czy ktoś jeszcze pozostał?

Oczywiście ja.

Za usiłowanie zabójstwa otrzymałam wyrok w zawieszeniu, sprzedałam dom w Porthpean, a także ten w Regent's Park. Oddałam wszystkie weksle Roberta i zlikwidowałam jego interesy natychmiast, gdy tylko było to możliwe. Kupiłam skromny domek na Costa Brava, bo wolę uczyć się hiszpańskiego niż niemieckiego na Majorce. Hoduję oliwki z widokiem na morze.

Zupełnie zapomniałam o inspektorze Travisie! Awansował do Plymouth i został tam szybko nadinspektorem. Marzy mu się Scotland Yard i jestem pewna, że dopnie swego, gdyż niezبędni do tego mordercy sami się znajdują.

Pamiętam naszą ostatnią rozmowę po ogłoszeniu wyroku na Brendę i Rogera.

- Nadal nie rozumiem ich motywów - przyznałam wówczas.

- Ja też ich nie rozumiem - potwierdził. - Coś na kształt trudnej do pojęcia dla zwykłego człowieka psychodramy związało tych dwoje. Konkurowali ze sobą, to pewne. Właściwie we wszystkim. Stali się wzajemnie swoją pasją, co dziwne, bo raczej, jak można by sądzić, preferowali przeciwne orientacje.

Posuwali się coraz dalej w cynizmie, prowadząc w tym względzie swoistą grę. Niewątpliwie fascynowali się sobą i dzięki temu jednocześnie rośli we własnych oczach. Nabierali szczególnej, perwersyjnej wartości. Za wszelką cenę starali się tę wartość zachować. Nawet kosztem życia pani męża. Każde z nich wołało już raczej być mordercą, niż okazać się oszustem. Dziwne, prawda? Ale tacy byli. Wie pani, co odpowiedział mi Roger Cavendish, gdy zapytałem go kiedyś, kto mógłby chcieć zabić pani męża? Odpowiedział, że pani mąż mieszkał w Porthpean za krótko, by ktokolwiek chciał go zabić! Natomiast Brenda Blake zapytana o to samo odparła, że sama chciałaby uczciwie zabić pani męża, ale prawdopodobnie nie udałoby się to jej.

Tak, gdy go słuchałam, widziałam oczami wyobraźni Brendę i Rogera i to, co mówił, idealnie do nich pasowało.

- Wie pani, co mnie zdumiewa? To, że potraktowali możliwość zabójstwa pani męża jako wyzwanie dla siebie. Nie umawiali się, nie knuli niczego wspólnie. Jedno drugiemu pragnęło zaimponować... Na swój sposób... Zamierzali zabłysnąć dla jednoosobowej publiczności. Dla samego siebie...

- Jak to dla samego siebie?

- No tak. Przecież żadne z nich nie przyznałoby się przed drugim do morderstwa. To, które nie byłoby zabójcą, oczywiście domyślałoby się, kto zabił, lecz nigdy nie zdobyłoby pewności. Tak więc dla samego siebie. Dlatego także nie chcieli, aby to drugie dowiedziało się o ich słabości, o oszukiwaniu partnera.

- Aż tak się nudzili?

Inspektor wzruszył bezradnie ramionami.

- W pewnym sensie byli dla siebie stworzeni...

A ja? Dla kogo byłam stworzona?

Tylko dla Roberta Platha, którego pragnęłam zabić. Bo nie wystarczy być Kopciuszkiem, trzeba jeszcze się z tym pogodzić.

KONIEC

ALIBI

Gdy w kornwalijskiej posiadłości dochodzi do zbrodni, sprawcę spośród kilkunastoosobowej grupy gości wytypować musi ambitny inspektor Travis. Nie pomagają mu w tym ani skomplikowane związki łączące przyjaciół i znajomych ofiary, ani dylemat – jak właściwie zginął Robert Plath? Drobne kanty i wielkie interesy, szantaż, przemytnicy i kolejne zwłoki – tak się bawi na prowincji londyńska socjeta.



superkryminal.pl

Nowa seria kryminatów. Najciekawsze klasyki gatunku. Polskie i zagraniczne nowości, debiuty i wznowienia.

nakanapie.pl

Zbrodnie
w Bibliotece

KOSTNICA

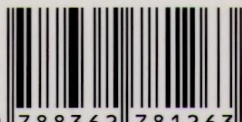
PRZISŁONIE MARTINA STEEPA
www.kostnica.com.pl

sprzedaż internetowa:

LITERIA*.pl

www.superkryminal.pl

ISBN 978-83-62781-26-3



9 788362 781263

indeks: 279951

cena: 13,99 zł (w tym 5% VAT)

tom nr 18

lesiojot